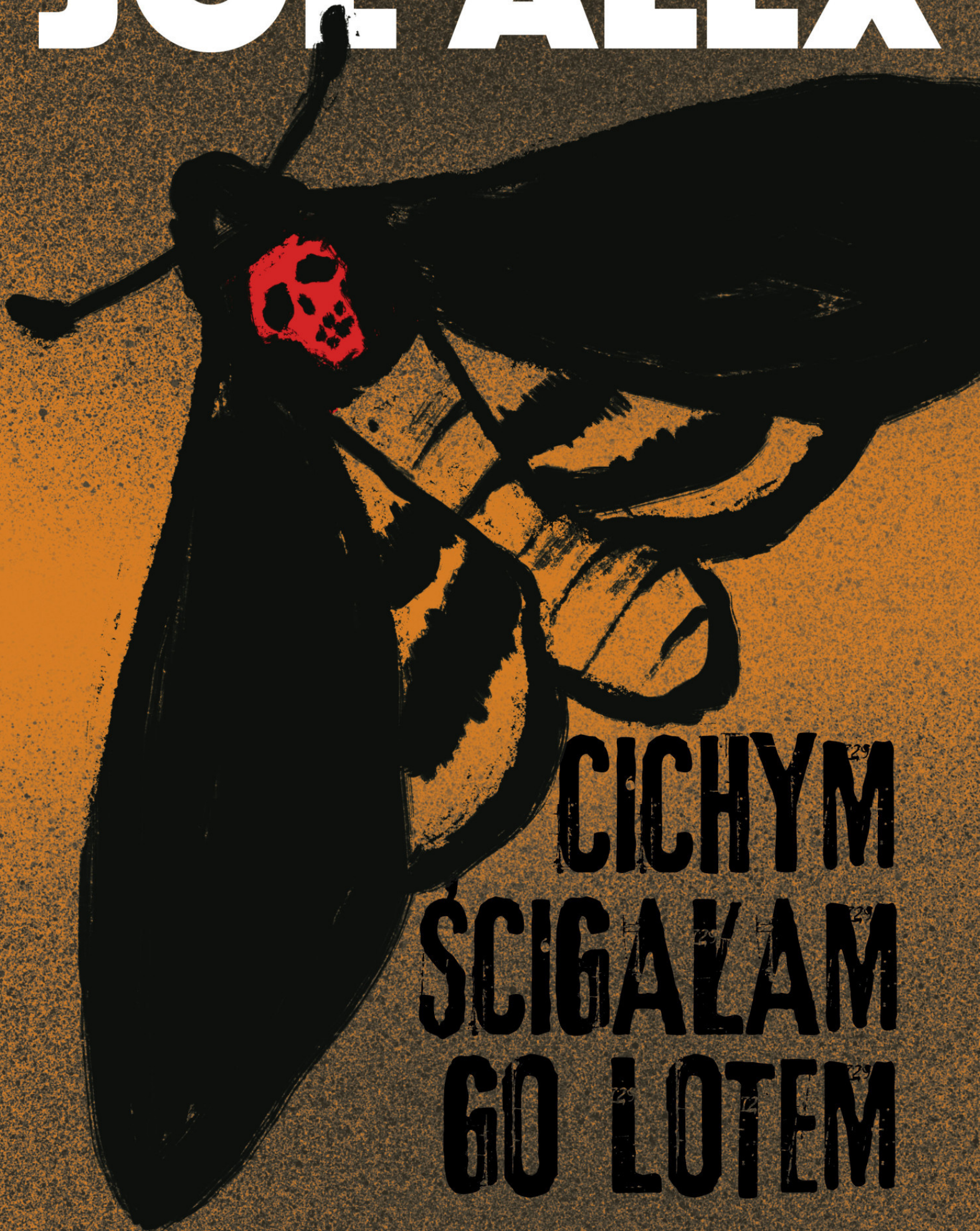


# JOE ALEX



CICHYM  
SCIGALAM  
GO LOTEM

Joe Alex

# CICHYM ŚCIGAŁAM GO LOTEM

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-22-9

© Copyright by The Estate of Maciej Słomczyński (2022)

© Copyright for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

Projekt okładki: Olga Bołdok

Erynia

*Nad wodami i lądem, jak żagiel skrzydlaty,  
Bezszelestnym i cichym ścigałam go lotem,  
Wreszcie tu go dopadłam, skrytego mordercę.  
I rozśmiały się do mnie opary krwi ludzkiej.*

**Ajschylos *Eumenidy***

## SPIS TREŚCI

### **CZEŚĆ PIERWSZA**

czyli EPILOG

### **CZEŚĆ DRUGA**

ROZDZIAŁ PIERWSZY w którym mężczyźni sądzą, że kobiety śpią

ROZDZIAŁ DRUGI „...tam będzie tylko pustka i cisza...”

### **CZEŚĆ TRZECIA**

ROZDZIAŁ TRZECI „...Umarł, to się zdarza każdemu...”

ROZDZIAŁ CZWARTY „Pośrodku gabloty, pomiędzy dwiema ogromnymi ómami...”

ROZDZIAŁ PIĄTY „Mam już wszystkie raporty...”

ROZDZIAŁ SZÓSTY Spostrzeżenia panny Agnes White

ROZDZIAŁ SIÓDMY „Zanim porozmawiamy z tą rodziną...”

ROZDZIAŁ ÓSMY Przerażony młody człowiek

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Pan Cyril Bedford

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY Odciski palców na gablotce i na fotografii należą do...

ROZDZIAŁ JEDENASTY Óma trupia główka

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## czyli

## EPILOG

Umieszczony na początku niniejszej książki, a nie na jej końcu po to, aby wyjaśnić Czytelnikowi, czemu Joe Alex, który do tej pory nie znosił życia na wsi, kupił sobie najniespodziewaniej w świecie domek z ogródkiem i zaprosił tam na weekend troje swych najlepszych przyjaciół: Karolinę Beacon oraz Beniamina Parkera wraz z żoną.

Zrobił tak, gdyż:

po pierwsze - wiedział, że opowieść jego musi ciągnąć się właśnie w tych warunkach: na tarasie, po zachodzie słońca, pośród lasów i ogrodów, kiedy usypiają zwierzęta dnia, a budzą się nietoperze i ćmy - tysiące bezszelestnych, włochatych motyli, które żyją wśród nocy, a zawsze kierują się ku światłu. Jedno z tych pięknych, nieszkodliwych stworzeń przyrodnicy nazywają Atropos L., ale cała reszta ludzkości zna je wyłącznie pod nazwą Zmora Trupia Główka. Otóż Zmora Trupia Główka, zawdzięczająca swoje imię wizerunkowi trupiej głowy, który natura umieściła na jej włochatym grzbiecie, grała wielką rolę w opowiadaniu Alexa.

Po drugie - Alex wiedział, że opowiadanie to Czeka go w najbliższym czasie. Miesiąc minął od dnia morderstwa, zeszło ono już z łamów prasy i zaczęło zacierać się w pamięci ludzkiej, a zarówno panna Karolina Beacon, jak i pani Rosemary Parker nalegały nieustannie, aby wtajemniczono je we wszystkie szczegóły tej zdumiewającej sprawy. Tak więc jeśli chciał kupić domek z ogródkiem, lepiej było to zrobić teraz niż później.

Trzeci powód, który skłonił, go do kupna domku, został podany panie Karolinie Beacon na tydzień przed dniem, kiedy Alex odczytał przyjaciółom swoją opowieść. Cofnijmy się do tej chwili.

Karolina Beacon i Joe Alex siedzieli naprzeciw siebie przy stoliku w restauracji mieszczącej się w dużym sztucznym ogrodzie na dachu ogromnego, kilkunastopiętrowego domu. Ostry, prostokątny kontur gmachu, błyskający niklem i szerokimi taflami szkła, górował nad spadzistymi grzbietami domów Pali Mali jak kadłub pancernika nad rządami niskich fal, uciekających aż po granice płaskiego widnokręgu.

Wieczór był ciepły i Karolina zdjęła lekką narzutkę, okrywającą jej piękne ramiona, opalone równo i gładko na kolor jasnego złota, przygaszonego teraz nadchodzącym zmrokiem. Leciuteńkim ruchem odstawiła filiżankę i przysunęła sobie trójkątny, pachnący ponczem kawałek tortu.

- Czy usłyszałaś, co powiedziałam, Joe? - uśmiechnęła się nieznacznie.

- Oczywiście! - powiedział z przekonaniem tym większym, im mniej uzasadnionym. - Każdą sylabę!

Ale nie słyszał. Słyszał słowa, świadomość rejestrowała całe zdania i układała je w sensownej kolejności, ale nie rozumiał ich zupełnie, chociaż wiedział, że Karolina pyta go już po raz drugi o to samo. O co?

- Oczywiście! - powtórzył. - Ale dlaczego o to pytasz? - Zmarszczyła brwi.

- Teraz jestem już absolutnie pewna, że myślałeś o czym innym, ty oszuście. Pytałam się, kiedy nareszcie opowiesz mi o tej aferze z ćmą. Chciałam ci przy okazji zakomunikować, że za trzy tygodnie wyjeżdżam do Egiptu... - I widząc zdumioną minę Alexa, dodała:

- Będziemy kopali niedaleko Sidi-Hafra. Profesor Nichols jest absolutnie przekonany, że właśnie tam pogrzebano ostatnich dwóch faraonów VII dynastii. Jeden z nich... ale mniejsza o to. Nie mówmy o faraonach. Jeżeli nie dowiem się niczego o tej ćmie w ciągu najbliższego czasu, nie dowiem się o niej nigdy. Później, kiedy wrócę, będzie już sto innych spraw.

- Niestety, to nie była moja tajemnica... - Joe rozłożył ręce z taką siłą ekspresji, że o mało nie strącił różnobarwnych cynii, które stały na stoliku w płytkim porcelanowym dzbanku. - Parker miał z tym masę kłopotu, rozmaite wysoko postawione osobistości nalegały na absolutną dyskrecję, a skończyło się wszystko tak, że prasa otrzymała wiadomość o samobójstwie. Gdyby ktoś z reporterów wpadł wtedy na ślad całej historii, policja musiałaby się długo i gęsto tłumaczyć. Dlatego postanowiliśmy milczeć obaj, to znaczy Parker i ja, póki nie minie trochę czasu i ludzie nie zapomną o tym. Oczywiście „Sprawa trupiej główki” nadal jest tajemnicą i pozostanie nią, ale... - uśmiechnął się lekko - żona zastępcy kierownika Wydziału Śledczego Scotland Yardu i ty, która jesteś... jesteś... no jesteś! - dokończył nie mogąc znaleźć właściwego słowa - możecie teraz dowiedzieć się o tym. Ale powtarzam raz jeszcze, że...

- Zdaje się, że nigdy jeszcze nie zamieniłam z nikim słowa na temat twoich spraw, Joe? - Panna Beacon była lekko urażona. - A nie muszę ci chyba mówić, że już sto razy najrozmaitsi reporterzy używali różnych wyszukanych sposobów, żeby coś ode mnie wyciągnąć. Jesteś przecież tak obrzydliwie popularny... - Wydęła usta w lekkim grymasie. - Zresztą możesz oczywiście nigdy mi nic na ten temat nie mówić. W końcu wiesz przecież, że nie uważam tej dziedziny życia za najbardziej interesującą...

- Tak... - Joe pokiwał smutnie głową. - Doskonale rozumiem, że wygrzebywanie starych skorup i nadgryzionych przez termyty kościotrupów ma swoje uroki i przy odrobinie dobrej woli może uchodzić za najbardziej pasjonujące zajęcie pod słońcem. Archeologia to bardzo piękna nauka. Jestem dumny z ciebie! - Roześmiał się i położył dłoń na jej drobnej, ale silnej dłoni. - Żartuję, kochanie... Przrzekam ci, że jeszcze w tym tygodniu i ty, i Rosemary Parker będziecie wiedziały wszystko. Zmieniłem tylko nazwiska, okolice i cechy charakterystyczne bohaterów. Poza tym wszystko zostało tak, jak było.

- Napisałeś o tym powieść? Kiedy?.

- W ciągu ostatnich dwu tygodni.

- Jak się nazywa?

- „Cichym ściagałam go lotem...” - powiedział Joe i zarumienił się lekko, przewidując następne pytanie.

- Boże... - Karolina westchnęła. - A z czego znowu wzięty jest ten tytuł?

- Z „Eumenid...”

- Z Aischylosa! Każdy twój bestseller profanuje w tytule jakąś bliską mi osobę.

- Zapewne... - Joe skromnie pochylił głowę. - Ale sam tłumaczę te fragmenty i kształcę się przy okazji.

- Roześmiał się. - Poza tym popularyzuję tych starsuszków, a to też coś znaczy w czasach, kiedy ogromna większość ludzi myśli, że Ajschylos to imię konia wyścigowego albo nazwa odmiany reumatyzmu. Zresztą to takie ładne tytuły dla książek kryminalnych... Łączę przyjemne z pożytecznym...

- Obawiam się... - szepnęła Karolina - że przyjemność i pożytek zostały w tej sprawie zarezerwowane wyłącznie dla ciebie. Ale nie mówmy już o tym. W domu powieszono go nie należy...

- Mówić o prawdziwej literaturze... - Alex pokiwał głową. - Może kiedyś napiszę książkę...? - szepnęła podejrzenie rozmarzonym głosem. - Książkę na miarę epoki, wielkie, wspaniałe dzieło, które będę co wieczór wyciągał spod poduszki i odczytywał ze skupieniem, żeby potem z czcią ucałować własną rękę. Obawiam się tylko, że nikt tego nie będzie czytał i wszyscy będą mieli mi za złe, że marnuję czas zamiast pisać dobre, precyzyjnie zbudowane zagadki dla domorosłych detektywów, jakimi stają się moi czytelnicy po zapłaceniu kilku pensów za egzemplarz któregośkolwiek z moich traktacików o zbrodni... - roześmiał się.

Łabędzie pióra marzeń!

Może czas wyzwoli

Was, kiedy przyjdzie starości?...

- Przepraszam za jeszcze jeden cytat. Ale jeżeli mamy już mówić o mnie, to przyznaję, że nie słuchałem cię przed chwilą z taką uwagą, na jaką zasługuje każde twoje śliczne słowo. Zgadnij, o czym myślałem.

- Najprawdopodobniej o jakimś nieboszczyku, którego ktoś nieznanymi odesłał do Boga Ojca Wszchemogącego.

Karolina wypita resztę kawy i rozejrzała się. W przepaści pod nimi zapalił się pierwszy neon i błękitnymi błyskami zaczął wzywać dzieci do zjedania jak największej ilości mączki Nestle'a.

- Nic podobnego! Myślałem o czymś najbardziej spokojnym, o... - urwał, potem spojrzał na nią spod oka. - Zawsze wiedziałem, że nie należę do ludzi o najbardziej niezmiennych poglądach i stałych upodobaniach. Ale wydawało mi się, że w zamian za to wiem doskonale, czego nie lubię...

- Zgoda na to pierwsze - Karolina kiwnęła głową. Drugi neon, który ożył nad dachem domu stojącego naprzeciw, zapalił fioletowe ogniki w jej oczach.

- Między innymi - ciągnął nie zrażony tą uwagą Joe - byłem przekonany, że nie lubię życia na wsi. Urodziłem się w Londynie i chociaż wiele podróżowałem, a czasem nawet przyjmuję zaproszenia od znajomych mieszkających na wsi, to jednak zawsze wydawało mi się, że nie potrafiłbym żyć z dala od miasta...

- Jaki śliczny fragment autobiografii... - Karolina westchnęła. - Wydawało mi się przez chwilę, że umarłeś i czytam o tobie w gazecie. Wyobrażam sobie twój kondukt pogrzebowy: wszyscy policjanci i wszyscy poważniejsi zbrodniarze Londynu idący razem w takt... zdaje się, że lubisz muzykę żałobną Chopina, prawda?

- Och, oczywiście! Ale myślę, że w kondukcie tym znalazłaby się i pewna znajoma dama, o ile oczywiście nie byłaby właśnie w jakimś zakazanym punkcie globu zajęta dłubaniem w nosie mumii Amenhotepa Średniego. Czy płakałabyś po mnie?

Pytanie było zadane tak lekkim tonem, że Karolina otworzyła usta, żeby wyjaśnić mu, jak bardzo rozśmieszyłaby ją ta wiadomość, ale nie powiedziała nic. Spuściła oczy.

- Wiesz przecież, jak bardzo bym płakała, Joe... - powiedziała cicho.

- Hm... - Alex chrząknął. - Właśnie. O śmierci nie należy mówić po dobrym posiłku, bo człowiek natychmiast staje się sentymentalny. Wracając do tematu: widzę, że nie zgadniesz, o czym myślałem.

- Nie... - Karolina potrząsnęła głową. Zbyt często bała się o niego, kiedy znikał z tym swoim ironicznym uśmiechem na ustach, na skutek jakiegoś niezrozumiałego telefonu, którego treścią była przeważnie wiadomość o znalezieniu zwłok ludzkich.

- Otóż postanowiłem przenieść się na wieś.

- Na wieś? - otworzyła szeroko oczy. - Jak to na wieś? Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

- Nie, niezupełnie. To znaczy - nie chcę powiedzieć, że wyprowadzam się na koniec świata. Ale kupiłem wczoraj domek z dużym, mrocznym ogrodem od północy i przystrzyżonym jak kort tenisowy trawnikiem od południa. Mam tam róże, jaśmin, magnolie i... nie nauczyłem się jeszcze wszystkich nazw. Szczerze mówiąc, lubię tylko cynie. Nigdy nie byłem mocny w botanice. Miałem nawet w związku z tym pewne kłopoty w szkole, a później...

- Jak to! - Karolina jeszcze nie ochłonęła. - Chcesz mi wmówić, że będziesz odtąd mieszkał z dala od Londynu?

- Nie. Mój domek leży w Londynie, ściślej biorąc, niedaleko Richmond Parku.

- No, to jeszcze nie tak strasznie... - Odetchnęła, ale natychmiast spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Słuchaj, czy to nie tam właśnie rozegrała się ta tragedia? - Skinął głową.

- Tak, jestem nawet sąsiadem, jeżeli wolno użyć tego określenia, domu, w którym rozegrała się „tajemnica trupiej główki”. I właśnie tam mam zamiar zaprosić was wszystkich, żeby po kolacji, w otoczeniu idealnie stosownym dla tej tragedii, mając przed oczami tamten ogród i widząc nawet światła w oknach tamtego domu, przeczytać wam moje sprawozdanie ze śledztwa.

- No, dobrze, ale przecież nie kupiłeś tego domku tylko po to, żeby przeczytać nam w nim swoją nową książkę?

- Oczywiście, że nie. Chcę tam pozostać. Tam jest bardzo ładnie, Karolino, i jeżeli przyjdzie ci kiedykolwiek ochota, żeby mnie tam odwiedzić, to sama przekonasz się, że...

- A co z twoim obecnym mieszkaniem? Przecież marzyłeś o nim przez rok, planowałeś je przez pół roku i meblowałeś przez kilka miesięcy. Chcesz je porzucić?

- Nie... - Joe potrząsnął głową. - Widzisz, mam pewien plan. Chciałbym... chciałbym naprawdę trochę przestać pisać te... te, no wiesz przecież. Sama nie zanadto szanujesz te moje książeczki. Chciałbym napisać coś, co nie będzie stworzone wyłącznie dla pieniędzy. Myślę, że taki domek idealnie się do tego nadaje...

- Zapewne... - W głosie Karoliny było nieco powątpiewania. Mniej więcej raz na rok Joe wybuchal obrzydzeniem na sam widok płaskiej maszyny Olivetti i wkręconego w nią papieru. Chodził wtedy po pokojach i planował wstrząsająca, wiekopomną literaturę. Trwało to zwykle tydzień, dwa i kończyło się niespodziewanym zamówieniem miejsca na pokładzie jednego ze statków albo samolotów kierujących

się ku egzotycznym stronom. Wracał opalony, wesoły i pogodzony z losem. Znowu dzwonili wydawcy i znowu zasiadał do opisywania przygód bohatera, którym był on sam. Poza tym telefonował wówczas albo zjawiał się Benjamin Parker, gdyż w tak olbrzymim mieście, jakim jest Londyn, ludzie nieustannie umierają z nie ustalonych przyczyn albo po prostu giną z raki nieznanymi mordercami. I Joe zniknął wówczas z pola widzenia, aby wynurzyć się później na światło dzienne jak kometa, ze sforą reporterów i fotografów tworzących jej ogon. Prasa lubiła go, lubiła go także publiczność. A ponieważ pisał dużo, więc popularność jego rosła z każdym rokiem. Karolina nie sądziła, aby w tej sytuacji porzucił swój tryb życia dla walki o wiele trudniejszej niż starcie z najprzebiegłym zbrodniarzem. Bo chociaż wierzyła, że Alex mógłby być pisarzem wielkiego formatu, nie wyobrażała sobie, aby znalazł kiedykolwiek dość silnej woli dla stworzenia chociażby jednej książki, którą mógłby podpisać swoim prawdziwym nazwiskiem. Bo Joe Alex był to oczywiście pseudonim, pod którym znała go publiczność, policjanci i zbrodniarze. Tylko Parek, który wraz z Alexem przeżył całą wojnę na pokładzie bombowca nocnego, przeznaczonego do nalotów na Niemcy, znał jego prawdziwe nazwisko. Znała je także Karolina, chociaż nigdy nie była na pokładzie żadnego bombowca. Ale Karolina nigdy nie chciała wyjść za mąż za tego zdumiewającego człowieka, którego kochała od lat prawdziwą i absolutnie szczerą miłością. Było w nim coś nieuchwytnego i tak nieprawdziwego, że chwilami wydawało jej się, jak gdyby nieustannie grał bliżej nie sprecyzowaną rolę w sztuce, której początku, środka i zakończenia sam nie znał, a wiedział tylko, że w pewnych sytuacjach niewidzialny reżyser nakazuje mu zachowywać się w pewien ściśle określony sposób. Bała się tego i nie rozumiała. Może dlatego pokrywała swój lęk lekceważeniem dla jego zawodu: autora powieści kryminalnych. Sama była jednym z czołowych młodych archeologów angielskich i wiedziała, że wszyscy wróżą jej wielką przyszłość. Ale bywały momenty, kiedy wydawała się sobie groteskowo mała wraz ze wszystkimi swoimi poważnymi zainteresowaniami, a ten mężczyzna - który na pozór nie przykładał do niczego specjalnej wagi, pracował tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę, i robił wówczas zawsze rzeczy absolutnie go nie interesujące (bo wierzyła mu, kiedy twierdził, że pisuje tylko dla pieniędzy) - wydał się jej prawdziwszy i znacznie głębszy niż ona. I dlatego może bała się, że któregoś dnia Joe poda jej obojętnym ruchem rękopis, który będzie objawieniem literackim epoki. Miał wszystkie dane po temu: znał znakomicie życie, był nieprawdopodobnie inteligentny, a szybkość kojarzenia faktów i idei pozwalała mu przecież z taką zdumiewającą łatwością odkrywać ponure tajemnice, wobec których Scotland Yard, wraz z całym swoim potężnym aparatem naukowym i tysiącami współpracowników, stawał bezradny jak dziecko. Karolina bała się owej chwili podświadomie, gdyż wiedziała, że wtedy wyjdzie za niego za mąż i będzie... nieszczęśliwa.

- Zapewne taki domek lepiej będzie się nadawał do poważnej pracy literackiej niż mieszkanie w śródmieściu, ale nie jestem pewna, czy do tej pory nie napisałeś nic poważnego tylko dlatego, że brak ci było domku z ogródkiem.

- Och, nie! Nie napisałem do tej pory nic poważnego dla tej prostej przyczyny, że... - zająknął się - jakoś nie czułem, że nadszedł czas pisania... Trudno mi to wytłumaczyć...

- A czy teraz czujesz, że ten czas nadszedł?

- Tak.

- Czy jesteś tego pewien?

- Tak.

Karolina umilkła, potem uniosła głowę.

- Jestem całym sercem z tobą... Ale przecież przed chwilą powiedziałaś, że odczytasz nam swoją ostatnią książkę kryminalną. Czy... czy ona naprawdę ma być ostatnia?... To znaczy, czy nie będziesz już pisał więcej tego rodzaju utworów?

- Ależ skąd! Oczywiście, że będę! - Uśmiechnął się. - Nie umiałbym tworzyć na poddaszu. A przecież ze sztuki mało kto potrafi się utrzymać na tym tak przepełnionym szacunkiem dla sztuki świecie. Tragedii część pierwsza polega na tym, że ludzie o wiele chętniej dają artystom szacunek niż pieniądze, a tragedii część druga na tym, że bez pieniędzy jest niesłychanie trudno na dłuższy dystans utrzymać szacunek dla samego siebie. Człowiek biedny znosić musi tak niezliczoną ilość przykrości, niewygód i upokorzeń, od których wolny jest człowiek zamożny, że Joe Alex będzie pisał swoje zagadki detektywistyczne, dopóki ludzie będą chcieli je czytać i płacić za nie. Ale przecież jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Po prostu pisać takie rzeczy tylko dla pieniędzy jest w ostatecznym obrachunku rzeczą niemoralną. Jeżeli natomiast mają one służyć wyższemu... - znowu się uśmiechnął - celowi, wtedy wszystko jest usprawiedliwione.

- Czy ty to mówisz serio, Joe?



- Nie jestem pewien, czy mówię to serio. Ale jestem pewien, że zapraszani cię w tej chwili na weekend do mojego domku. Oprócz ciebie będą tylko Ben Parker i Rosemary. Przeczytam wam tę ostatnią moją książeczkę, która będzie jednocześnie odpowiedzią na sto twoich zapytań z całego ubiegłego miesiąca. A później...

Urwał.

- Co później? - zapytała Karolina. Było już zupełnie ciemno. Ze wszystkich krańców widnokregu spływały ku nim miliony świateł. Odblask ich tworzył jasną mgiełkę, która zacierała gwiazdy.

- Później... - Joe roześmiał się. - Zobaczymy. Wszyscy ludzie miewają jakieś przygody w życiu. Może i ja się zdobędę na przeżycie mojej przygody... - I skinął na kelnera stojącego pod kolosalną, zakurzoną palmą, umieszczoną w potężnej donicy, zrobionej z klepek i opasanej stalowymi taśmami jak beczka. - Chcemy zapłacić - powiedział - za wszystko, co zjedliśmy pod tym dachem... - spojrzał na niebo - jeżeli wolno tu użyć takiego określenia.

- To najładniejszy dach, jaki udało nam się zdobyć dla naszych gości... - Kelner pochylił głowę, a potem uniósł wzrok ku zadymionym gwiazdom.

- Mówi pan jak rzymski poeta... - Joe położył banknot na stole i wstał równocześnie z Karoliną. Ale kelner uprzedził go i z ukłonem podał dziewczynie narzutkę.

- Jest pan pierwszym z naszych gości, który rozpoznał w tym cytat z Teofrastusa... - skłonił się. - Mara nadzieję, że obiad smakował państwu.

- Był znakomity... Do widzenia...

Alex ujął Karolinę pod ramię i odeszli w stronę windy.

- Co za zdumiewający kraj: Anglia! - powiedział półgłosem, pochylając się w stronę jej małego, różowego ucha. - Kelnerzy cytują Rzymian i bawi ich to, że nikt z gości tego nie zauważa!

Ale Karolina nie odpowiedziała. Tak jak poprzednio Joe, teraz ona nie usłyszała tego, co mówił. Myślała o tym, że ów zdumiewający człowiek, który przeżył prawdopodobnie więcej przygód niż którykolwiek z mieszkańców tej ogromnej, ciągnącej się u ich stóp metropolii, powiedział do niej przed chwilą, że i on także ma prawo do przeżycia swojej przygody. A przygodą tą miała być po prostu książka, którą chciał napisać,

- Tak... - odpowiedziała, myśląc, że zapytał ją, czy przyjedzie. - Oczywiście, że będę. Ale zapomniałeś podać mi adres. A czy w ogóle ten dom istnieje naprawdę?

- Och, jak najbardziej! Higgins już tam jest i działa. W sobotę po południu ja sam cię zawiozę i przeniosę przez próg. Będziesz gospodynią tego weekendu.

- Jeżeli jest tam Higgins, nie potrzeba już żadnej dodatkowej gospodyni - powiedziała Karolina i weszła w otwierające się bezszelestnie drzwi windy.

I miała słuszność. Kiedy przybyła w sobotnie popołudnie do prześlicznego, małego domku, leżącego przy jednej z cichych, zielonych ulic w okolicach Richmond Parku, wszystko już było zapięte na ostatni guzik.

Higgins, najdoskonalszy służący, był niewidoczny. Znalazła go dopiero podczas zwiedzania piwnic domku. Ubrany w biały fartuch, tkwił zanurzony we wnętrzu olbrzymiej lodówki, stojącej przy drzwiach kuchni. Na jej widok wyprostował się i trzymając w obu rękach dwie smukłe butelki reńskiego wina, skłonił się spokojnie i z godnością. Ani jeden włos na jego siwiejącej głowie nie odstawał nawet na milimetr.

- Dzień dobry, miss Beacon! Bardzo piękną mamy pogodę dzisiaj, prawda? - Wskazał oczyma wino. - Mam nadzieję, że uda się nam je podać w odpowiedniej temperaturze, chociaż nieustanne zmiany w naszym gospodarstwie i związana z tym zmiana przyrzędów pomocniczych... - wskazał oczyma lodówkę - mogą wpłynąć na pewne niedokładności...

- Jestem przekonana, że żadnych niedokładności nie będzie! - Karolina zajrzała do lodówki. - Co to za olbrzym! Ciekawa jestem, co będziecie w niej trzymali. Przecież wystarczyłoby dla batalionu wojska.

- Jestem tego samego zdania, jeżeli wolno mi to zauważyć, miss Beacon... Ale pan Alex lubi rozwiązania ostateczne... Kazał mi kupić największą i najlepszą lodówkę, jaką znajdę. Oczywiście, były jeszcze większe lodówki, ale obawiałem się, że żadnej z nich nie będzie można przetransportować całość... Tak więc poprzestaliśmy na tej... Poza tym okolica jest nieco odludna... - Higgins rozłożył ręce i pochylił znowu głowę, jak gdyby pragnął się usprawiedliwić - dlatego obawiam się, że obiad może nie być taki, jaki mógłby być, gdybyśmy pozostali w dawnym mieszkaniu... Chociaż, oczywiście, to także ma

swoje plusy. Bardzo tu cicho na przykład. Ale po jego tonie Karolina poznała, że ciszy panującej wokoło Higgins nie zalicza do największych i najkonieczniejszych zalet jakiegokolwiek mieszkania.

Lecz mimo tych wszystkich zastrzeżeń obiad udał się znakomicie i kiedy wreszcie zasiedli we czworo na ukrytym w strumieniach bluszczu tarasie i Aleś wyszedł na chwilę do swojego gabinetu, pani Rosemary Parker westchnęła.

- Powinniśmy przenieść się w taką okolicę, Ben. Chłopcy już dorastają i sama nie wiem, co będę robiła, kiedy pójdą w świat. Tu miałabym przynajmniej ogród i sąsiadów. W śródmieściu można przemieszkać dwadzieścia lat w jednej kamienicy pod wspólnym dachem z tysiącem innych osób i nie wiedzieć nawet, jak się nazywają. Tu, na przedmieściu, wszyscy się znają i wszyscy są sympatyczni... Urodziłam się i wychowałam w takiej okolicy...

- Ba... - Parker wyciągnął się wygodniej w fotelu. - Po pierwsze: pomyśl, jak długo musiałbym jechać stąd do Yardu i ile czasu zajmowałby powrót, a po drugie: nie wszyscy są tu tacy sympatyczni, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka. Te ciche domki i urocze wille kryją niejedną tajemnicę, od której można osiwieć...

Alex wszedł na taras i usiadł pod lampką palącą się na stoliku.

Parker uniósł się lekko i dotknął palcem papierowej teczki Alexa.

- Tu macie relacje wydarzeń, które rozegrały się w tamtym oto domu...

Uniósł rękę i wskazał palcem, poza kręgiem zapadającej ciemności, dwa oświetlone okna na parterze niewidocznej w mroku willi, leżącej po drugiej stronie ulicy.

- Miesiąc temu staliśmy w jadalni, do której należą te właśnie dwa oświetlone okna, i nie rozumieliśmy absolutnie niczego, a w sąsiednim pokoju... Ale nie chcę uprzedzać wypadków...

- Właśnie! - Pani Parker zwróciła się ku Alexowi: - Zaczynaj już czytać, Joe. Umieram z ciekawości, a ten mój posłuszny prawom policjant nie chciał nawet ust otworzyć przez cały miesiąc.

- Dobrze! - Joe otworzył teczkę. W tej chwili wielka ćma uderzyła o lampę, zawirowała wokół niej i zniknęła w ciemności. - Ładny i teatralny początek! - Alex uśmiechnął się. - Co prawda, to nie była trupia główka, tylko Sphinx, też piękna ćma, różowawa i tak samo nieomal wielka... One lubią tę okolicę.

- Czytaj już... - powiedziała cicho Karolina. - Ja też jestem tylko kobietą i mam prawo do okazywania ciekawości...

Joe skinął głową.

- Otóż oczywiście Ben i ja byliśmy obecni na miejscu tylko po zbrodni. Ale pozwoliłem sobie, na podstawie dosyć dokładnej rekonstrukcji, podzielić ten utwór na dwie części: jedna dzieje się przed zbrodnią, w drugiej my bierzemy udział. Wydawało mi się to konieczne, bo właśnie rekonstrukcja pierwszej części i nasza znajomość wypadków przed zbrodnią utrudniły wykrycie mordercy...

- Utrudniły! - Parker wzruszył ramionami. - Morderca został wykryty w ciągu dwóch godzin!

- Ale mało brakowało, a nie zostałyby nigdy wykryty, a co gorsza, jeszcze mniej brakowało, żeby zamiast niego został aresztowany i skazany zupełnie niewinny człowiek... No, ale zaczynajmy.

Otworzył teczkę i przysunął ku światłu pierwszą zapisaną gęstym maszynopisem kartkę papieru.

# CZĘŚĆ DRUGA

## ***Rozdział pierwszy***

### **w którym mężczyźni sądzą, że kobiety śpią**

Tego wieczoru Joe Alex pisał, jak zwykle, bez wielkiej przyjemności i bez odrazy. Kartki z równo poukładanymi błękitnymi kopiami w regularnych odstępach czasu opadały na stojący obok biurka stolik. Joe nie zasiadał nigdy do pisania, nie mając absolutnie gotowego planu powieści wraz z drobiazgowo opracowanym „rozkładem jazdy” każdego rozdziału. Dlatego pisał w tej chwili, nie bardzo myśląc o tym, co pisze. Było to tak, jak gdyby połowa mózgu układała gładkie, zręczne zdania, prowadząc bohaterów poprzez dialogi i opisy ku nieuniknionemu schwytnemu mordercy, gdy tymczasem druga połowa zajęta była czymś zupełnie innym. W tej chwili była ona wypełniona obrazem panny Karoliny Beacon uśpionej, a może usypiającej nad książką gdzieś na drugim krańcu Londynu. Spojrzał na kartkę, którą właśnie wykręcił z wałka maszyny. Sto dziewięćdziesiąt osiem...

Przetarł zmęczone oczy, wstał i nie spojrzawszy, nawet w stronę przerwanej w połowie rozdziału, poszedł do łazienki. Po dziesięciu minutach usypiał już, zgasiwszy światło. Raz jeszcze pomyślał o Karolinie. Uniósł nawet rękę w kierunku stojącego na nocnym stoloczku telefonu. Chciał powiedzieć jej coś bardzo miłego na dobranoc.

Ale nie powiedział. Był bardzo zmęczony, bo pracował przez cały dzień od wczesnego letniego świtu. Pod czaszką przesuwały się szeregi czarnych, maleńkich liter, jedno za drugim, jak legiony natarczywych owadów, szeleszcząc niemal dostyszalnie, tworząc zdania banalne, nonsensowne i sensowne, połączone kładkami myślących i odgradzone wykrzyknikami. Powoli litery zniknęły, pozostały tylko owady: mrówki, koniki polne i pchły, skaczące z rzędka na rządkiem. Wreszcie nadszedł łagodny chaos snu, kontury zamazały się, z mrówek powstały motyle, migotliwe ptaszki i ćmy... Machały skrzydełkami coraz wolniej, zataczały coraz szersze kręgi. Usnął. Ostatnim obrazem, który pozostał w jego świadomości, był widok ciemnej, włochatej ćmy, kołującej powoli pośród pomarańczowego półmroku. Dlatego może nie dziwił go tak bardzo telefon, który rozdzwonił się o świcie.

Ale nastąpi to dopiero za kilka godzin. Teraz, w chwili kiedy Alex usypiał, nie tylko przed jego oczyma pojawiła się wielka, włochata ćma. Na dalekim przedmieściu, pośród ogrodów okolic Richmond Parku, było wiele ciem i pewna liczba osób, które się nimi interesowały.

- Zmora Trupia Główka! - zawołał w ciemności sir Gordon Bedford. - Cyjanek, Cyrilu, prędko!

Jego wielka, ciężka dłoń jednym delikatnym, zręcznym ruchem osadziła na powierzchni ekranika małe szklane naczynie o nieco rozszerzonym ujściu. Ogromna, uwięziona ćma zatrzepotała rozpaczliwie i zaczęła miotać się w naczyniu, bijąc skrzydłami w poszukiwaniu drogi do wolności.

Z mroku wynurzyła się błyskawicznie dłoń Cyrila Bedforda. Była ona tak samo wielka i ciężka jak dłoń brata. Cyjanek na watce został zręcznie wsunięty; w wylot naczynia. Ćma zatrzepotała jeszcze raz gwałtownie, potem powoli złożyła skrzydła i opadła na dno naczynia. Drgnęła raz jeszcze, a później jej zgięte nóżki wyprostowały się i znieruchomiła.

Gordon Bedford ostrożnie usunął watkę. Ćma spadła w zagłębienie jego rozpostartej dłoni. W przytłumionym blasku silnej latarni, która płonęła po drugiej stronie ekranika, wabiąc ćmy i dziesiątki innych nocnych owadów, pokrywających płótno i poruszających się na nim bezładnie - wyglądała jak mały, zabity ptak, leżący na grzbiecie.

Obaj bracia pochylili się nad nią. Nawet w półmroku byli bardzo podobni do siebie: ogromni, masywni, o małych głowach, osadzonych na krótkich, szerokich szyjach. Ale Cyril ubrany był tylko w białą koszulę z krótkimi rękawami i szorty. Gordon Bedford miał na sobie grubego sweter z wysokim, wywiniętym kołnierzem, szczelnie i wysoko opatulającym szyję. Gruba, wełniana szkocka czapka osłaniała głowę.

- Mamy wyjątkowe szczęście, Cyrilu. To już trzecia dzisiaj. Wyjątkowe szczęście. Nie zdarzyło mi się to jeszcze nigdy dotąd w tym kraju... - Szybкими, sprawnymi palcami wsunął ǳmę do próbówki, jednej z wielu leżących na małym składanym stoliku, który stał obok ekranu. - Atropos... - Wyprostował się i otarł pot z czoła. Najwyraźniej grubość swetra dawała mu się we znaki. Noc była parna i w powietrzu wisiała burza, chociaż niebo nad głowami stojących pokryte było gwiazdami. Uniósł próbówkę i spojrzął pod światło na ǳmę. - Atropos... antypatyczna mitologiczna panna, która budziła lęk nawet w Platonie. Przecinała nić ludzkiego życia. Mamy wyjątkowe szczęście, Cyrilu. Pomyśl, że wszystkie trzy przywędrowały do tego ogrodu aż znad Morza Śródziemnego Cyril Bedford nie odpowiedział. Podeszedł do ekraniku i w milczeniu zaczął obserwować długiego, wąskiego owada o ogromnych, nerwowo poruszających się czułkach, który biegał w kółko, jak gdyby pragnąc przedostać się do źródła blasku ukrytego za białą osłoną płótna. Cyril zgarnął dłonią owady, i ekranik zaświecił silniej.

Gordon także się zbliżył i spojrzął na zegarek. - Pół do drugiej... Trzeba już kończyć. Chciałbym, żebyś poszedł teraz do Reutta i powiedział mu, że proszę go o ostateczną kontrolę tekstu nie o siódmej, ale o szóstej. Powiedz mu oczywiście, że ty też będziesz i przyniesiesz pełen komplet ilustracji. Cyril kiwnął głową.

- Oczywiście... - Spojrzął na dom. - Nasze żony już śpią. U Judyty światło zgasło parę minut temu. Za to Robert pracuje...

- To dobrze... - Gordon przesunął oczyma po ciemnych oknach pierwszego pietra. Tylko w jednym z nich płonęła lampa za nieszczelnie zasuniętymi storami. - Myślę, że będzie gotów na czas. Sylvia także chyba śpi. Nie zauważyłem, żeby zapalała światło po jedenastej... - A potem dodał na pół do siebie: - To dziwne, jak łatwo kobiety zasypiają. Myślę, że jest to jedna z przyczyn, dla których odegrały tak małą rolę w rozwoju naszego gatunku.

- Słucham? - Cyril potrząsnął głową jak człowiek, który myśląc intensywnie o jednym problemie, zmuszony jest do rozważenia innego, który go nic nie obchodzi. - Dlaczego?

- Najprawdopodobniej cały postęp świata zawdzięczamy łodziom, którzy nie mogli usnąć nocą i leżeli wpatrzni w sufit, nawet jeśli był to strop pieczary, kiedy jeszcze nie było domów. Mężczyźni potrafią rozmyślać o czymś, czego jeszcze nie ma, a co chcieliby stworzyć. Kobiety - nie. Są zdeterminowane psychicznie swoją funkcją matek - opiekunek małych. To czyni je nadal bliskimi krewnymi innych zwierząt. Kierują się instynktem. Dlatego wolałbym zawsze mieć do czynienia w sprawach myśli z najgłupszym mężczyzną niż z najprzemysłniejszą kobietą. A jeśli chodzi o sen, znane są wypadki, kiedy kobieta po dokonaniu najohydniejszej zbrodni spokojnie zasypiała natychmiast, gdy tymczasem mężczyźni w tej samej sytuacji leżą zwykle ogarnięci wyrzutami sumienia lub - jeśli ich nie mają - zajęci gorączkowym przewidywaniem najbliższej przyszłości. Jest w kobietach coś przerażającego, Cyrilu, czego nie spotkasz u samic ryb, ptaków, owadów, a nawet u wyższych ssaków. To cywilizacja oddaliła je od nas, a największe osiągnięcia myśli ludzkiej, dokonane wyłącznie przez mężczyzn, oddaliły je od nas jeszcze bardziej... - Spojrzął znowu w stronę wygaszonych okien. - Dobre i złe, piękne i brzydkie, uczciwe i zbrodnicze, wszystkie one potrafią spać bez względu na sytuację, do jakiej spokojnie doprowadziły, bo dobro, zło, szlachetność i zbrodnia są dla nich tylko rekwizytami, jak dobrze lub źle dobrane barwy sukni czy szala...

Jednakże mylił się. Ani Judyta Bedford, żona jego brata, ani Sylvia Bedford, jego własna żona - nie spały w tej chwili, chociaż światło dawno już zgasło w ich pokojach.

Judyta Bedford leżała na wznak w swoim łóżku. Oczy miała szeroko otwarte. Patrzyła w sufit. Jej chude, założone pod głowę ręce były zupełnie nieruchome, za to wąskie, ostro wykrojone usta poruszały się ledwie dostrzegalnie, jak gdyby prowadziła rozmowę z kimś niewidzialnym, a wyraz oczu świadczył o tym, że nienawidzi tego nieobecnego rozmówcy. W bladym blasku gwiazd Judyta wyglądała jak zmarła mniszka o ascetycznych rysach, wydatnym, wąskim, orlim nosie i gładko zaczesanych, siwiejących włosach. Jej wysokie czoło przecinała sieć poprzecznych zmarszczek, które życie przedwcześnie na nim nakreśliło. Judyta Bedford miała w tej chwili twarz człowieka ogarniętego rozpaczą. Ale uważny obserwator zrozumiałby od razu, że na dnie tej rozpacz kryje się nienawiść do czegoś czy do kogoś, z kim prowadziła teraz swój bezgłosny dialog.

Sylvia Bedford także nie spała. Leżała na wznak na łóżku w swoim pokoju i patrzyła szeroko otwartymi oczyma w sufit. Ręce miała założone pod głowę. A chociaż znajdowała się w pokoju zupełnie inaczej urządzonej niż sypialnia Judyty i chociaż Sylvia była śliczna, młoda i wysoka, a Judyta brzydka, drobna i przedwcześnie postarzała, jednak były - nie wiedząc o tym zupełnie i nie podejrzewając nawet

tego - bardzo podobne do siebie w tej chwili. Usta Sylvii poruszały się bezgłośnie, a w jej oczach było tyleż rozpacz i nienawiści co w oczach jej bratowej.

- Tak... - powiedziała Sylvia szeptem. - Tylko tak... - Usiadła nagle na łóżku i nie zapalając lampy sięgnęła po omacku po szlafrok. Wsunęła nogi w miękkie pantofelki i wstała. Idąc ku drzwiom narzuciła szlafrok. Potrząsnęła głową. Ciemne, długie włosy rozsypały się luźno. Sylvia położyła dłoń na klamce. Przez chwilę stała nieruchomo, potem z nagłym zdecydowaniem otworzyła cicho drzwi i wysunęła się z pokoju.

W domu była jeszcze trzecia kobieta. Stała teraz przy łóżku w swoim maleńkim, położonym obok kuchni, na pół zagłębionym pod powierzchnią ziemi pokoju i patrzyła w ciemny ogród. Ona także nie zapalała światła. Nie chciała, aby wiadomo, że jeszcze nie śpi. Latarka ukryta za ekranikiem znajdowała się o kilkadziesiąt kroków od niej, po drugiej stronie wielkiego klombu, i dlatego kobieta zaledwie dostrzegała sylwetki obu mężczyzn poruszających się na granicy blasku. Patrzyła długą chwilę, wreszcie westchnęła i wsunęła się do łóżka. Była młoda, ładna i wspaniale zbudowana. Leżała przez chwilę z szeroko otwartymi oczyma, starając się myśleć o tym, co ma rano do wykonania w kuchni. Kucharka wyjechała do chorego syna i Agnes White, która była pokojówką w domu Bedfordów, musiała ją zastępować w czasie tego weekendu. Ale równocześnie myślała o swoim narzeczonym, który był daleko, i o pewnym mężczyźnie, który był blisko. Westchnęła raz jeszcze i przymknęła oczy. Coś w końcu musiało nastąpić, i to prędko. Niełatwo być ładną, młodą dziewczyną i mieszkać długo samotnie na takim odludziu... Agnes zacisnęła usta. Najbliższa przyszłość musiała przynieść rozstrzygnięcie. Otworzyła oczy i patrząc w ciemność zaczęła się zastanawiać. Musiała się wreszcie zdecydować. Inaczej... Nie, nie było innego wyjścia. Wiedziała, że to, o czym myślała podczas ostatnich dni, musi nastąpić, bez względu na to, jak trudna wydawała jej się ta decyzja.

Leżąc otarła dwie duże łzy, które zakręciły się jej pod powiekami. Była bardzo nieszczęśliwa, ale zdecydowana. Nie na darmo w żyłach jej płynęła od dziesiątków pokoleń krew szkockich górali. Zatęskniła nagle do maleńkiej wioski, w której przyszła na świat i mieszkała w ciągu pierwszych siedemnastu lat swego życia. Wyjechała stamtąd przed trzema laty. Znowu przymknęła oczy i starała się zasnąć, licząc owce. Ale owce te pasły się na skalistym, tak dobrze znanym jej, pokrytym kępami trawy zbocz. Więc sen nie nadchodził.

- Mój dobry, wielki, miłosierny Boże... - szepnęła. - Jestem chyba najgorsza z wszystkich dziewczyn. Ale ty jeden mnie zrozumiesz. Bo ludzie chyba nie rozumieją...

## **Rozdział drugi**

### **„...tam będzie tylko pustka i cisza...”**

Robert Reutt siedział za stołem ustawionym pośrodku pokoju i z piórem w ręku sprawdzał uważnie leżący, pod lampą maszynopis, zaglądając od czasu do czasu do stosu notatek, które znajdowały się po jego prawej ręce. Nie zauważył otwierających się drzwi, gdyż siedział zwrócony do nich plecami. Nie usłyszał także niczego, gdyż drzwi były dobrze naoliwione i otworzyły się zupełnie bezszelestnie. Ze szpary wysunęło się obnażone ramię kobiece i z wolna zaczęło posuwać się w stronę kontaktu. Wreszcie palce natrafiły na przełącznik i nagle pokój zniknął.

Reutt zerwał się z miejsca.

- Kto to? - zapytał zniżając mimowolnie głos;

- Ciiicho... to ja...

Kobieta zamknęła za sobą drzwi, równie bezszelestnie, jak je otworzyła.

- Sylvia! - W głosie jego było tak wielkie zaskoczenie, że znieruchomiała. - Jak mogłaś?... - Ktoś mógł cię zobaczyć! On... on tu może wejść!

- Jest w ogrodzie... - szepnęła Sylvia Bedford. Usłyszał jej ciche kroki, zbliżające się ku niemu. Oczy jego przywykły już nieco do ciemności. Dostrzegł zarys jej sylwetki, okrytej jasnym szlafrokiem i odcinającej się od ciemnego tła ściany.

- Nie możesz tu zostać teraz...

- Przestań! - powiedziała ostro, unosząc nieco głos. - Nikt mnie nie widział, kiedy wchodziłam, i nikt nie zobaczy wychodzącej. Zaraz pójdą... Ale najpierw muszę z tobą porozmawiać...

- Na miłość boską... - Robert podszedł ku niej i położył dłoń na jej ramieniu. Ale chociaż dotknięcie nie było brutalne, nie było w nim także pieśczoły. - Czy nie możemy znaleźć innych okoliczności, żeby porozmawiać? Błagam cię...

Strząsnęła jego dłoń z ramienia i obróciła się ku niemu. W ciemności nie widział jej twarzy, ale umiał sobie dokładnie wyobrazić, jak w tej chwili wygląda. Cofnął się o krok.

- Chciałabym nawet, żeby ktoś tu wszedł w tej chwili i żeby ta cała komedia wreszcie się skończyła! Coś przecież musiałyby się stać, gdyby mnie tu znalazł!

- Na miłość boską... - powtórzył Reutt. - Pani Judyta śpi za ścianą...

- Niech sobie śpi! Zgasiła światło już przed godziną. Zresztą nic mnie nie obchodzi Judyta. - Mimo to obejrzała się w kierunku ściany, za którą był pokój Judyty Bedford, i ściszyła głos. - Nie ma obawy - dodała spokojniej - na pewno śpi jak zabita... Pracowała przecież przez cały dzień.

Reutt zerknął w stronę otwartego okna. Daleko w dole płonęło małe światełko przed ekranikiem. Dostrzegł dwie postacie pochylone nad stojącym obok ekranika małym stolikiem. Odetchnął. Nie spuszczać oka z owych dwu postaci i z oświetlającej je latarki, powiedział:

- Muszę skończyć dziś w nocy korektę jego manuskryptu. Mam jeszcze osiemdziesiąt stron do końca. Jeżeli jesteś pewna, że ona śpi, powiedz prędko, co się stało. Chyba nie zorientował się?...

- Nie, w niczym się nie zorientował... - Wzruszyła pogardliwie ramionami. - Zresztą uważa mnie za osobę stojącą tak dalece ponad podejrzeniami, że nie uwierzyłby w nic, nawet gdyby zobaczył mnie tu teraz na własne oczy. Znasz go przecież... A Judyta śpi...

I ona myliła się, bo w tej chwili Judyta Bedford nie tylko nie spała, ale nie leżała nawet w łóżku. Słyszac szepc w przyległym pokoju, zerwała się i boso podbiegła do kominka. Pochyliła się i wsunęła głowę do otworu paleniska. Wyglądała w tej chwili jak czarownica z upiornej bajki - w powiewnej szacie, o oczach błyszczących w mroku. Wstrzymując oddech, słuchała.

- Nie gniewaj się. Musiałam przyjść - powiedziała Sylvia. Podeszła cicho i zarzuciła mu ręce na szyję, siłą niemal odwracając jego twarz od okna. Objął ją niepewnie, starając się nadal obserwować ogród.

- Już nie mogę... - oparła głowę na jego ramieniu. - To się musi skończyć! Musi, rozumiesz?... Nie mogę już ani dnia dłużej uśmiechać się do niego, nie mogę znieść, kiedy całuje mnie na dobranoc i na dzień dobry. Nie mogę myśleć o tym wyjeździe z nim do Ameryki. Och, mogłabym go z zimną krwią zamordować!...

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Mogłabym go zamordować i zamorduję go, jeżeli czegoś nie wymyślisz! Przy ostatnich słowach mimowolnie uniosła głos.

- Ciiicho... - przytulił ją do siebie, ale nawet ona musiała chyba odczuć, że zrobił to tylko dlatego, żeby ją uciszyć, bo odsunęła się gwałtownie.

- Widzisz przecież, że łapią tam te przekłete ćmy... - powiedziała ze złością.

- Ale twoja szwagierka... Jeżeli usłyszyc chociaż jedno słowo, natychmiast mu doniesie. Ona ciebie nienawidzi...

Urwał i położył szybko palec na jej ustach, przewidując odpowiedź.

- Zrozum... - dokończył niepewnie - ja mu przecież wszystko zawdzięczam. Nie mógłbym znieść myśli, że on wie o nas... Że my właśnie tu, pod jego dachem...

- Pod jego dachem! - Przez chwilę patrzyła na niego w ciemności i Robert poczuł nagłą nadzieję połączoną z ostrym bólem upokorzenia. Może zdała sobie w tej chwili sprawę, że kocha człowieka, który jest tylko asystentem sławnego profesora i nie chce być niczym innym do końca życia, a swój romans z jego żoną uważa za największą, chociaż może najprzyjemniejszą omyłkę swego życia. Ale najwyraźniej Sylvia chciała być ślepa. Jak ogromna większość kobiet o silnym charakterze, nie dostrzegała najoczywistszych prawd, jeżeli nie chciała ich dostrzec.

- Cóż mnie obchodzi jego dach?... Zresztą jeżeli ty też nie możesz tego dłużej wytrzymać, ucieknijmy. - Znowu podeszła do niego i ujęła go za ramiona. - Słyszysz? Ucieknijmy jeszcze dzisiaj albo jutro! Ja już dłużej tego nie wytrzymam!... Och, gdyby on umarł! Byłabym najszczęśliwszą kobietą pod słońcem!

- Ciiicho... - ostrzegł ją znowu mimowolnie, ale jak błyskawica przemknęła mu myśl, że gdyby rzeczywiście Gordon Bedford jakimś cudem umarł tej nocy, wówczas on, Robert Reutt, byłby

najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Albo gdyby ona umarła? Na myśl o tym, co się stanie, kiedy ta szalona dziewczyna wreszcie zdradzi się z tym, co ich łączy, oblewał go zimny pot...

- Słuchaj... - powiedziała miękko Sylvia, przerywając tok jego myśli - wysłałam za niego, bo był dla mnie dobry i bardzo bogaty. Byłam bardzo zmęczona i myślałam, że niczego nie chcę oprócz spokoju i dlatego łatwo przez to przebrnę. Ale teraz nie chcę już ani dobroci, ani pieniędzy tego przekłętą starego reumatyka. Chcę ciebie. I będę cię miała jawnie, otwarcie, przed całym światem, tak jak kobieta powinna mieć mężczyznę.

Robert pomyślał, że to raczej mężczyzna powinien tak mówić do kobiety, której pragnie, ale znowu zdołał powiedzieć tylko:

- Ciiiiiszej, na miłość boską...

- Właśnie! - Sylvia potrząsnęła głową. - Mam dosyć szeptów, schadzek i kłamstw. Jeżeli mnie kochasz tak, jak mówisz, że mnie kochasz, jeżeli nawet mnie w połowie kochasz tak, jak mówisz, że mnie kochasz, to ucieknijmy, albo... albo... Słuchaj, musimy przecież coś zrobić! To nie może dłużej trwać w ten sposób... Robert!... - Ujęła jego głowę w dłonie i zmusiła go, żeby patrzył w jej oczy. - Czy mnie słyszysz? Powiedz coś...

- Słyszę cię... - szepnął. - Ale co mamy zrobić? Zrozumiem, jeżelibym odjechał teraz z tobą, straciłbym pracę. Jestem przecież jego sekretarzem i żyję z tej pensji, którą mi płaci... Utrzymuję z tego matkę i młodszą siostrę. Nie mówiłem ci o tym... - dodał szybko - bo jakoś nigdy nie rozmawialiśmy o moich sprawach. Ale to prawda. Odpowiadam za ich los. Ale ty... ty także stracisz przecież wszystko, nie będąc już jego żoną. Teraz wydaje ci się to łatwe, ale później? Przecież nie potrafiłbym ci zapewnić jednej setnej tego co on. Kocham cię, ale nie jestem na tyle szalony, żeby wpędzać nas oboje w sytuację bez wyjścia... nasza miłość rozptynęłaby się pośród nędzy i wyrzutów sumienia. Musimy spokojnie pomyśleć. Kiedy wrócisz ze Stanów, obmyślimy coś...

Urwał i rzucił okiem na ogród w dole. Świąteczko płonęło tam nadal. Cienie dwu ogromnych postaci poruszały się przed ekranikiem. Robert szybko odwrócił wzrok i spojrzał na Sycylię. Argument o matce i siostrze przyszedł mu do głowy w ostatniej chwili. Odetchnął z ulgą. Tego mógł się trzymać.

- Dobrze... - powiedziała z namysłem. - Może masz słuszość? Musimy spokojnie pomyśleć, ale...

- Słuchaj... - Reutt znowu zerknął ku ogrodowi - oni przecież mogli zauważyć stamtąd, że zgasło światło. Przecież profesor... chciałem powiedzieć, twój mąż wie, że siedzą teraz nad tekstem i mam mu go odnieść, kiedy tylko skończą. Już dochodzi druga i zaraz przestaną łąpać ćmy. Profesor nigdy nie zostaje dłużej na świeżym powietrzu... Wiesz przecież... Zejdą teraz do nich i zapytam go o coś, o cokolwiek... To usprawiedliwi zgaszenie światła tutaj. A porozmawiamy rano albo najlepiej, kiedy wrócisz do kraju. Musimy mieć przecież trochę czasu. Daj mi pomyśleć... A teraz pójdą...

Zrobił ruch, jak gdyby chciał już odejść, ale zatrzymał się. Sylvia stała nieruchomo, wpatrując się w niego pośród ciemności. Potem zbliżyła się o krok, objęła go i przytulając głowę do jego piersi, powiedziała nieomal z rozpaczą;

- O Boże, Boże, Boże... jak ja, głupia, ciebie strasznie kocham. A przecież powinnam tobą pogardzać, ty tchórze... Ale nie mogę, nie mogę, nie mogę...

- Ktoś nadchodzi od strony domu... - powiedział sir Gordon Bedford i przysłoniwszy oczy dłonią odwrócił się tyłem ku ekranowi, starając się rozpoznać postać, która zbliżała się ku nim obchodząc klomb.

- Czy nie przeszkadzam? - Reutt zatrzymał się o kilka kroków od obu braci.

- Nigdy mi pan nie przeszkadza, Robercie - uśmiechnął się Gordon. - Co takiego? Jakies kłopoty z korektą?

- Och nie, panie profesorze. Jest zaledwie kilka uwag interpunkcyjnych, i to z powodu błędów, które zrobiłem przepisując. Przyszedłem, bo chciałem tylko zapytać, czy mam panu profesorowi przynieść maszynopis zaraz po ukończeniu korekty, żeby go pan przejrzał jeszcze przed wyjazdem?

- Tak, oczywiście. Właśnie prosiłem przed chwilą mojego brata, żeby poprosił pana nie na siódmą, jak umówiliśmy się poprzednio, ale na szóstą rano. Zrobimy mały przegląd ilustracji i rozmieścimy je w tekście. Trzeba będzie je nakleić na osobne kartki i dać kolorową kredką adnotacje wskazujące, w którym miejscu należy je wprowadzić. To zajmie nam prawdopodobnie około dwóch godzin. Potem pan pojedzie do wydawnictwa. Umówiłem się z nimi, że oddam całą książkę z pełnym materiałem ilustracyjnym jutro do południa. Tak więc spadnie nam to z głowy... - Podszedł do swojego sekretarza i

przyjrzał mu się sceptycznie w lekkim odbłasku latarki. - Boję się tylko, czy nie padnie pan ze zmęczenia? Niestety, nie umiem pracować w dzień...

- Czuję się znakomicie, panie profesorze... - zaproponował Reutt gorliwie. - Natychmiast po powrocie od wydawcy przejrzę jeszcze także, jeżeli pan pozwoli, tekst odczytu.

- Chciałem to zrobić w samolocie... - sir Gordon zastanowił się. - Najlepiej będzie, jeżeli wróci pan teraz do siebie, skończy korektę i złapie kilka godzin snu. Ma pan budzik, prawda?

- Oczywiście, panie profesorze...

- To dobrze... - Podeszedł do ekranika i przyjrzał się dwu małym ómom, które usiadły na oświetlonej powierzchni, potem odwrócił się ku obu stojącym w milczeniu mężczyznom. - Chodźmy już stąd. Na pewno masz jeszcze trochę roboty przy retuszach... - zwrócił się do Cyrila. - Poza tym nie należy kusić szczęścia... Czy pan wie, Robercie, że mieliśmy dziś zupełnie rewelacyjne polowanie! Przed chwilą złowiliśmy czwartą trupa główkę tej nocy. To wprost nie do wiary, prawda?

- Cztery? - powiedział Reutt szczerze zdziwiony. Rozpromienił się. - To by potwierdzało pana teorię o ich instynkcie stadnym i grupowych wędrówkach.

- Ależ oczywiście! Wydaje mi się, że właśnie łapaliśmy je dzisiaj na trasie przelotu. Ciekaw jestem, jakie wyniki dadzą spostrzeżenia Niemców i Francuzów. Oni także badają od połowy maja przypuszczalne trasy ich lotu. Ba, ale jest jeszcze problem tego zdumiewającego pokolenia, które wydają na świat tu i w Skandynawii. Mam, oczywiście, pewną koncepcję, dlaczego tak się dzieje, ale... - Urwał i odruchowo potarł ramię. - Chodźmy stąd. Boję się, że jest już późno. A noc jest dla mnie zabójcza, Robercie... W dodatku jutro wieczorem lecimy przecież do Nowego Jorku. Niech pan zwinie ekranik... - Znowu potarł ramię. - Czy mi się wydaje, czy naprawdę zrobiło się chłodniej?

- Po prostu burza wisi w powietrzu - powiedział Cyril Bedford, ostrożnie zbierając ze stolika próbówki i wsuwając je do przegródek skórzanej torby ochronnej. - Wszyscy reumatycy odczuwają przecież nadchodzącą burzę, prawda?

Reutt oczyścił ekranik z gromadzących się owadów, wyjął z ziemi dwa zaostrome paliki i zwinął pedantycznie płótno. Potem podeszedł do stolika i złożył go także.

- Czy mam panu podać proszki?

- Skądże! Nie boli mnie jeszcze... Zresztą w domu jest ciepło i mam nadzieję, że nikt nie zrobił przeciągu w gabinecie. Chodźmy. Wzięliście wszystko?

- Wszystko... - Cyril skinął głową i ruszył pierwszy, zabrawszy po drodze latarkę, i przyświecał niosąc ją w wysoko uniesionej dłoni. Zaczęli obchodzić klomb.

Kiedy zatrzymali się przed drzwiami domu, sir Gordon spojrzął na zegarek.

- Zaraz będzie druga. Niech pan skończy korektę, Robercie, i proszę przespać się trochę... Zresztą nie mam wyrzutów sumienia, bo wyśpi się pan za wszystkie czasy po moim wyjeździe. Wracamy dopiero za dziesięć dni... Tylko proszę pamiętać: punktualnie o szóstej chcę was obu widzieć na dole. Ciebie, Cyrilu, z całym materiałem fotograficznym, a pana, Robercie, z korektą...

Weszli. Cyril zgasił latarkę i po omacku poszukał kontaktu. Robert zamknął drzwi wejściowe. Zapłonęło światło. Reutt postawił zwinięty ekranik przy stojaku na parasole, potem odwrócił się i zarygłował drzwi ciężką, starą zasuwą, która przesunęła się lekko i cicho, najwyraźniej doskonale naoliwiona.

- No... - powiedział Cyril Bedford i ziewnął szeroko. - Pójdę do ciemni, żeby sprawdzić, czy nie potrzeba jakiegoś małego retuszu na odbitkach. I też się zdrzemnę chyba potem...

- Dobranoc, panie profesorze... - powiedział Reutt i ruszył ku skręcającym w górę schodom. Cyril poszedł za nim.

- Dobranoc... - sir Gordon przystanął z ręką na klamce. - Nie zapomnijcie: o szóstej... Będę miał potem masę zajęć do południa, a po południu chciałbym się zdrzemnąć przed drogą... Na szczęście dobrze śpię w samolocie i najprawdopodobniej obudzą się dopiero w Mowym m Jorku...

Nacisnął klamkę i słysząc ich przyciszone głosy na schodach, wszedł do swojego gabinetu.

Zamknawszy starannie drzwi zatrzymał się i rozejrzał ze zmarszczonymi brwiami. Z wolna podeszedł do długiego stołu laboratoryjnego, który ciągnął się wzdłuż całej długości jednej ze ścian. Położył na nim torbę z próbówkami, obok niej czapkę i otarł chustką spocone czoło. Naokół, od drzwi aż do okna, ciągnęły się na wszystkich ścianach szeregi gablot, w których spoczywały ćmy małe i duże, o złożonych i rozwiniętych skrzydłach, w różnych stadiach rozwoju, leżące na liściach jajeczka, spoczywające w malutkich próbówkach gąsienice i larwy, dorosłe owady. Niektóre były tak wielkie jak te, które złowił



dzisiejszej nocy, inne - zupełnie maleńkie. Gordon rozejrzał się po pokoju, przesunął nie widzącym spojrzeniem po swoim muzeum i powrócił oczyma do stołu, pośrodku którego oparta o ścianę stała malutka szafka, zaopatrzona w czerwony napis „Ostrożnie, trucizna!” Wyjął z torby słoik z cyjankiem, włożył go do szafki i odruchowo przekręcił kluczyk. Potem odwrócił się i podszedł do podręcznej półki z książkami, znajdującej się w pobliżu biurka. Odsunął jedną z półek, która zręcznie maskowała ukryty za nią express do kawy. Sir Gordon z małej puszkii wsypał kawę do expressu i włączył go. Potem stojąc nieruchomo spojrzął na stoliczek, na którym stała maszyna do pisania.

Słyszając rosnący cichuteńki szum expressu, zawrócił do stołu laboratoryjnego, zatrzymał się i z jednej z szuflad wyciągnął pudełeczko, w którym leżały przezroczyste małe kapsułki. Wyjął jedną z nich, zamknął pudełeczko i zasunął szufladę. Potem, trzymając w ręku kapsułkę, znowu otworzył drzwiczki szafki z napisem „trucizna” i wyjął z niej słoik, który włożył tam poprzednio. Z bocznej szuflady wyciągnął gumowe rękawiczki, wsunął je na dłonie, odkręcił pokrywkę i zręcznie wsypał malutką drewnianą tyżeczką proszek do kapsułki.

Zamknął kapsułkę, wyprostował się i położył ją na stole. Potem zamknął także szafkę z trucizną, obejrzał kapsułkę i włożywszy ją do jednego z malutkich z pudełeczek leżących w rogu stołu, wsunął ją do bocznej kieszeni spodni.

Express zagwizdał cicho i melodyjnie. Sir Gordon zdjął rękawiczki, odwrócił się, szybko podszedł do niego i nalał sobie filiżankę kawy. Postawił ją na stoliku, obok maszyny do pisania.

Obejmując nie widzącym spojrzeniem wiotki obłoczek pary, który chwiał się nad filiżanką, powiedział cicho do siebie:

- No, tak... no, tak... To chyba byłoby wszystko... Wolno podszedł do biurka zawalonego książkami i papierami, a mimo to sprawiającego wrażenie, jak gdyby wszystko na nim podlegało ścisłym rygorom ładu i absolutnego, automatycznie niemal utrzymywanego porządku. Porządek taki nie jest wynikiem sprzątnięcia, ale istnieje zawsze, gdy człowiek pracujący za biurkiem odczuwa wewnętrzną konieczność otaczania się przedmiotami stojącymi zawsze na tych samych, z góry ustalonych miejscach, aby móc sięgnąć do nich i bez trudu odnaleźć je tam, gdzie powinny się znajdować.

Sir Gordon wyciągnął rękę i uniósł ku oczom małą stojącą w prostej ramce fotografię. Przedstawiała ona jego żonę. Sylvia - śliczna, ubrana w białą sukienkę i uśmiechnięta - stała na ścieżce pośród kwiatów. Przez długą chwilę przyglądał się zdjęciu, potem z wolna opuścił rękę i ustawił je dokładnie w tym samym miejscu, w jakim znajdowało się poprzednio. Odwrócił się i podszedł do okna. Odstłonił kotarę. Za szybą jeszcze nie świtało, ale noc przestała być tak ciemna i gęsta jak przed kwadransiem...

- Dwudziesty pierwszy czerwca... - szepnęła sir Gordon. - Najdłuższy dzień roku... - Spojrzął na zegarek Piętnaście po drugiej. Opuścił kotarę i zawrócił w stronę stolika, na którym stała maszyna do pisania. Odruchowo wypił kawę, odstawił filiżankę i wkręcił papier. Przez chwilę siedział z palcami opartymi na klawiaturze, wpatrując się w nie zapisaną kartkę. Potem dotknął kieszeni, wyjął z niej kapsułkę, obrócił ją w palcach i wsunął z powrotem.

- Człowiek nie może bać się tego, co musi zrobić... - powiedział tępo, jak gdyby te półgłosem wypowiedziane słowa były odbiciem myśli posiadającej o wiele większe znaczenie. Z nagłym zdecydowaniem wyrównał papier na wałku i zaczął pisać:

Nie mogą już dłużej. Stałem na drodze miłości dwojga ludzi, których cenię i szanuję. Gdybym nie odszedł, stałbym się sprawcą ich ciągnącej się przez całe życie tragedii. A ponieważ ich szczęście wydał mi się czymś o wiele ważniejszym niż moje życie, więc rozmyślając o nich i o sobie znalazłem jedyne rozwiązanie, jakie wydaje mi się możliwe. Niestety, nie potrafiłbym żyć bez tej jednej jedynej kobiety, którą pokochałem w życiu. Kochana, nie gniewaj się. Nie bierz mi za złe tego kroku. Zrozum, że tu cierpiałbym nieustannie, patrząc na was. A tam... będzie tylko pustka i cisza...

# CZĘŚĆ TRZECIA

## **Rozdział trzeci**

### **„... Umarli, to się zdarza każdemu...”**

Niemiecki myśliwiec zatoczył szerokie koło i pojawił się w górze, po prawej stronie, mając za sobą słońce, które oślepiło Alexa... „Myśliwiec, prawo góra...” - powiedział do mikrofonu. „Myśliwiec, prawo góra, zrozumiałem...” „Myśliwiec, prawo góra, zrozumiałem...” - odpowiedziały dwa spokojne głosy, z których jeden należał do strzelca pokładowego, Beniamina Parkera. W tej samej chwili ciemny, mały cień przykrył na ułamek sekundy słońce i poprzez szum silników Joe usłyszał długą, nie kończącą się serię karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Nacisnął stery i nos ciężkiej maszyny pochylił się w dół ku niewidocznej za chmurami ziemi. Seria trwała. Jeszcze pół sekundy - myślał Alex - jeszcze ćwierć... To się musi zaraz skończyć, minie nas i zaatakuje z drugiej strony... - I zaraz potem nagły, groźny sygnał w mózgu: Dlaczego nasze karabiny milczą? - Ale tamta seria trwała i nie kończyła się. Nacisnął stery jeszcze bardziej. Bombowiec przechylił się na skrzydło i wszedł w białą, nieomal lepką masę obłoków... - Teraz go zgubiłem... - Ale nie zgubił go. Ostry, przenikliwy terkot trwał dalej... - Jakim cudem on się utrzymuje nade mną?... - zdążył pomyśleć Joe i obudził się.

Usiadł gwałtownie na łóżku. Telefon dzwonił nieprzerwanie. Alex zaklął cicho i sięgnął po słuchawkę.

- Tu Alex, kto mówi?

- ...

- O Boże... Od razu wiedziałem, że to ty... Czy komuś innemu przyszłoby do głowy budzenie człowieka pośród nocy, i to w taki sposób?

- ...

- Co? Już dzień? No, to dzień dobry.

- ...

- Mam nadzieję, że kogoś zamordowali. Inaczej chyba dałbyś mi korzystać z moich obywatelskich uprawnień...

- ...

- Możliwość swobodnego używania snu po pracy należy chyba w Anglii do uprawnień obywatela?

- ...

- Tak. Rozumiem. Ale może powiesz mi w końcu, co się stało?

- ...

Alex gwizdnął cicho i wolną ręką przetarł oczy.

- ...

- Tak, oczywiście, znam go nawet. To znaczy, znałem. Ten profesor, ekonomista, który pisał o ćmach...?

- ...

- Tak, oczywiście, że przyjadą. Będę za piętnaście minut. To znaczy - wyjadę za piętnaście minut.

- ...

- Trudno, muszę się ogolić. Nie umiem myśleć, kiedy jestem nie wykąpany i nie ogolony.

- ...

- Tak, ale wy nie musicie myśleć. Policja nie myśli: policja działa i strzeże spokoju obywateli.

- ...

- No dobrze, dobrze. Tylko jeden drobiazg: podaj mi adres. Londyn to dość duże miasto i jeżeli będę pytał we wszystkich napotkanych po drodze domach, czy ktoś przypadkiem nie umarł tej nocy, może mi to zająć trochę czasu...

- ...

- Nie. Nie muszę zapisywać. Będę pamiętał.

- ...

- Rozumiem. Za piętnaście minut startuję.

Odłożył słuchawkę i wyskoczył z łózka.

Minęło pół godziny. Alex zakręcił w lewo i poprowadził wolno wóz wzdłuż szerokiej podmiejskiej alei, po której obu stronach stały za wysokimi ogrodzeniami wille w starych ogrodach, noszące prawie bez wyjątku piętno drugiej połowy panowania królowej Wiktorii. Chociaż architektura owego okresu wydawała mu się zawsze objawem największego upadku ducha ludzkiego w tej dziedzinie sztuki, patrzył jednak z uwagą i pilnie rejestrował w pamięci kolejne parzyste budynki alei, w którą skręcił.

Wstawał pochmurny, ciepły dzień letni. Potężny szpaler starych lip, stojących równo jak grenadierzy wzdłuż chodników, rzucał głęboki cień na ogrody i domy.

- Pięćdziesiąt... pięćdziesiąt dwa... pięćdziesiąt cztery...

Przy krawężniku naprzeciw domu oznaczonego numerem pięćdziesiąt cztery zobaczył dwa wielkie, czarne samochody. Znał je dobrze. Dla upewnienia się rzucił jeszcze okiem na numery rejestracyjne. Jeden z nich należał do zastępcy kierownika Kryminalnego Wydziału Śledczego Scotland Yardu. Joe lekko przycisnął hamulec i zatrzymał swój wóz za tamtymi dwoma.

Dom oznaczony numerem pięćdziesiąt cztery położony był nieco dalej od ulicy niż sąsiednie wille. Z miejsca, gdzie Joe zatrzymał swój samochód, dostrzec można było zresztą tylko dach, gdyż gęsto rosnące dzikie wino przesłaniało cały widok, oplatając od góry do dołu żelazne sztachety, zakończone złoconymi ostrzami. Grube kaskady pędów winnych spadały w dół aż na płyty chodnika i okalały furtkę, tworząc z wejścia do ogrodu jak gdyby wylot tunelu.

Alex wysiadł i wolnym krokiem, rozglądając się z zaciekawieniem, podszedł do bramy. Wiać tu mieszkał i umarł Gordon Bedford.

Pokiwał głową. Wydawałoby się, że człowiek tak majątny mógłby sobie wybrać bardziej optymistyczne otoczenie niż ten nieco ponury, ciężko zbudowany i położony na odległym przedmieściu dom. Ale mógł to przecież być dom jego dzieciństwa. Stał już prawdopodobnie od mniej więcej osiemdziesięciu lat. Może mieszkali tu rodzice Bedforda? Mógł tu nawet przyjść na świat. Dzieci nie rodziły się przecież wówczas w klinikach, ale w domu. Należało to nawet do dobrego tonu w państwie starej królowej, w którym dobre wychowanie i skromne obyczaje były najwyższym, jeżeli nie jedynym sprawdzianem wartości człowieka.

Pozwalając myślom wędrować po nie określonych dokładnie dziedzinach hipotetycznej przeszłości i zastanawiając się prawie podświadomie, czy Gordon Bedford urodził się wobec tego na piętrze, czy na parterze, Alex zbliżył się do furtki i uniósł ręką ku okrągłej, biało emaliowanej tarczy, pośrodku której tkwił czarny, lśniący guzik dzwonka... Oczywiście na pierwszym piętrze muszą być sypialnie, więc jeżeli Bedford urodził się w tym domu, nastąpiło to właśnie w jednej z nich...

Potrząsnął głową. Był ciągle jeszcze śpiący. Ale zanim zdążył dotknąć dzwonka, furtka otworzyła się i zobaczył w niej zagradzającego drogę umundurowanego policjanta.

- Kogo pan chciał widzieć, proszę pana?

- Nazywam się Alex - powiedział Joe - pan Parker prosił mnie przed kwadransiem telefonicznie o przybycie pod ten adres.

- Tak, proszę pana. Mam rozkaz wpuścić pana". Proszę bardzo do środka. Ta ścieżka zaprowadzi pana prosto do drzwi wejściowych.

Zasalutował i uśmiechnął się uprzejmie, robiąc krok wstecz, aby dać wchodzącemu możliwość swobodnego przekroczenia furtki,

- Dziękuję, konstablu. - Joe mrugnął porozumiewawczo i wszedł bez pośpiechu.

Usłyszał za sobą ciężki, głuchy dźwięk. Furtka zatrzasnęła się. Idąc wąską, wykładaną kamiennymi płytami ścieżką, która biegła równoległe do zwirowanego podjazdu, czuł na sobie spojrzenie policjanta. Na pewno czytał jakąś moją książkę, a może nawet wszystkie? Po południu wróci do domu i powie żonie, zdejmując hełm i wieszając go na wieszaku w przedpokoju: „Wyobraź sobie, widziałem dzisiaj tego Joe Alexa...” Żona kłaśnie w ręce i otrze je o fartuch, który włożyła, żeby mu przygotować obiad. „Którego Alexa?!” „No tego, co pisze te książki...” „Co ty mówisz! Gdzieś go widział?” Na to policjant położy palec na ustach: „Cicho... Nie wolno nikomu o tym mówić. Byłem na służbie, kiedy zginął ten sławny sir Gordon Bedford...” Na to żona potrząśnie głową: „Gordon Bedford? Nie słyszałam. Kto to taki?” „Nie wiesz? Ten wielki ekonomista, który pisywał książki o ómach...”

Nie. Tego policjant nie powie. Policjanci nie znają się ani na ómach, ani na ekonomii. Jeżeli policjant pełnił od dawna służbę w tej dzielnicy, mógł oczywiście wiedzieć coś o osobie noszącej to nazwisko, ale na pewno nie znał żadnych szczegółów. Szczegóły wyczyta w popołudniowej prasie.

Joe obejrzał się. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że przed bramą nie było żadnych gapiów i ani jednego samochodu nie należącego do policji. To by oznaczało, że prasa nie została zawiadomiona, a służba nie zdążyła jeszcze nawet wynieść wiadomości do pobliskich, budzących się do porannego życia sklepików.

Drzwi wejściowe znajdowały się w bocznej ścianie domu. Podchodząc do nich Alex zauważył w głębi duży, doskonale utrzymany ogród. Ze zdziwieniem dostrzegł, pomimo wczesnej pory roku, wspaniałe, czerwone dalia na wielkim, centralnie położonym klombie.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki, pyzaty młody człowiek w nieco zbyt nienagannie skrojonym garniturze i idealnie zawiązanym, trochę za jaskrawym krawacie.

- Dzień dobry, mister Alex! - Błysnął pięknymi, białymi zębami i pochylił się lekko, ściskając z szacunkiem podaną sobie rękę. - Cóż to za sprawa, mój Boże! - powiedział wesoło - od pierwszej chwili, kiedy tylko tu zajechaliśmy, telefon dzwoni i dzwoni! Sami ministrowie!!! Szef nie miał chyba jeszcze czasu się rozejrzeć. Bez przerwy stoi przy aparacie i mówi „Tak jest!”

Joe uśmiechnął się.

- W takim razie zastanę waszego szefa w doskonałym humorze - powiedział wchodząc do domu i rozglądając się po wąskim, wykładanym ciemną boazerią hallu. - Wiem, że nic mu nie sprawia większej przyjemności... Rozmowy z osobistościami oficjalnymi to największa i najbardziej utęskniona nagroda za trudy i znoje jego policyjnego żywota...

- Właśnie, proszę pana... - Jones pokiwał głową ozdobioną idealnie zaczesaną, gładką, ciemną czupryną. - Jest tak wściekły, że trudno do niego podejść. Dobrze, że pan przyjechał.

Z hallu dwoje drzwi prowadziło w głąb domu. Wąskie, wyłożone grubym dywanem schody zakręcały ku górze. W rogu opadały w dół kamienne stopnie, prowadzące najwyraźniej do suterenu.

- A jakie są pierwsze wrażenia mojego przyjaciela Parkera, sierżancie? - zapytał Alex rozglądając się nadal. Najwyraźniej zakończył oględziny, bo po zadaniu pytania wyprostował się i spojrzał z wyraźną sympatią na sierżanta Jonesa. Lubił tego chłopca o pozorach podmiejskiego eleganta. Pozory te myliły przysłowioowo, bo Jones był doskonałym współpracownikiem Parkera i potrafił ofiarnie, często bez snu i posiłku, trwać u boku swego szefa, zawsze uśmiechnięty, zawsze nienaganny i zawsze przepiękny nieprzemijającym entuzjazmem dla swego zawodu. Dla Alexsa żywił uczucie podobne do zabobonnego podziwu, jakim dzicy otaczają czarowników posiadających, w ich przekonaniu, władzę nad sprawami życia i śmierci na ziemi i w niebie. Sposoby, jakimi Joe rozwiązywał stojące przed śledztwem problemy, musiały zresztą wydawać się niesamowite każdemu młodemu absolwentowi szkoły policyjnej.

- Nie wiem, proszę pana. - Jones rozłożył ręce. - Na razie puściliśmy w ruch całą zwykłą maszynę do mielenia mięsa: fotografów, daktyloskopów, lekarza... siedzą tam teraz i robią swoje. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to samobójstwo. Ale szef nie jest zadowolony. Myślę, że dlatego od razu zadzwonił do pana...

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i Alex zobaczył w nich Benamina Parkera, zastępcę szefa Kryminalnego Wydziału Śledczego Scotland Yardu. Równocześnie przeciąg zatrzasnął drzwi wejściowe.

- O - powiedział Parker - jesteś już... - Po uśmiechu tym Joe poznał, że zastępcy szefa Wydziału Kryminalnego wcale nie jest wesoło.

Parker zwrócił się do sierżanta:

- Jones, oni tam już kończą. Kiedy przyślą odciski palców, sprawozdanie lekarskie i fotografie, dawaj mi je od razu, bez względu na to, czy będziemy kogoś przesłuchiwać w danej chwili, czy nie. Wywołaj mnie.

- Tak jest, szefie

- Chodź... - powiedział Parker do Alexa i ujął go pod ramię. - Za chwilę moi ludzie skończą swoje zwykłe sprawy w pokoju, gdzie nastąpiła śmierć, i będziemy mogli tam wejść. Na razie przejdźmy do jadalni...

Nie wypuszczając ramienia przyjaciela, zwrócił się ku drzwiom, z których wyszedł przed chwilą, i pchnął go lekko w tamtych kierunku.

Weszli do wielkiej, mrocznej jadalni, pośrodku której stał, a właściwie ciągnął się długi, ogromny stół otoczony krzesłami. Na dwu ścianach pokoju wisały portrety, najprawdopodobniej par małżeńskich z

końca osiemnastego i początków dziewiętnastego wieku. Trzecią ścianę zajmował wspaniały neoklasycyzycki kredens, tak przypominający ostatnie prace Thomasa Chippendale, że Alex zatrzymał się w progu, a potem podszedł i obejrzał kredens z bliska, kiwając z aprobatą głową.

- Cóż takiego zobaczyłeś? - zapytał Parker z nagłą czujnością w głosie.

- Och, nic... to znaczy, nic związanego z twoim koszmarnym procederem. Ale wydaje mi się, że to jedna z najpiękniejszych prac Chippendale.

- Jak to? - powiedział Parker. - Przecież meble Chippendale wyglądają zupełnie inaczej.

- To prawda... - Alex obszedł kredens dokoła, przyglądając się z niechęcią stojącym za oszklonymi drzwiczkami srebrnym. Nie lubił zbyt dobrze oczyszczonych sreber. - To prawda i jesteś chyba jedynym policjantem w Londynie, który zna się nieco na meblach... niezupełnie, oczywiście. Bo Thomas Chippendale na starość zajmował się właśnie stolarką w takim oto stylu. Jeżeli można jego pracę nazwać stolarką. Ale zapewne on sam tak ją nazywał. Był to bardzo skromny człowiek, chociaż unieśmiertelniał swoje nazwisko. I jestem prawie przekonany, że to jego robota...

- Zgoda... - Parker potarł dłonią czoło. - Błagam cię, Joe, nie wciągaj mnie w idiotyczne rozważania o stylach mebli!

- Tak... - Alex westchnął. - Jedyny mebel, który cię naprawdę interesuje, to trumna, prawda?

Podszedł do stołu, usiadł, wyciągnął żółte pudełko Gold Flake'ów i wyjął z niego papierosa. Nie zapalając go czekał, aż Parker opadnie na jedno ze stojących naprzeciw krzesel. Dopiero teraz, przyjrawszy mu się uważnie, dostrzegł, jak bardzo jego przyjaciel jest wstrząśnięty.

Milczeli przez chwilę. Spoza drzwi umieszczonych

naprzeciw kredensu dochodził szelest poruszających się stóp i rzucane półgłosem krótkie zdania.

- On tam jest... - powiedział Parker. - Możemy tam pójść już teraz, ale może lepiej zaczekajmy chwilę, aż ekipa techniczna skończy swoje prace. Kazałem, zebrać wszystkie odciski i ślady z całego pokoju, zrobić komplet zdjęć... - wzruszył ramionami - nawet takich, które mnie samemu wydają się zupełnie niepotrzebne. W ogóle staram się być jak najbardziej w zgodzie z przepisami, tak żeby nikt na świecie nie mógł zarzucić mi najmniejszego niedopatrzenia... - Roześmiał się niewesołym, suchym śmiechem.

- Ale co się stało? - zapytał Joe spokojnie. - Obudziłeś mnie o zupełnie niehumanitarnej porze w zupełnie niehumanitarny sposób. Przyjechałem na miejsce wypadku i na razie nie widzę nieboszczyka, nie dostrzegłem także w domu żywego ducha poza twymi zastężonymi Mirmidonami. Czy ten facet mieszkał sam?

- Ależ skąd! Dom jest pełen ludzi: żona, brat, bratowa, sekretarz, pokojówka, wszyscy oni byli tu z nim razem, kiedy zginął... Spali wszyscy i nikt niczego nie słyszał.

- Czy zastrzelił się?

- Nie... - Parker potrząsnął głową. - KCN w kawie.

- Słucham? - Joe uniósł brwi. - Nie jestem mocny w toksykologii. Czy możesz mnie objaśnić, co ta jest KCN?

- Cyjanek potasu.

- Dziękuję. Czy był sam w pokoju, kiedy wypił tą kawę?

- Tak by się wydawało.

- O której?

- Mniej więcej między pół do trzeciej a czwartą nad ranem, jak twierdzi doktor Berkeley. Ale mówi, że kiedy dostanie nieboszczyka na stół, potrafi chyba ustalić ściślejszy termin. ....

- Więc dlaczego inni mieliby coś słyszeć?

Alex zapalił i zaciągnął się głęboko. Potem wstał, rozglądając się za popielniczką.

- Nie wiem dlaczego... Nic nie wiem. Rozmawiałem przez chwilę z nimi wszystkimi. Nikt nie histeryzuje. Zachowują się powściągliwie, jak na naszych braci brytyjskich i siostry angielskie przystało, ale nie podobają mi się wszyscy, co do jednej osoby. Kazałem im iść do swoich pokojów i są, jak by to powiedzieć, pod pewnego rodzaju dozorem Stephensa, który spaceruje tam po korytarzu... - uniósł wskazujący palec w kierunku sufitu. - Jones stoi na dole w hallu. Jest to jedyne wyjście z domu.

- A czy nie bierzesz pod uwagę samobójstwa?

- Och, jak najbardziej. Przed zmarłym leżał nawet list samobójczy.

- Więc... - Joe usiadł, potem ziewnął. - Czy nie możemy przyjąć jedynej przyzwoitej hipotezy, to znaczy powiedzieć sobie, że sir Gordon Bedford, pomimo że był właścicielem prześlicznego kredensu, zapragnął pożegnać się ze światem? Jeżeli tak zrobimy, pojedę do domu i położę się znowu do łóżka.

Usnę, możesz j mi wierzyć, natychmiast... - Spojrzał na zegarek. - Siódma! Mój Boże... a ty, chociaż nie sypiasz nigdy, jak się wydaje, wrócisz do Yardu i po przetelefonowaniu wszystkim zainteresowanym dygnitarzom tej miłej wiadomości, zajmiesz się pracą biurową. Co, Ben? Przecież masz list samobójczy, żadnego podejrzanego, jak się orientuję, bo powiedziałaś mi już i coś o tym, a poza tym żadnego punktu zaczepienia, ; czy tak? Nie rozumiem tylko jednego, dlaczego wyglądasz w tej chwili, jakbyś sam go zamordował?

- Gdybym ja go zamordował, wiedziałbym przynajmniej, co tu się stało. W tej chwili nie rozumiem niczego tak kompletnie, jak gdyby przez ten dom przebiegło przed moim przybyciem stado słoni. Zresztą wiesz chyba przecież, kto to był Gordon Bedford?

- Wiem. Bardzo bogaty pan w średnim... no, powiedzmy, w późnym średnim wieku, mający rozmaite interesy i zamiłowania do studiów nad nocnymi motylami. Był nawet profesorem honoris causa w Oxford, prawda? Umarł. To się zdarza każdemu. Miał zapewne dosyć życia i pozostawił list samobójczy, w którym tłumaczy motywy swojego kroku. To też zdarza się niejednemu.

- Ba... - Parker uśmiechnął się z mimowolną złością. - Zostawił, tak, ale nie jeden list samobójczy, tylko dwa. I w dodatku każdy z nich zawiera zupełnie inny motyw tego, jak powiadasz, kroku. A to, o ile wiem, nie zdarza się tak często, prawda?

- No, nareszcie! - Joe wstał. Cała senność zniknęła z jego zachowania, jak gdyby nagle ktoś wylał mu na głowę kubek zimnej wody. - Wiedziałem, że masz coś w rękawie, stary, rutynowany oszuście. Tak! Wyobrażam sobie to wszystko: przyjeżdżacie, znajdujesz list samobójczy, oddychasz z ulgą, a potem sięgasz gdzieś i... znajdujesz drugi list! Jak powiadają w szkole: o tej samej sile, ale odwrotnie skierowany. A potem zaczynają dzwonić różne wysoko postawione osobistości, dla których fakt, że jesteś zastępcą kierownika Wydziału Śledczego, wystarcza, aby żądać od ciebie, po dwu minutach, kompletnych wyników śledztwa, nazwiska mordercy, motywów i doprowadzenia brzydkiego truciciela do podpisanej własnoręcznie i przy dwu świadkach spowiedzi! O moje urzędowe biedactwo! Ale nie przejmuj się, jestem przy tobie!

Roześmiał się i zgasił papierosa. Potem spowaźniał.

- Czy to tak mniej więcej wygląda, Ben? Parker zabębnił palcami po powierzchni stołu.

- Twoje spostrzeżenia przynoszą ci zaszczyt - mruknął - ale niemniej są bliskie prawdy. Joe skinął głową.

- Słucham cię. Powiedz mi, co wiesz, i zabierajmy się do pracy. Co prawda... - znowu spojrzął na zegarek - zabieramy się do pracy bardzo wcześnie, ale kto rano wstaje...

Urwał

- O niczym innym nie marzę... - powiedział zastępca szefa Wydziału Kryminalnego.

- Niestety, nie dajesz mi dojść do słowa. Więc posłuchaj...

## **Rozdział czwarty**

### **„Pośrodku gabloty, pomiędzy dwiema ogromnymi ćmami...”**

Parker zaczerpnął głęboko powietrza i westchnął.

- Muszą ci powiedzieć, że w ciągu ostatnich dwudziestu minut telefonowali tu do mnie: najpierw mój szef, potem szef mojego szefa, potem jeden minister, potem znowu mój szef, interpolowany przez jakąś potęgą finansową, potem drugi minister. Wszyscy krótko, rzeczowo, żądając jak najszybszych wyników śledztwa. W końcu ja zadzwoniłem do szefa, błagając, żeby mnie odciął od nich i zablokował, drogą reporterom. Szczerze mówiąc miałem najwyżej dziesięć minut czasu na zamienienie paru słów z mieszkańcami i rozejrzenie się po pokoju, gdzie znaleziono zwłoki. To wystarczyło, żeby zadzwonić do ciebie. Ale najpierw o Bedfordzie... - Zastanawiał się przez chwilę, potem podjął szybko, jak gdyby zdając sobie sprawę z tego, że czas ucieka bezowocnie, a gdzieś na krańcach linii telefonicznych czekają w ogromnych gabinetach bardzo ważne osobistości, które absolutnie nie znają się na metodach prowadzenia dochodzeń policyjnych, natomiast gotowe są do natychmiastowej i najsurowszej krytyki, jeżeli coś przebiega nie po ich myśli.

Bedford nie był multimilionerem ani magnatem giełdowym, którego śmierć mogłaby się odbić na kursie akcji całego świata, jak kiedyś śmierć Iwanra Kreugera. Posiadał, oczywiście, duży majątek i prowadził jeszcze do niedawna rozległe interesy, ale wycofał się z nich i ostatnio, o ile się orientuję, poświęcił cały swój czas żonie, poznaney kilka lat temu i poślubionej parę tygodni po zawarciu znajomości, oraz motyloom, które kochał od lat dziecinnych - były one chyba największą namiętnością jego życia. Wiesz już, że otrzymał nawet doktorat honoris causa za swoje prace z życia ciem. Oczywiście znany był jako badacz życia tych owadów tylko nielicznemu gronu specjalistów i sam nie wiem, skąd możesz na przykład ty o tym wiedzieć...

Zawiesił na chwilę głos, ale Joe tylko uśmiechnął się, zamiast odpowiedzieć.

- W kołach rządowych - podjął Parker - i w City najbardziej znany był jako ekspert finansowy. Miał podobno genialne zupełnie zdolności przewidywania wyników zawartych traktatów i rozwoju handlu zagranicznego. Był nawet stałym doradcą naszego rządu przy zawieraniu międzynarodowych umów. Znał wiele tajemnic i przez ręce jego przechodziły do zaopiniowania ściśle tajne projekty dotyczące ceł, taryf, obrotu międzynarodowego i stu innych dziedzin, na których ani ty, ani ja nie będziemy się nigdy znali. Rzetelność jego była przysłowiowa. Musisz pamiętać, że ludzie opiniujący problemy handlu międzynarodowego są często narażeni na oferty przekupstwa. Przyjmowanie tego rodzaju „prowizji” nie jest traktowane w wielu krajach jako przestępstwo, ale po prostu jako zysk, będący konsekwencją zajmowanego stanowiska. U nas gdziekolwiek też można spotkać się z takim poglądem. Bedford ceniony był właśnie najbardziej za swój kamienny stosunek do przekupstwa i rozmaitych półlegalnych gier. A ponieważ miał twardy charakter, więc tępił tego rodzaju wypadki, gdy tylko wpadł na ich ślad, i mówił o nich otwarcie, nie zważając na stanowisko i osobę. Niejedna reputacja dzięki niemu pogrzebana została raz na zawsze. Miał wielu wrogów, obawiano się go, otrzymał nawet przydomek „Katona finansów”. Samobójstwo takiego człowieka, a właściwie ustalenie, czy to było samobójstwo, a jeśli tak, to z jakich przyczyn - musi interesować nawet najwyższe czynniki. Dlatego nalegają na mnie o jak najszybszy wynik wstępnego dochodzenia. Oczywiście od razu poinformowałem, kogo trzeba, że chcę zaważać ciebie do pomocy. Na szczęście zgodzili się natychmiast. Ufają nie tylko twoim zdolnościom, ale i dyskrecji. A jedno i drugie może się nam tu bardzo przydać, bo muszę ci powiedzieć szczerze, że jeśli nie zrobimy czegoś prędko, to, jak mi się wydaje, możemy stanąć w obliczu tego, co prasa nazywa nierozwiązalną zagadką. Jeżeli nie pomogą odciski palców albo ktoś nie sypnie, to sam nie wiem, co jeszcze mogę tu zrobić. Zresztą gdyby nie te dwa listy...

Urwał. Rozległo się pukanie. Jones wsunął pyzatą głowę przez drzwi.

- Nasi ludzie już skończyli, szefie. Za dziesięć minut przyjedzie karetka po nieboszczyka. Czy pozostawić go w gabinecie w tej pozycji, w jakiej siedział?

- Tak! - Parker wstał. - Chcemy dokonać jeszcze raz oględzin tego miejsca i myślę, że zwłoki mogą nam się przydać. Niech ludzie z prosektorium zaczekają. Powiem im sam, kiedy mają go zabrać.

- Tak jest, szefie.

Jones zniknął. Parker ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- O godzinie szóstej, a może kilka minut później sekretarz zmarłego, Robert Reutt, zaalarmował telefonicznie mieszkającego w pobliżu lekarza, doktora Gardnera, zawiadamiając go, że znalazł sir Gordona Bedforda siedzącego za biurkiem w gabinecie i nie zdradzającego oznak życia. Lekarz przybył po mniej więcej dziesięciu minutach i natychmiast stwierdził zgon. List leżący przed zmarłym na biurku, charakterystyczny zapach resztek kawy w filiżance i ten sam zapach ulatniający się z ust zmarłego nasunęły lekarzowi przypuszczenie, że sir Gordon popełnił samobójstwo za pomocą soli potasowej kwasu cyjanowodorowego, czyli owego KCN, o który pytałeś, czyli po prostu cyjanku potasu. Zapas tej substancji znajdował się zresztą pod ręką, w gabinecie, gdyż sir Gordon używał jej do zabijania owadów.

- Kto mieczem wojuje... - szepnęła Alex. - Chodźmy... Spójrzmy na pole bitwy...

- Chwileczkę. Lekarz miał na szczęście tyle rozsądku, że nie pozwolił niczego ruszać, został przy zmarłym i zadzwonił od razu na najbliższy posterunek policji, a oni z kolei w ciągu kilkunastu sekund zawiadomili nas. Bedford był znany w całej dzielnicy. Urodził się w tym domu, tu spędził dzieciństwo...

Alex uśmiechnął się do siebie, ale zaraz spoważniał.

- Z czego się śmiesz? - Parker spojrzał podejrzliwie.

- Och, z niczego. Nie zwracaj na mnie uwagi. Chodźmy...

I ruszył pierwszy. Parker dopędził go w drzwiach i otworzył je.

Ponieważ jedyne wielkie okno gabinetu sir Gordona zasłonięte było storą, a pokój oświetlała tylko stojąca na biurku niewielka lampa, Joe stał przez chwilę wyężając wzrok, aby zauważyć coś w półmroku.

Parker szybko przeciął pokój i zapalił wiszący pod sufitem silny, sześcioramienny świecznik.

Sir Gordon Bedford siedział za biurkiem, a właściwie leżał na nim połową ciała. Z miejsca, w którym stali, nie można było dostrzec rysów twarzy.

Joe rozejrzał się.

Półka z książkami, biurko, długi stół, połyskujący szklanymi probówkami i niklem równo poukładanych przyborów... Niewielki stolik, na nim maszyna do pisania i obok małe krzeselko... A wokół pokoju, od okna aż do leżących naprzeciw niego drzwi, biegły z obu stron dwa rzędy dużych gablot, pełnych nieruchomych motyli wpiętych na szpilki i uszeregowanych jak eskadry samolotów na niebie na ciemnym, tle aksamitu, którym obite było wnętrze gablotek.

Nie ruszając się z miejsca Joe zapytał:

- Czy dom był zamknięty od środka?

- Tak.

- Wszystkie okna mają kraty? Zauważyłem okratowania idąc tutaj.

- Tak, wszystkie. Znasz ten styl: rzeźbione, powyginane, ozdobne, pozornie filigranowe kraty, w rzeczywistości solidne i mocne. Oni dbali o swoje bezpieczeństwo... ludzie tamtych czasów... Chcieli spać spokojnie...

- I rzeczywiście - mruknął Alex - usnęli już wszyscy na wieki wieków amen.

Podszedł do okna i odsunął storą. Na zewnątrz był ogród pełen czerwonych dalii. Przez chwilę patrzył na kwiaty, czując za plecami obecność nieruchomej postaci przy biurku i słysząc równy, spokojny oddech Parkera.

- A drzwi wejściowe?

- Mają automatyczny zatrzask i zasuwę. Zresztą nawet furtka w tym domu jest zawsze zamknięta na klucz. Sir Gordon żądał kategorycznie od wszystkich domowników, aby w czasie jego wizyt tutaj każdy miał klucz od automatycznego zamka przy sobie i każdorazowo zamykał drzwi. Przechowywał tu często poufne dokumenty, które zabierał do rozpatrzenia na weekendy, więc chciał mieć absolutną gwarancję, że nikt obcy nie będzie mógł łatwo zakraść się do domu. Nasz specjalista zbadał od razu wszystkie zamki i kraty. Są w porządku. Żadnych śladów włamania. Drzwi wejściowe były zaryglowane od środka. Dlatego można sobie chyba powiedzieć, że jeżeli to nie jest samobójstwo, wówczas...

- Wówczas mordercą będzie ktoś z domowników, tak? - Alex odwrócił się od okna. - A kto był w domu w ciągu ubiegłej nocy?

- Następujące osoby:

1 Żona zmarłego, Sylvia Bedford,

2 jego brat, Cyril Bedford,

3 jego sekretarz, Robert Reutt,

4 bratowa Judyta Bedford i

5 pokojówka Agnes White.

- Kucharki nie zatrudniają?

- Zatrudniają, ale wyjechała do chorego syna.

- Rozumiem. Jeszcze sekunda. Powiedziałaś, zdaje się: „podczas jego wizyt tutaj...” Więc Bedford nie mieszkał w tym domu?

- Nie. Miał mieszkanie w City, a tu spędzał tylko niektóre weekendy oraz okresy, kiedy chciał w spokoju popracować nad życiem swoich ulubionych ciem. W tym domu przebywał stale tylko jego brat wraz z bratową i służbą.

- Taaak... - Joe odwrócił się i spojrzał na biurko.

- A teraz przejdźmy do tych listów... - Parker zbliżył się do biurka. Joe ruszył za nim i zatrzymał się naprzeciw zmarłego.

Gordon Bedford musiał być chyba niemal olbrzymem. Jego potężne bary zakrywały prawie całą powierzchnię biurka, a palce zwisającej ku ziemi prawej dłoni, pod którą widniały rozprysnięte kawałeczki małej filiżanki o złocym brzegu, bardziej przypominały palce boksera wagi ciężkiej niż uczonego. Kiedy Parker z pewnym wysiłkiem uniósł głowę i ramiona zmarłego, Joe wzdrygnął się. Na twarzy sir Gordona widniał ów tajemniczy, okropny grymas, który już Hipokrates przed tysiącami lat nazwał ironicznym uśmiechem śmierci. Najwyraźniej trucizna działała piorunująco.



Szef policji ostrożnie oparł ciało o poręcz fotela. Przez chwilę Alex miał złudzenie, że zmarły właściciel tego domu ryknie śmiechem. Ale nieruchome, wyrznięte wargi nie poruszyły się.

Parker wskazał palcem leżący na powierzchni biurka list.

- Ten znalazłem od razu... - powiedział. - Wszystko tu już jest sfotografowane i ze wszystkiego zdjęto odciski, więc możemy swobodnie brać każdą rzecz do ręki. Bierz i czytaj.

Więc Alex wziął i przeczytał:

dla innej duszy, nie tak czystej i nie tak odpornej na pokusy tego świata. Błagam Cię Są w moim życiu sprawy, które narastały długo, i stały się przyczyną mego obecnego kroku. Być może, nigdy nie wyjdą one na światło dzienne. W tej dziedzinie niewiele dochodzi do uszu osób nie zainteresowanych. Nie ma zresztą wielkiego sensu wdawać się w szczegóły. Osoby, które mógłbym wskazać, mogące z łatwością stwierdzić prawdę zawartą w tym liście, nigdy tego nie zrobią i nikt nie zmusi ich, aby się zdradziły. Nikt im nigdy niczego nie udowodni. Ale prawda jest jedna: urodziłem się w uczciwym domu, moi rodzice i dziadkowie byli ludźmi nieposzlakowanymi, a ja sam rozpocząłem życie jako uczciwy człowiek i chciałem nim pozostać do końca. Niestety, uległem pokusie. Już wtedy chciałem skończyć z sobą. Wiedziałem, że nie potrafię kłamać tak łatwo jak inni. Ale zabrakło mi odwagi. A potem, kiedy zrozumiałem, że popełnionego przestępstwa nic ze mnie nie zmyje, zacząłem grzęznąć coraz głębiej. Moja znakomita opinia tylko mi w tym pomagała. Wydawało się, że jestem ostatnim z ludzi, których można posądzić o nierzetelność i łapownictwo. A jednak. Robiłem to potem z niezrozumiałą dla mnie samego pasją, jak gdybym wierzył, że jedna plama zmywa drugą. Może przypuszczałem, że w ten sposób nauczę się cynizmu? Ze w końcu zapomnę, czym są moje uczynki? Ale nie zapomniałem. Decyzja, którą muszę dzisiaj wprowadzić w czyn, narastała we mnie od dawna. Nie jest ona dla mnie niczym nowym, chociaż dla wielu moich znajomych i towarzyszy pracy będzie zapewne 'wielkim zaskoczeniem. Nie, nie jestem „Katonem finansów”. Nie jestem nawet zwykłym uczciwym człowiekiem. Zdradziłem mój kraj i moje dobre imię wielokrotnie dla zysku. Nic tego nie cofnie. Ale wyznając tę okropną prawdę na chwilę przed śmiercią wierzę, że może miłosierny Bóg przebaczy mi choć drobną część mojej winy, a ludzie, którzy mi zaufali tak wiele i których zawiodłem tak bardzo, zrozumieją, że nie byłem zupełnie zły. Sam sobie wymierzyłem sprawiedliwość. Niech los mój będzie przestrogą dla tych wszystkich, którzy sądzą, że pieniądz jest motorem i celem wszystkiego na tym najtrudniejszym ze światów. Czystego sumienia nie można kupić za żadną cenę. Do widzenia, moja najdroższa Sylvio. Byłaś jasnym promieniem mojego życia. Byłaś czysta, wierna i uczciwa, po stokroć więcej warta niż ja. Piszę „do widzenia”, bo wierzę, że spotkamy się jeszcze kiedyś tam, gdzie echo słabości ludzkich już nie dociera, a długa pokuta odkupuje wreszcie wszystkie winy. Oby tak było! To jedno mnie pociesza: pragnienie zobaczenia Ciebie na tamtym, lepszym świecie. Niech Twoja wielka dusza i wielka uczciwość znajdą choćby trochę litości i pobłażania o to. Twój na wieki nieskończone Gordon.

Alex złożył list i ostrożnie położył go na powierzchni biurka.

- I co o tym myślisz? - zapytał Parker, biorąc list i wsuwając go do dużej, białej koperty, którą wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki.

- Tak cliche i banalne, że mogłoby być prawdziwe... - mruknął Joe - „...Czystego sumienia nie można kupić za żadną cenę...” Bardzo prawdziwe, chociaż okropnie źle napisane... - Rozejrzał się. Wszędzie wzrok jego napotykał ćmy o rozpiętych skrzydłach i odpoczywające, duże i małe, ciemne i niespodziewanie kolorowe, udające lot, wbite na szpilki, martwe-i nieruchome jak...

Powoli przeniósł spojrzenie na biurko.

- Czy ciało znajduje się dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej je znalezione?

- Tak. Jeżeli będą jakieś minimalne zmiany położenia, to mamy zdjęcia i możemy zrobić korektę.

Joe obszedł biurko i spojrzał w dół, wzdłuż wyciągniętej ręki zmarłego. Leżała pod nią rozbita filiżanka, nosząca ślady resztek kawy. Po drugiej stronie ciała leżał rozbity talerzyk.

- Co o tym myślisz? - Alex ukląkł, powąchał filiżankę, a potem wskazał spodek. Wstał.

- No cóż?... - Parker wzruszył ramionami. - Najwyraźniej trzymał w rakach filiżankę na spodeczku, jak to robi wiele osób. Kiedy wypił, śmierć nastąpiła natychmiast. Filiżankę trzymał wówczas w prawej ręce, a talerzyk zapewne we wgłębieniu lewej.

- Tak... Masz słuszość. - Alex kiwnął głową. - Wobec tego filiżanka upadła, kiedy wypuścił ją ze stygnącej już dłoni, a talerzyk zsunął mu się po prostu z kolan... O, tu jest ślad kropelki kawy... - Wskazał na spodnie zmarłego. - Tak... - obszedł fotel jeszcze raz i znowu spojrzał. - To musiało tak być...- Ciekawe...

- Najbardziej ciekawi mnie to, dlaczego nie interesuje cię ten drugi list samobójczy?

- Jak to? Interesuje mnie, nawet bardzo! - Joe uniósł brwi. - Ale jeszcze bardziej interesuje mnie to, co się tu odbyło. Ten pierwszy list był napisany na maszynie do pisania, nawet podpis był maszynowy. Czy to ta maszyna?

- Tak. - Parker skinął głową, podszedł do małego stolika i uderzył lekko w jeden z klawiszy otwartego portable'a. - Jest to przenośny „Underwood”, zakupiony przed pół rokiem i znajdujący się zawsze w zasięgu wszystkich domowników. Oba listy zostały napisane na nim. Ten drugi list znalazłem o tu... - Podszedł do biurka i uniósł leżącą na nim otwartą książkę. Pod nią znajdował się złożony we dwoje kawałek papieru. Parker bez słowa podał go Alexowi.

Nie mogę już dłużej. Stałem na drodze miłości dwojga ludzi, których cenię i szanuję. Gdybym nie odszedł, stałbym się sprawcą ich ciągnącej się przez całe życie tragedii. A ponieważ ich szczęście wydaje mi się czymś o wiele ważniejszym niż moje życie, więc rozmyślając o nich i o sobie znalazłem jedyne rozwiązanie, jakie wydaje mi się możliwe. Niestety, nie potrafiłbym żyć bez tej jednej jedynej kobiety, którą pokochałem w życiu. Kochana, nie gniewaj się. Nie bierz mi za złe tego kroku. Zrozum, że tu cierpiałbym nieustannie, patrząc na was. A tam... będzie tylko pustka i cisza... To straszne pomyśleć, że już nigdy nie będę cię trzymał w ramionach, Sylvio moja jedyna. Ale z losem nikt jeszcze nie wygrał. Tak widocznie musi być. Dobranoc. Niech Bóg ma cię w swojej opiece. Pomyśl o mnie czasem. To wszystko, o co Cię chcę prosić. Kochałem Cię jak nigdy, nikt nikogo. Dobranoc - na zawsze.

Joe skończył i podał list Parkerowi; ten wsunął go do koperty, w której zniknął już list numer 1.

- Tak... Bardzo zabawne...

- Mnie to nieco mniej śmieszy... - mruknął Parker. - Czy przynajmniej rozumiesz coś z tego?

- W najlepszym razie sir Gordon Bedford wygląda na człowieka, który pragnął popełnić samobójstwo i starał się wybrać sobie najbardziej efektowny powód. Na razie odkrył nam dwa: wyrzuty sumienia i zawiedziona miłość. Szkoda tylko, że zaproponował nam oba jednocześnie. Interesuje mnie poza tym, jak można pisać tak egzaltowane bądź co bądź listy - na maszynie?... A przecież umiał się posługiwać piórem...

Podszedł do stołu i raz jeszcze uniósł otwartą książkę, spod której przed chwilą Parker wyciągnął list numer 2. Pośrodku książki, we wgłębieniu utworzonym przez wypukłość kartek, leżało odkręcone wieczne pióro.

- Zdjęto z niego odciski palców, prawda?

- Oczywiście.

Joe odłożył pióro na biurko i zerknął na książkę.

- To jego oprawny maszynopis... -; stwierdził głośno to, co na pierwszy rzut oka było i tak jasne. - Wygląda na to, że właśnie go poprawiał, bo wszędzie widać odciski.

Urwał i zaczął przesuwać oczyma po otwartym maszynopisie, poruszając bezgłośnie wargami. Wreszcie odczytał półgłosem:

„W okolicach zachodniego Londynu przeloty Atropos L. występują w okresie...”

Uniósł głowę i spojrzał na Parkera, który przyglądał mu się stojąc bez ruchu naprzeciw biurka z rękami założonymi na piersi.

- Ciekawe, co? Chyba specjalista taki, jak sir Gordon, wiedział, w jakim okresie występują przeloty Atropos L. w okolicach zachodniego Londynu?

- O czym ty mówisz, na miłość boską? - Parker zbliżył się i zajrzał mu przez ramię.

- O tym, że jestem zdziwiony, dlaczego sir Gordon urwał w tym miejscu. Jak widzisz, jest to poprawka najniżej położona na kartce. Wszystko wygląda na to, że doczytał właśnie dotąd i chciał wpisać to zdanie, ale coś mu przeszkodziło i nie dokończył.

- Tak... - Parker wziął do ręki pióro. - Może po prostu nie zdążył tego zrobić przed śmiercią?

- Właśnie. A poza tym wydaje mi się trochę nieprawdopodobne, żeby przerwał w pół zdania, odłożył pióro i popełnił samobójstwo. Jak myślisz?

Zastępca szefa Wydziału Kryminalnego, nie odpowiadając, wyjął swój notatnik, a potem nakreślił szybko jedno słowo:

Morderstwo!!!

Po ostatnim wykrzykniku uniósł pióro i obejrzał stalówkę, potem porównał oba napisy.

- Tak, to ten sam atrament, jasnozielony.

Jak gdyby nie słysząc jego ostatnich słów, Alex zamknął maszynopis i odczytał na naklejce znajdującej się pośrodku sztywnej oprawy:

**Gordon Bedford**

**WĘDRÓWKI ATROPOS L.**

**(Próba określenia cech szczególnych zjawiska ca podstawie badań w latach 1957-1961)**

Położył książkę dokładnie w tym samym miejscu, z którego ją wziął, i spojrzał na zmarłego, który siedział teraz z głową lekko odchyloną ku tyłowi, patrząc w przestrzeń nieruchomymi, zmrużonymi w straszliwym uśmiechu oczyma.

- Ćmy i kredyty... - Alex zbliżył się do niego i przez chwilę przyglądał mu się uważnie. - Wygląda na takiego, jakim był: spokojny, opanowany, kulturalny Anglik, przyzwoity człowiek, uczciwy, stanowczy. Ten mocny podbródek świadczy o przekonaniu, że życie nie jest krętym, pełnym dziur i wybojów traktem, ale równą drogą, po której można doskonale jechać pod warunkiem, że będzie się ściśle trzymało przepisów... Czytywał Shakespeare'a, brzydził się kłamstwem, używał dobrej lawendy, kochał monarchię i wierzył, że człowiek musi pracować solidnie, każdy na takim stanowisku, na jakim go los i urodzenie postawiły... gardził w duszy słabeuszami i chwiejnymi, nie znał lęku, czcił otwartą, prostą grę, urodził się o kilkadziesiąt lat za późno. Był na pewno bardzo pedantyczny...

Przesunął raz jeszcze przelotnie oczyma po wysokim, pokrytym kilkoma poprzecznymi zmarszczkami czole, pod którym usnęły teraz na zawsze, ułożone obok siebie na wieczny spoczynek wiadomości o sześciu nocnych, skrzydlatych stworzeniach i potencjale płatniczym egzotycznych państw.

- Ciekaw jestem, dlaczego ma na sobie tak gruby sweter? W nocy było bardzo ciepło i zanosilo się nawet na burzę...

- Zdaje się, że miał reumatyzm... - mruknął Parker. - Tam na półeczce, obok barku, są pigułki przeciwbólne.

- Właśnie... - Joe powrócił oczyma do powierzchni biurka. - A w tej ramce jest zapewne konterfekt jego ukochanej Sylvii, dla której, jak chce jeden z jego listów, porzucił ten padół też... Ciekaw jestem, jak ona wygląda.

Wysunął dłoń i wziął do ręki małą ramkę mieszczącą zaledwie zdjęcie w formacie sześć na dziewięć. Przez chwilę przyglądał się fotografii, po czym pokiwał głową.

- Jeżeli to jest pani Sylvia Bedford, to wydaje mi się bardzo zgrabna, ale, niestety, trudno określić z tego rysy jej twarzy. Zresztą sam zobacz.

Podał mu ramkę. Parker zerknął na nią bez zainteresowania, potem spojrzał drugi raz, wreszcie przysunął ją do oczu.

- A cóż to takiego? - mruknął.

- Właśnie... - Joe spojrzał na zmarłego. - Mam nadzieję, że sir Gordon nie był fetyszystą. Istnieją pewne prymitywne plemiona w Melanezji, u których jest zwyczaj malowania sobie portretów zmarłych na ciele po to, aby przedłużyć im życie. Ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zabierał z sobą głowę ukochanej w ostatnią podróż... Ciekawe, czy ten brakujący kawałek gdzieś tu jest. Czy pokój jest dokładnie przeszukany?

- Chyba tak... - Parker mimowolnie podrapał się w głowę. - Oczywiście taka mała rzecz, jak ludzka głowa wycięta z fotografii, mogłaby ująć uwagi moich chłopców, szczególnie wówczas, gdyby była w papierach, ale...

Joe pochylił się i zerknął do kosza na śmieci. i - Czy zaglądałeś tam?

- Tak. - Parker skinął głową. - Znaleźliśmy tam jedną tylko ćmę, widocznie niepotrzebną mu już... Zresztą została dokładnie sfotografowana i jeżeli były na niej jakieś odciski palców, to też będę je miał. Kazałem wszystko poukładać dokładnie tam, gdzie było przed naszym przyjściem...

Alex włożył ręką do kosza i wyprostował się, trzymając w palcach ogromną ćmę. Była ona przebita długą szpilką i martwa.

- Bardzo lekka... - powiedział cicho. - Najwyraźniej zginęła już dawno i zdążyła wyschnąć zupełnie...

Parker podszedł i razem zaczęli przyglądać się martwemu owadowi.

- Ohyda... - mruknął zastępca szefa Wydziału Kryminalnego. - Nie rozumiem, jak rozsądny człowiek może...

Urwał, bo Alex nie patrzył już na ćmę. Jego spojrzenie szybko przesunęło się od gablotki do gablotki. Nagle zatrzymało się.

- A to co znowu? - szepnął i trzymając nadal ćmę pomiędzy palcami, szybko podszedł do gablotki wiszącej na ścianie za plecami zmarłego.

Gablotka ta była prawie pusta. Na ciemnym aksamitnym tle tkwiły rozkrzyżowane na szpilkach dwa ogromne nocne motyle, żółtawe, o grubych włochatych odwłokach, przeciętych poprzecznymi brązowymi paskami w poprzek, a wzdłuż - długą, błękitną linią. Pośrodku tułowia miały znamiona w kształcie maleńkich trupich głów. Obie były absolutnie podobne do ćmy, którą Joe w tej chwili trzymał w palcach. Ponad ćmami biegł napis:

**ACHERONTIAE - ZMORY  
ATROPOS L. (ZMORA TRUPIA GŁÓWKA)  
(Złowione w Londynie 1-7 czerwca 1959)**

Lecz obaj stojący przed gablotką mężczyźni nie przyglądali się ogromnym ćmom. Nieruchomymi, zdumionymi oczyma wpatrywali się w trzeci obiekt, umieszczony dokładnie pośrodku pomiędzy dwoma owadami.

Była to głowa kobieca, wycięta z niewielkiej fotografii i umieszczona na szpilce. ....

### ***Rozdział piąty***

#### **„Mam już wszystkie raporty...”**

Pierwszy poruszył się Parker. Podszedł do gablotki tak blisko, że niemal dotknął czołem szkła oddzielającego jej zawartość od reszty pokoju.

- Niech mnie zabiją... - powiedział wreszcie zdławionym głosem. - Niech mnie zamienią w ćmę i wbiją na szpilkę, jeżeli to nie ta głowa, której brakuje na naszej fotografii!

- Na pewno... - Alex jeszcze przez chwile przyglądał się główce, potem zawrócił i wziął do raki ramkę.

- Atropos... - mruknął. - Jakże się nazywały?... Atropos, Kloto, Lachesis... Trzy siostry...

- Jakie siostry? - Parker odwrócił się na pięcie i spojrzał na niego;

- Parki. Atropos to była właśnie ta, która przecinała nożycami nić ludzkiego życia...

- Jak to? Jesteś tego pewien?

- Och, najzupełniej... - Joe uśmiechnął się nie-dostrzeżenie. - Mitologia w przeciwieństwie do śledztwa ma pewien plus, mianowicie to, że wszystko w niej jest niezmiennie i nie można oczekiwać żadnych niespodzianek...

Podszedł do biurka i kolejno wyciągnął obie boczne szuflady, płaskie i puste, poza kilkoma luźno rzuconymi ołówkami i gumką.

- Nasz nieboszczyk, jak widać, nie używał szuflad biurka...

- Prawdopodobnie dlatego, że przywoził z sobą na weekendy to, co miał do wykonania. - Parker wzruszył ramionami. - W szufladach nie ma nic kompletnie...

Joe podszedł do długiego stołu laboratoryjnego, przyjrzał się leżącym na nim przedmiotom i otworzył szafeczką z napisem „Ostrożnie - trucizna!!” Zajrzał tam, odsunął wypełniony białym proszkiem, hermetycznie zamknięty słoik, potem rozejrzał się po stole, wyciągnął jedną z jego dwu bocznych szufladek, zasunął ją, wyciągnął drugą, znowu rozejrzał się i podszedł do ukrytego w półce z książkami expressu. W tej chwili, po pobieżnej rewizji policyjnej, półka była nieco odsunięta. Joe zajrzał tam, przesunął małe, czyste filizaneczki, równo poustawiane w jednym rzędzie, wsunął dłoń za aparaturę, wyprostował się. Parker przez cały ten czas śledził jego ruchy, stojąc na środku pokoju.

- Więcej skrytek tu nie ma... - mruknął Joe. Podszedł raz jeszcze do stołu i obejrzał torbę z probówkami. Uniósł je kolejno pod światło i odłożył... Potem zajrzał w głąb przegródek. Wyprostował się.

- O co chodzi? - Parker zmarszczył brwi.

- Chwileczkę... - Joe podszedł do leżących na stole narzędzi i obejrzał je, uniósł długie, proste nożyce, przez chwilę przyglądał się im i odłożył je na miejsce.

- Czego szukasz?

- Och... - Alex zrobił nieokreślony ruch ręką. - Kiedy powiedziałem, że Atropos przecinała nożycami nie ludzkiego żywota, przyszło mi do głowy, że osoba, która wycięła tę głowę z fotografii, też musiała tego dokonać za pomocą nożyczek... Tylko gdzie są te nożyczki? Bo ta para wielkich nożyc na stole nie mogła służyć do tego celu... Widzisz, tu w zdjęciu wycięto tę głowę nożyczkami zakrzywionymi, takimi, jakich kobiety używają do manicure'u albo jakich używa się w ogóle do bardzo precyzyjnych robótek. Brzeg papieru jest zakrzywiony jednym cięciem...

Parker podszedł do biurka i razem z nim patrzył przez chwilę na zdjęcie.

- Tak... - mruknął. - Wyobraź sobie, że przez sekundę i ja myślałem o tym, ale później, kiedy znalazłeś tę głowę w gablotce, zapomniałem o wszystkim. Mogą być ukryte pomiędzy książkami...

Joe potrząsnął głową.

- Osoba, która wycięła tę główkę, mogła albo pozostawić je gdzieś na widocznym miejscu, albo jeżeli je ukryła, to przecież nie tutaj...

Wziął ze stołu szkło powiększające i podszedł do gablotki.

- Jest tu trochę kurzu i widać wyraźne odciski palców. Ktokolwiek interesował się tą gablotką, nie zadawał sobie wielkiego trudu, żeby ukryć ten fakt... Ale może działał w gumowych rękawiczkach... Jeżeli już o tym mówimy, jedna para takich rękawiczek leży w szufladce tego wielkiego stołu... Kiedy będziesz miał wyniki daktyloskopijne i analizę medyczną?

- Za mniej więcej pół godziny, mam nadzieję. Kazałem im bardzo, ale to bardzo spieszyć się, a moi ludzie wiedzą, że kiedy o to proszę, mam na pewno ważny powód.

- Taak... - Joe westchnął. - To ciekawa sprawa, Ben. I po raz pierwszy chyba muszę ci się przyznać, że bardzo mnie będą interesowały wszystkie możliwe odciski palców w tym pokoju...

- Jak to? Przecież nie przesłuchaliśmy jeszcze nawet nikogo z obecnych?

- Właśnie dlatego...

- Nie rozumiem... - mówiąc to Parker był absolutnie szczery. - Czy chcesz powiedzieć, że już coś wiesz?

- Nic podobnego! Na razie mam w głowie absolutny chaos. Ale faktów jest masa. A kiedy jest tak wiele faktów, wtedy zawsze nasze szare komórki mają duże pole do popisu. Najgorsze są zbrodnie suche, gdy morderca nie wysiła się specjalnie, żeby zmylić tropy...

- Więc sądzisz, że to morderstwo?

- Nie wiem... - Joe rozłożył ręce. - Nie mamy przecież jeszcze kompletnych danych, nawet urzędowych... Ale myślę, że tak. To znaczy mam raniej więcej dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że tak.

- Dzięki tym dwu listom samobójczym, oczywiście?

- Skądże?! Ostatecznie samobójca mógł napisać nawet dwa różne listy pożegnalne. W jednym z nich chciał ukryć prawdziwą przyczynę i podać fałszywą. A potem, pod wpływem emocji (bo fakt odbierania sobie życia musi chyba wywołać w człowieku wielkie wzruszenie, prawda?), mógł zapomnieć o tym liście, z góry przygotowanym, i kropnąć prawdę... Nie, listy nie przekonują mnie zupełnie. Natomiast w wypadku, gdyby sir Gordon został zamordowany, posiadają one olbrzymią wartość dla śledztwa.

- Jaką?  
- Ba, gdybym wiedział! Nic jeszcze nie wiem. Słuchaj, czy to już wszystko? To znaczy, czy nie znaleźliście niczego więcej?  
- Owszem. W prawej kieszeni spodni zmarły ma niewielkie pudełeczko, jedno z tych, które znajdziesz w prawej szufladzie stołu. W pudełeczku jest kapsułka zawierająca cyjanek potasu.  
Podszedł do zmarłego i ostrożnie wyciągnął z jego kieszeni pudełko. Alex rzucił na nie okiem, potem odwrócił się do biurka.  
- No, to jesteśmy gotowi... - mruknął. Pochylił się nad biurkiem i odsunawszy oprawiony maszynopis, wziął do ręki mały czarny notes. Otworzył go.  
- Czy czytałeś to?  
- Nie zdążyłem... - Parker zbliżył się i razem pochylił się nad notesikiem, na którym złotymi zgłoskami wydrukowany był napis IN MEMORIAM.

...19 VI... sprawdzić zamówienie lotnicze...

R. niech dzwoni do C., że przyjeżdżamy na weekend...

20 VI Oczywiście słoń, poprosić go, żeby wsypał na powrót. To samo z kawą.

Być potem łagodnym dla niej.

21 VI Spalić! Pamiętać o rozłożonej pracy... Kazać mu napisać parę słów.

Spalić!!!

- Hm... - Parker pokręcił głową. - Ciekawe te notateczki... Nie wyglądają ani na zapiski przyrodnicze, ani na ekonomiczne...

- Zapewne... - Joe znowu wziął do ręki szkło powiększające i podszedł do gabloty. Śliczna dziewczyna... - szepnął. - Ciemne włosy, wielkie, trochę skośne oczy, spoglądające poważnie. Piękna twarz, ale zupełnie bez uśmiechu. Ciekaw jestem, czy te usta mówią prawdę. Fizjonomika to bardzo zawodna nauka... A te usta są zmysłowe, trochę za wielkie... Więcej w nich jest życia, niż wymagał zapewne los tej pani... - Odwrócił się ku zmarłemu. - Jeżeli to zdjęcie jest zrobione niedawno, to pani Bedford musi być o wiele młodsza niż jej mąż.

- Jest młodsza o trzydzieści lat. - Parker wyjął z bocznej kieszeni marynarki swój notes i rzucił okiem, żeby sprawdzić, czy dane, jakie podał, są dokładne. - Tak, trzydzieści, nawet trzydzieści jeden. Ona ma dwadzieścia siedem, a on miał pięćdziesiąt osiem...

- Shakespeare umiałby z tej prostej arytmetycznej różnicy uformować dramacik, w którym byłoby pięć razy tyle trupów, ile mamy w tym pokoju. Ale oczywiście możemy się fatalnie mylić, chociaż jeden z listów niedwuznacznie sugeruje nam właśnie ten powód śmierci sir Gordona, a nie inny. Ta główka kobieca pomiędzy dwiema trupimi głowami też ma swoją wymowę, jeżeli właśnie o to chodziło autorowi tego żarciku.

- Muszę ze wstydem przyznać, że nie bardzo mnie ten żarcik rozśmieszył... - Parker podszedł do drzwi i wysunął przez nie głowę. W powstałej szparze Joe zauważył sierżanta Jonesa rozmawiającego z wysoką młodą dziewczyną, ubraną w czarną sukienkę, fartuszek i białą, koronkową opaskę na włosach. Najwyraźniej była to pokojówka.

- Jones!

- Tak, szefie?

Pyzaty sierżant wyprostował się.

- Jeżeli nie zajmuję wam zbyt wiele czasu i nie przeszkadzam w miłym spędzeniu poranka... - powiedział zastępca szefa Wydziału Kryminalnego - to bądźcie łaskawi natychmiast odesłać tę gablotę autem do sprawdzenia odcisków palców na jej powierzchni i na tej główce, która- tam jest wbita na szpilkę... Jones spojrzął i gwizdnął cicho.

- Tak jest, szefie!

- Chodźmy... - Parker ujął Alexa pod ramię. Wychodząc rzucił jeszcze Jonesowi: - Kiedy przyjdą odciski, wołaj mnie od razu!

- Jasne, szefie!

Zanim weszli do jadalni, Alex raz jeszcze spojrzął na stół w gabinecie, zatrzymał się i wyrecytował powoli:

- Mikroskop... czyste szkiełko w pudełeczku... szpilki w blaszanym, otwartym pudełku... szklane naczynie z watą, nakryte przezroczystą pokrywą... szczypce różnych kalibrów, osadzone w malutkim stojaczkach... ta torba... w jednej szufladzie te pudełeczka, w drugiej gumowe rękawiczki, zapewne potrzebne bardzo jako środek ostrożności przy zatruciu cyjankiem na wacie tych nieszczęsnych ciem...

Jones znowu wetknął głowę w szparę drzwi.

- Czy możemy jego też już zabrać, szefie? - wskazał oczyma nieruchomą postać za biurkiem.

- Tak. - Parker skinął głową i wszedł za Alexem do jadalni.

- I co myślisz o tym wszystkim? - zapytał. Widać było, że czuje się zupełnie zagubiony.

- Myślę... - Joe wzruszył ramionami. - Myślę, że... Nie wiem... Nie ma powodu, żeby za wiele myśleć już w tej chwili. Zaczekajmy...

- Ba... - Parker uśmiechnął się ponuro i usiadł przysuwając sobie nogą krzesło. - Myślenie w czasie śledztwa należy do moich zawodowych obowiązków.

- Morderca ma też coś w rodzaju swoich zawodowych obowiązków. Przede wszystkim to, żeby nie dać się złapać. Jeżeli chodzi o to, co wiemy, to wiemy na razie jedno, o ile oczywiście twoja kontrola krat i drzwi była dokładna: wiemy, że sir Gordon Bedford, według wszelkiego prawdopodobieństwa, został zamordowany przez jedną

z pięciu osób znajdujących się w tej chwili tutaj pod strażą twoich wspaniałych siepaczy. Fakt, że nie widziałem jeszcze żadnej z tych osób, nie zmienia niczego.

- Ja też tak myślę, chociaż mam o wiele mniej pewności niż ty. Ale pięć osób to nie jedna i żeby je wyizolować...

Umilkli. Z gabinetu doszedł odgłos ciężkich kroków wolno przesuujących się ludzi i głos sierżanta Jonesa:

- Tędy, chłopcy...

Alex wstał i podszedł do drzwi prowadzących do hallu. Uchylił je lekko. Wejście do domu było szeroko otwarte. Czterech ludzi, uginając się pod ciężarem wielkiego kosza zaopatrzonego na rogach w uchwyty, szło postępując w kierunku wyjścia.

- O mój słodki Jezu - powiedział jeden z niosących - ależ ten był ciężki!

Pożegnany tymi słowami sir Gordon Bedford po raz ostatni minął próg domu, w którym przyszedł na świat.

Równocześnie usłyszeli wycie syreny policyjnej, najpierw słabe, potem rosnące. Kiedy głos jej doszedł do najwyższego tonu, umilkła przed bramą domu.

Joe zawrócił.

- Zdaje się, że ktoś do ciebie... - powiedział do Parkera, który szedł już zresztą w kierunku drzwi.

Alex usiadł za stołem, przyklnął oczy i po omacku sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął pudełko Gold Flake'ów. Nie unosząc powiek włożył sobie papierosa do ust i zapalił zapałkę. Przez chwilę nie myślał o śmierci Bedforda, starając się trafić zapałką do czubka papierosa.

Drzwi skrzypnęły. Joe szybko otworzył oczy, przytknął płomyk do papierosa i równocześnie dostrzegł Parkera, trzymającego w ręku dużą kopertę.

- Mam już raporty daktyloskopa... - Parker usiadł stołem i pospiesznie rozdarł kopertę. Była w niej tylko jedna kartka.

- Posłuchaj:

Opis śladów znalezionych na przedmiotach i meblach w pokoju zmarłego sir Gordona Bedforda:

1 Na wewnętrznej i zewnętrznej klamce drzwi prowadzących do hallu: odciski palców zidentyfikowane jako odciski pani Judyty Bedford i pana Roberta Reutta, od których pobrano próby daktyloskopijne. Odcisk kciuka pana Reutta przykrywa w pewnym miejscu odcisk wskazującego palca lewej dłoni pani Judyty Bedford, co wskazywałoby na to, że pan Reutt dotykał drzwi później. Poza tym na drzwiach nie ma żadnych innych odcisków, musiały być one przedtem dokładnie wytarte.

2 Klamka zamykająca okno pokoju nie zawiera żadnych śladów i musiała także zostać dokładnie wytarta.

3 Klamka drzwi prowadzących do jadalni: liczne pomieszane znaki, pozostawione najprawdopodobniej kilka lub kilkanaście godzin wcześniej niż znaki na drzwiach do hallu, gdyż jest na nich wyraźna warstewka pyłu, który nie osiadłby wcześniej (jak wynika z przeprowadzonych uprzednio oględzin pokoju).

4 Express do kawy - żadnych śladów, został on również dokładnie wytarty.

5 Filiżanki i spodeczki stojące obok expressu - odciski palców panny Agnes White, pokojówki.

6 Łyżeczki - te same odciski panny A. W.

7 Drzwiczki szafki zawierającej truciznę i stoik zawierający truciznę - żadnych odcisków, dokładnie wytarte.

8 Cukierniczka stojąca na półce wraz z expressem - odciski palców sir Gordona Bedforda i wcześniejsze odciski panny Agnes White, pokojówki.

9 Maszyna do pisania - sir Gordon Bedford, wyraźne odciski na wielu klawiszach, pozostawione niedawno.

10 Filiżanka rozbita u stóp zmarłego: odciski palców pokojówki Agnes White i późniejsze - sir Gordona Bedfordu.

11 Rozbity spodeczek - to samo. Odciski Agnes White i później sir Gordona Bedforda.

12 Ramka fotografii stojącej na biurku: wyraźne odciski palców zmarłego sir Gordona Bedforda, pani Judyty Bedford i panny Agnes White.

13 Pióro wieczne, powierzchnia biurka, otwarty maszynopis, lampa na biurku - posiadają wyłącznie odciski zabitego sir Gordona Bedforda.

14 LISTY:

a) list numer 1, mówiący o oszustwach finansowych, posiada ślady palców sir Gordona Bedforda. UWAGA: są to jak gdyby odcisnięte ślady bezwładnej ręki. Zbyt mocne w niektórych partiach, w innych zbyt słabe (być może, dokonane po śmierci G. Bedforda);

b) list numer 2 znaleziony pod maszynopisem, nie posiada żadnych odcisków palców. UWAGA: na czcionkach widać, że przejechano po nich szmatką, to znaczy, że list został wytarty dokładnie. Wydaje się, że uwaga ta może dotyczyć listu pierwszego także, ale został on napisany na bardzo już starzej taśmie maszynowej i stąd minimalna ilość farby, co nie pozwala dokładnie stwierdzić, czy tak było.

UWAGA OGÓLNA: Wydaje się, że chociaż oba listy napisano na jednej i tej samej maszynie do pisania, ale dokonano tego za pomocą dwu różnych taśm maszynowych. List numer 2 napisano na nowej taśmie, a list numer 1 - na starej i wytartej. Oczywiście może to być ta sama taśma, inaczej zużyta w dwu miejscach, chociaż nie wydaje się to prawdopodobne, bo stopień zużycia jest bardzo różny, a maszyna „Underwood” automatycznie zmienia bieg taśmy, tak że raz pisze ona do końca w lewo, a potem do końca w prawo. Uwagę tę dodajemy na wypadek, gdyby mogła ona być przydatna w śledztwie, chociaż nic należy to oczywiście do działu badań daktyloskopijnych...

Pozdrowienia. Trzymaj się, Ben...

(podpis)

Parker uniósł głowę.

- To wszystko... - wyjął z kieszeni kopertę, a z niej oba listy. Położył je przed sobą na stole. - Tak, on ma rację. Jeden list napisany jest na bladej, słabo już odbijającej taśmie, a drugi na zupełnie nowej...

- Trzeba to sprawdzić... - Alex wstał. - Doskonale pracuje wasze laboratorium... Ale jak ja tego mogłem nie zauważyć?... - Ruszył ku drzwiom. - Najwyraźniej nie obudziłem się jeszcze. - Zatrzymał się i powiedział do idącego za nim przyjaciela: - Słuchaj, czy można będzie dostać w tym domu filiżankę mocnej kawy?

- Kawy? Chyba tak... Co prawda w przepisach służbowych nie ma nic na temat pojenia i karmienia urzędników policyjnych w domach, gdzie popełniono zbrodnię, ale...



- Ale bądź co bądź działamy tu w interesie gospodarza, a właściwie w interesie jego pamięci... - potarł dłonią czoło. - Zaczynam bełkotać, jak widzisz. Poproś o kawę, a nade wszystko o to, żeby przyniosła nam ją ta przystojna panienka, z którą przed chwilą rozmawiał w hallu twój nieoceniony sierżant Jones. Jest to zapewne panna Agnes White, której odciski palców odkrył nasz daktyloskop na sprzętach domowego użytku.

- Tak, to ona... - Parker skinął głową. Podeszedł do drzwi prowadzących z jadalni do hallu i otworzywszy je, powiedział:

- Ach, dobrze, że panienka tu jest... Mam nadzieję, że w tym domu można będzie dostać dwie filiżanki mocnej kawy, prawda?

Joe uśmiechnął się, słysząc spłoszone:

- Tak jest, proszę pana! - Nastąpiły szybkie kroki, coś białego mignęło w szparze drzwi i zniknęło. Parker, z ręką na klamce, powiedział do drugiej, niewidzialnej postaci w hallu:

- Kiedy kazałem wam pilnować wejścia do domu, Jones, nie miałem na myśli tak ścisłego przestrzegania rozkazów. Nie musicie trzymać za rękę nikogo z domowników, nawet jeżeli jest to przystojna, miła panienka w białym czepeczku... Istnieją inne sposoby powstrzymywania ludzi od ucieczki...

- Tak jest, szefie... - W głosie Jonesa najwyraźniej zabrakło zażenowania. - Ale, z drugiej strony, szefie, Agnes opowiedziała mi masę o tych... - zniżył głos i Joe zauważył go w drzwiach, gdyż sierżant pochylił się kończąc półgłosem: - o tych Bedfordach. Niejedno się tu działo ostatnio, szefie, przed naszym przybyciem...

- Hm... - Parker chrząknął. - W takim razie trzymajcie ją w dalszym ciągu za rękę, a później pogadamy. Przypilnujcie tylko, jak przyrządzi nam dzisiaj kawę. Ostatnio jeden z domowników wypił filiżaneczką, w której było trochę za wiele cyjanku potasu...

- Och, nie ma obawy, szefie... - Sierżant Jones skromnie spuścił oczy. - Agnes nie zrobi nam tego. Jesteśmy, jeżeli wolno użyć takiego zwrotu, w przyjaźni... I nawet postanowiliśmy razem pójść do kina w chwili, kiedy i ona, i ja będziemy wolni od pracy.

- Życzę powodzenia... - powiedział Parker sucho. - A także tego, żeby wpuszczono was, sierżancie, na film nie dozwolony dla młodzieży... - Mrugnął porozumiewawczo. - Co mówi ta mała?

- Że sir Gordona Bedforda na pewno zamordowali. Ona twierdzi, że to nie był człowiek, który by popełnił samobójstwo... Mówi, że oni wszyscy tu ugotowaliby go w tyżce wody, gdyby się nie bali. I mówi, że widocznie któreś z nich w końcu nie wytrzymało...

- Hm... - Parker skinął głową. - Porozmawiamy jeszcze o tym. Na razie uważajcie na tych tam... - Wskazał palcem sufit. - Nikt nie ma prawa wyjść z tego domu bez mojego osobistego zezwolenia, rozumiecie?

- Oczywiście, szefie...

Jones błysnął raz jeszcze zębami i zniknął, zamykając cicho za sobą drzwi.

Alex otworzył drzwi do gabinetu i zbliżył się do maszyny do pisania. Szybko przesunął palcem taśmę, a potem przewinął ją na powrót.

- Twoje laboratorium ma absolutną słuszność... - Wkręcił papier i napisał:

*TO JEST ZUPEŁNIE NOWA TAŚMA, NA KTÓREJ. NAPISANO DOPIERO KILKADZIESIĘT SŁÓW...*

Wstał. Potem cofnął taśmę. Na gładkiej, ciemnej powierzchni wstążki biegły litery:

*...Nie mogą już dłużej. Stanąłem na drodze miłości dwojga ludzi...*

Alex przesunął taśmę do końca listu. Tuż za nim rozpoczynał się tekst napisany przez niego samego przed chwilą.

- Ponieważ oba listy napisano na tej maszynie, a na tej taśmie tylko ten jeden, więc musimy dojść do jakże prostego wniosku, że tamten list został napisany wcześniej. Ponieważ na maszynie jest masa odcisków palców sir Gordona, i to zrobionych niedawno, należy przyjąć, że to on napisał ten list samobójczy... to znaczy, krótko mówiąc, że usunął się z drogi swojej żony i jakiegoś innego człowieka, którego szanował...

- Tak... - Parker skinął głową. - Na filiżance, którą trzymał w ręce, i na rozbitym spodeczku też są tylko jego ślady, jeżeli nie liczyć wcześniejszych śladów pokojówki, która najprawdopodobniej zmywa naczynia i ustawia przy expresse... To samo z piórem, maszynopisem i tak dalej. Szkoda tylko, że nie ma jego odcisków na klamce od drzwi do hallu, chociaż wszedł przecież nimi... A najgorsze jest to, że nie ma jego odcisków na expresse, chociaż musiał sobie przecież sam przyrządzić kawę, jeżeli się nią otruł. No i ten drugi list...

- I fakt, że na tej ramce... - mruknął Alex - jest także odcisk palca pani Judyty Bedford... Myślę, że chyba najwyższy czas wypić kawę i porozmawiać z tymi ludźmi. Przyszło mi do głowy... - urwał.

- Co? - zapytał Parker.

Ale Joe potrząsnął tylko swoją jasną, krótką czupryną.

- Nie bawmy się w proroków - powiedział cicho. - W każdym razie wydaje mi się, że trochę tu jest rzeczy, z którymi będziemy mieli nieco zmartwień... Ale może ktoś sam przyzna się do winy? - Uśmiechnął się. - Miejmy nadzieję, że tak - spojrzał na zegarek. - Jestem tu już od pół godziny i nie robię nic innego, tylko odnajduję ciągle wraz z tobą nowe, nie powiązane zupełnie fragmenty. Na razie to wszystko jest tak chaotyczne, że trudno nawet zapamiętać, co do czego należy... Pół godziny, mój Boże... Zaraz zapewne zadzwoni któryś z twoich zwierzchników. Prawdopodobnie wydaje im się, że pół godziny to cała masa zbytecznego czasu, który zmarnowałaś, zamiast schwytać przestępcę. Urwał, bo rozległo się pukanie do drzwi.

- Kawa już jest, szefie... - powiedział sierżant Jones, wskazując palcem za siebie. - Gdzie ją podać?

- Do jadalni. - Parker szybko podszedł do drzwi łączących jadalnię z gabinetem, lecz Alex wyminął go i wszedł pierwszy.

- Dzień dobry... - odpowiedział na zręczne dygnięcie, którym stojąca w drzwiach hallu pokojówka przywitała jego pojawienie się. - Może panienka łaskawie postawi to wszystko o tam, na stole... - wskazał tacę, którą trzymała w rękach. - O, i kanapki są! Zupełnie zapomniałem o jedzeniu, a przecież nie jadłem jeszcze dzisiaj śniadania...

Parker wsunął się za nim i uważnie śledził ruchy pokojówki, która postawiła tacę na stole, zdjęła z niej przygotowany już talerz z kanapkami, dwie filiżanki i dzbanek, który dymił rozsiewając ostry, miły zapach.

Wzięła tacę, dygnęła znowu bez słowa i lekko zarumieniona ruszyła ku drzwiom.

- Chwileczkę... - Joe podszedł do stołu i uniósł pokrywę, którą nakryte były kanapki. - A cóż to za wspaniałości...

- Czy mam jeszcze coś podać, proszę pana? - szepnęła rumieniąc się jeszcze bardziej.

- Och, nie. To nam najzupełniej wystarczy... Ale może panienka zostanie tu na chwilę, dobrze? Chcielibyśmy ustalić z panienką parę drobiazgów...

- Tak jest, proszę pana... Joe usiadł i nalał sobie kawy.

- Bierz, na miłość boską! - powiedział do Parkera, który powoli podszedł do stołu. - A panienka dlaczego nie siada? Nie jesteśmy tu przecież gośćmi państwa Bedford, prawda?... Proszę bardzo... - Wstał i odsunął dla niej krzesło. Po lekkim wahaniu podeszła i usiadła na brzeжку krzesła, spuszczając nadal oczy i ściskając uchwyty tacy, którą ostrożnie położyła przed sobą na stole.

- Panna Agnes White, prawda? - zapytał Joe biorąc kanapkę.

- Tak, proszę pana...

- Otóż, panno White, jak pani doskonale wie, wydarzył się tu tej nocy tragiczny wypadek i chcielibyśmy usłyszeć od panienki odpowiedź na parę pytań. Czy panienka dobrze pamięta, co robiła wczoraj w ciągu całego dnia?

- Chyba tak, proszę pana... - powiedziała Agnes White i Joe, który unosząc do ust kanapkę przyglądał się jej uważnie, zauważył, że rumieniec powoli schodzi z jej twarzy. Dziewczyna zbladła. - Słucham pana...

## **Rozdział szósty**

### **Spostrzeżenia panny Agnes White**

Joe pociągnął jeszcze łyk kawy.

- Znakomita... - powiedział z uznaniem. - Czy panienka sama ją parzyła?  
- Tak, proszę pana... Oczywiście, proszę pana... - Uniosta po raz pierwszy oczy. Było w nich lekkie zdziwienie, połączone z ciekawością. Ale było w nich poza tym coś jeszcze, może lek, a może jakieś inne uczucie, którego Alex na razie nie umiał określić.

- Pytam tylko dlatego, że nie mogę zrozumieć, dlaczego sir Gordon Bedford, posiadając w domu osobą, która tak znakomicie umie zaparzyć kawę, przyrządzał ją sobie sam na expressie.

- O, to wcale nie takie trudne do zrozumienia, proszę pana. Sir Gordon zawsze pracował w nocy i zwykle wtedy bywał sam. Trudno mu było budzić po północy mnie albo kucharkę, bo przecież pracujemy obie od świtu, więc zainstalował sobie express w gabinecie. On pijał bardzo wiele kawy, proszę pana. Miał niskie ciśnienie i lekarze mu nawet zalecali, żeby to robił. Tak powiedział kiedyś, proszę pana, kiedy pani Judyta zapytała go przy obiedzie, jak potrafi pić tyle kawy codziennie. Słyszałam, bo akurat podawałam...

Potrząsnęła z przekonaniem główką. Widać było, że przypomina to sobie wszystko dokładnie. Miała naprawdę piękne, zupełnie złote włosy, zwinięte z tyłu głowy w wałek. Dawały one lśniąca, gładką oprawę ślicznej twarzyczce o dużych, spokojnych, niebieskich oczach,

Właśnie - pomyślał Alex. - Ale czy naprawdę spokojnych?

- Więc sir Gordon Bedford był, jak to się mówi, człowiekiem mocnych nałogów, prawda?

- Och nie, proszę pana! - Potrząsnęła energicznie główką. Ruch ten był bardzo wdzięczny. Joe spojrzał na nią z sympatią. Była na swój sposób urocza. Wysoka, silna, ładna i tak absolutnie zdrowa psychicznie, jak tylko zdrowe potrafią być dziewczęta wychowane w górskich wioskach.

- Panienka pochodzi ze Szkocji, prawda? Gdzieś z okolic Loch Shaerne?

Uśmiechnął się widząc jej zdumienie.

- Tak, proszę pana. A skąd pan wiedział?

- Akcent... - szepnął Joe i uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała lekkim uśmiechem i zarumieniła się. Potem jak gdyby cień przemknął po jej twarzy i spoważniała. Spostrzegłszy nieco zgorzzone spojrzenie

Parkera powiedział szybko: - Ale mówiliśmy o sir Gordonie Bedfordzie. Więc panienka twierdzi, że nie miał specjalnych nałogów, tak?

- Poza kawą to chyba nie, proszę pana. Nie pił, nie palił, nawet bardzo nie lubił, kiedy ktoś pił albo palił w jego obecności. Pan Cyril musiał zawsze wychodzić z fajką do ogrodu, kiedy sir Bedford był tutaj, albo też odchodził do swojej sypialni, żeby mu dym nie przeszkadzał. Sir Gordon nie znosił nawet piwa w domu... Mówił, że alkohol to największa klęska ludzkości, tak samo jak tytoń, proszę pana..

Joe mimo woli powstrzymał dłoń, którą sięgał do kieszeni po swoje nieodłączne pudełko Gold Flake'ów.

- A jak panienka myśli? Czy miał słuszną?

- Chyba tak, proszę pana. Chociaż ja nawet lubię, jak mężczyzna czasem coś wypije i zapali fajkę. Mój tatuś to fajki z ust nie wyjmował, a kiedy umarł, to mu ją mama po kryjomu do trumny włożyła, bo powiedziała, że nie wyobraża sobie, jak się bez niej na tamym świecie obejdzie... A wypić też lubił.. I był przecież bardzo porządnym człowiekiem. Nigdy nikt do niego nic nie miał ani on do nikogo... - Urwała. - Ale sir Gordon myślał inaczej... Nie żyje już, biedaczek, więc niech mu tam będzie... - Przeżegnała się mimo woli.

- Panienka jest katoliczką, tak?

- Tak, proszę pana, jak wszyscy w naszych stronach.

- Kucharki nie ma w domu, prawda? - zapytał Joe niespodziewanie.

- Nie, proszę pana. Jej syn jest w wojsku i zachorował. Jest w lotnictwie i zatrut się czymś, jakimiś oparami benzyny, zdaje się... Pojechała do niego przedwczoraj, ale wczoraj dzwoniła, że już mu jest lepiej, i jutro ma wrócić...

- Więc w ciągu tych dwu dni panienka sama zajmowała się gotowaniem i gospodarstwem, tak?

- Niby tak... - Dziewczyna zastanowiła się. - Miałam wolne całe popołudnie sobotnie, tylko po kolacji musiałam pozmywać, przygotować sypialnie do snu i sprzątnąć trochę. Wczoraj to już cały dzień pracowałam, ale też nie sama.

- A kto zajmował się przyrządzeniem i podaniem sobotniej kolacji, jeżeli kucharka wyjechała, a panienka miała wolne?

- Bo, widzi pan, proszę pana, sir Gordon Bedford to w ogóle był trochę staroświecki... to znaczy, przepraszam bardzo...

- Nic nie szkodzi... - Alex zachęcająco kiwnął głową. - Niech panienka mówi tak, jak się panience wydaje najdokładniej, a nie najuprzejmiej dla chlebobawców.

Tym razem dziewczyna uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie, jak gdyby z wdzięcznością, i pochyliła lekko głowę.

- To znaczy, proszę pana, chciałam powiedzieć, że sir Gordon uważał, że kobiety, które nie umieją dobrze gotować i same nie potrafią obsługiwać mężczyzn, nie są w pełni kobietami. Lubił, kiedy pani Sylvia schodziła do nas, do kuchni, i przygotowywała obiad z kucharką. A kiedy miałyśmy czasem obie wychodne, wtedy pani Sylvia i pani Judyta same gotowały i podawały do stołu. I to się sir Gordonowi najlepiej podobało, bo mówił, że nic mu tak nie smakuje, jak to, co mu przyrządza własna żona... - Urwała, potem dodała z namysłem: - I ja myślę, proszę pana, że on miał trochę racji, bo kobieta, nawet jak ma bardzo bogatego męża, takiego jak sir Gordon, to też powinna sama dbać o niego.

- A pani Sylvia lubiła to?

- Nie wiem, proszę pana. Jestem tylko pokojówką i pani Bedford nie zwierzała mi się przecież z takich rzeczy... Ale nie mogę powiedzieć, żeby to najbardziej lubiła. W ogóle nie lubiła gotowania, chociaż zupełnie nieźle umie gotować... To tylko pani Judyta mówi, że pani Sylvia nawet kawałka chleba nie potrafi posmarować...

- Więc lubili spędzać weekendy w rodzinnym gronie i spędzali czas jak doskonała, kochająca się rodzina?

- Nie wiem, czy lubili, proszę pana. W każdym razie sir Gordon lubił takie spędzanie czasu na pewno, a nikt mu się przecież nie mógł sprzeciwić. Więc w końcu może to na jedno wychodzi: lubili czy nie lubili, robili tak, jak sobie sir Gordon życzył. I nie można się dziwić, bo on przecież był tu gospodarzem, a wszyscy inni byli od niego zależni.

- Tak... - Joe kiwnął głową ze zrozumieniem, jak gdyby sam nic innego w życiu nie robił, tylko spędzał wszystkie weekendy z rodziną Bedfordów. - A obie panie nie lubiły się, co? Jak panienka myśli?

Pokojówka otworzyła szybko usta, ale potem zreflektowała się jeszcze szybciej i zamknęła je. Spojrzała na obu siedzących naprzeciw niej mężczyzn z lekkim wyrzutem. Potrząsnęła niepewnie głową.

- Bardzo panów przepraszam, proszę panów, ale ja przecież tutaj pracuję i jeżeli wolno mi zauważyć, to mnie nie wypada mówić o tych ludziach ani o tym, co się dzieje w domu i co kto myśli tutaj albo mówi o innych...

- Bardzo słusznie - przytaknął Joe z powagą. - Uważam, że ma panienka absolutną rację. Nie należy wносить brudów z domu, w którym się pracuje. Ale musimy wszyscy pamiętać, że człowiek, który był pracodawcą panienki, został najprawdopodobniej zamordowany kilka godzin temu. I to jedynie ma w tej chwili znaczenie. Nie jesteśmy przekupkami, które przyszły, żeby zbierać plotki, ale znajdujemy się tu po to, żeby odnaleźć mordercę i oddać go w ręce sprawiedliwości. I tylko dlatego żądamy wszystkich informacji, jakie możemy otrzymać. Na pewno panienka sama to dobrze rozumie, prawda?

Ale Agnes Wbite zdawała się nie słyszeć jego ostatnich słów.

- Zamordowany... - szepnęła. Zerknęła na drzwi gabinetu i w oczach jej pojawił się nagły łęk. - Ja tak sobie od razu pomyślałam, ale potem, kiedy ci mundurowi policjanci, którzy przyjechali najpierw, powiedzieli, że znaleźli list samobójczy, to pomyślałam, że jednak... A teraz pan znowu mówi to, co ja myślałam najpierw...

- Ale dlaczego panienka pomyślała od razu, że sir Gordon został zamordowany?

Po tym pytaniu nastąpiła absolutna cisza, którą przerwał Parker, pocierając zapałkę o pudełko. Dziewczyna nie poruszyła się. Zdawała się zbierać myśli.

- Nie wiem... - powiedziała wreszcie bezradnie. - Kiedy pan tak zapytał, to muszą powiedzieć, że naprawdę nie wiem. On... on chyba był z tych, o których wiadomo, że sobie nie odbiorą życia... A oni go chyba wszyscy nienawidzili, więc to mi się tak skojarzyło... - Urwała i zatkała sobie dłonią usta. - Co ja mówię, głupia? - Spojrzała na Alexa z lękiem, ale Joe, jak gdyby nie dostawszy jej ostatnich słów, zmienił nagle temat.

- Pytałem panienkę o to, kto przyrządzał w sobotę kolację, a chciałbym jeszcze zapytać, kto sprzątał w niedzielę po południu?

- Ja, proszę pana...

- Czy panienka była w gabinecie sir Gordona.

- Tak, proszę pana.

- I co panienka tam robiła?

- Odniosłam zmyte filiżanki i spodki, proszę pana, i włożyłam je do tej skrytki, gdzie stoi express.

- Która to mogła być godzina?

- Może piąta, a może pół do szóstej po południu, proszę pana.

- A później już panienka tam nie wchodziła? Skinęła potakująco głową.

- Weszłam jeszcze po kolacji, proszę pana...

- Tak? O której?

- Pewnie była już jedenasta albo może nawet trochę później...

- A co panienka robiła tam o tak późnej porze?

- Weszłam, bo po kolacji sir Gordon z panem Cyrilem, to znaczy ze swoim bratem, poszli łowić ćmy do ogrodu. A ja skończyłam zmywanie i chciałam się już położyć. Miałam jeszcze dwie filiżanki do odniesienia i chciałam zobaczyć, czy jest dosyć cukru w cukiernicze, bo wiedziałam, że sir Gordon będzie pracował przez całą noc...

- Skąd panienka o tym wiedziała? Czy sir Gordon, powiedział o tym panience?

- Tak... to znaczy, nie... Przy kolacji, kiedy byłam w jadalni, powiedział do pana Roberta, to znaczy do pana Reutta, swojego sekretarza, że prosi go na siódmą rano do siebie, a pana Cyrila też ze zdjęciami... I że teraz pójdzie łapać ćmy, a potem popracuje trochę...

- Chwileczkę... - Alex uniósł rękę, żeby powstrzymać jej słowa i nie zgubić tego, o co chciał zapytać. - O jakie zdjęcia chodziło?

- Nie wiem dobrze, proszę pana... Ale pan Cyrii ma tam na górze obok swojej sypialni ciemnię fotograficzną i zawsze robi zdjęcia dla sir Gordona..., Same ćmy... Okropne, proszę pana, bo robione z bliska i mają takie łby jak konie, tylko okropne... Aż się boją na to patrzeć... A na pewno pan Cyril i pan Robert mieli przygotować wszystko dla sir Gordona, bo przecież sir Gordon razem z panią Sylwią miał dzisiaj wieczór odlecieć do Ameryki, żeby wygłosić odczyt...

- Rozumiem... Ale wróćmy jeszcze do wczorajszego wieczora. Więc panienka zrozumiała, że sir Gordon będzie pracował w nocy, i odniosła panienka filiżanki do barku obok expressu, a także zajrzała panienka, czy jest dosyć cukru. I co? Było dosyć cukru?

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. Najwyraźniej rozbawił ją fakt, że policja chce się dowiedzieć, czy było dosyć cukru. Wszystko to Joe z łatwością wyczytał z jej twarzy, zanim podjęła temat. Ale to, co powiedziała, było dla niego zaskoczeniem.

- Tak, cukru było dosyć, więc rozejrzałam się, czy czego nie trzeba. Z mojego okna w suterenie widać dobrze to miejsce, gdzie panowie łowili ćmy na ten ekranik wczoraj, wiać wiedziałam, że sir Gordon zaraz nie wróci. A on, proszę panów, tak jak lubił bardzo czyste i świeże powietrze w pokoju, tak samo nie znosił, kiedy się przy nim otwierało okna... Miał okropny ischias... i raz widziałam go, kiedy go zawiąło... Wtedy chodził o kulach... Nie mógł uleżeć w łóżku, a każdy ruch sprawiał mu ból... Mówił, że najmniejszy przeciąg może go położyć od razu... Dlatego kazał zawsze, żeby wietrzyć tylko wtedy, kiedy go nie ma w pokoju.

Alex zmarszczył brwi.

- Chwileczkę... - powiedział szybko, rzucając Parkerowi krótkie spojrzenie, którego Agnes White zapewne nie spostrzegła. - Więc panienka weszła do gabinetu, wstawiła filiżanki do barku obok expressu, a potem co panienka zrobiła?

- Podeszłam do okna, odsunęłam storą i otworzyłam okno na całą szerokość. Wietrzyłam tak może z pięć minut, a potem zamknęłam je i wyszłam chyba... Tak, potem to już wyszłam...

- A czy panienka zawsze nosi przy sobie ściereczkę do kurzu?

- Tak czasem, proszę pana. Zależy, co robią i o której to jest godzina.

- A wtedy w gabinecie miała pani ze sobą ściereczkę?

- Nie, proszę pana. Byłam tylko w sukience i bez fartuszka. Wiedziałam, że nikogo już nie spotkam, bo obie panie i pan Reutt poszli na górę, a sir Gordon i pan Cyril byli w ogrodzie. Stąd wiem, że nie miałam ściereczki, bo niosłam przecież filiżanki. Zresztą nie miałam po co jej brać z sobą.

- Rozumiem... A czym w takim razie wytarła panienka kłamkę okna po wywietrzeniu? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem, proszę pana.

- Pytam... - powiedział Alex powoli, nie spuszczać z niej oczu - czym panienka wytarła kłamkę, którą zamyka się okno w gabinecie sir Gordona? Bo przecież wytarła ją panienka, prawda?

Agnes White spojrzała na niego z niedowierzaniem i potrząsnęła głową.

- Nie, proszę pana. Na pewno nie wycierałam... Dlaczego miałabym wycierać? Przecież nie była brudna. Poza tym u nas się klamek nie wyciera, tylko czyści proszkiem.

- No, ale mogła to panienka zrobić odruchowo...

- Ale przecież nie miałam ze sobą niczego, czym bym wytarła... Na pewno, proszę pana, nie wycierałam...

- A może... - zapytał Joe szybko - panienka pracuje w gumowych rękawiczkach, żeby nie niszczyć rąk?

- Tylko przy sodzie i przy kwasach, proszę pana... Są takie specjalne roboty kuchenne, do których się je wkłada. Ale nie miałam ich na rękach chyba ze dwa tygodnie... Może one i są praktyczne, ale kiedy się je nosi, traci się czucie w palcach i gorzej się pracuje...

- Więc panienka mogłaby zeznać pod przysięgą, że panienka po zamknięciu okna wczoraj wieczór nie wytarła go? - W głosie jego było takie napięcie, że Agnes White spojrzała na niego z przestrachem. Ale po chwili wyprostowała się na krześle.

- Tak, proszę pana. Mogłabym to chyba zeznać pod przysięgą. Nawet na pewno bym mogła.

Joe wstał, podszedł do okna, zawrócił, a potem Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Czy sir Gordon wspominał kiedykolwiek przy paniencie, że przechowuje w szafce na stole cyjanek potasu?

- O tak, proszę pana. Wszyscy byliśmy uprzedzeni, a przede wszystkim kucharka i ja. Specjalnie zeszedł do nas jeszcze dwa lata temu, kiedy przywiózł ten cyjanek, i powiedział, że chociaż słoik jest zamknięty w szafce na klucz, to jednak zawsze może być tak, że któraś z nas mogłaby się z nim zetknąć. Powiedział, że nawet najlżejsze dotknięcie słoika może zostawić na palcach osad, który spowoduje śmierć, jeżeli się człowiek dotknie potem jedzenia albo przytknie palce do ust. Kiedy wyjeżdżał, zawsze zamykał gabinet na klucz. A kiedy był tutaj, zawsze trzymał słoik zamknięty na klucz w szafce...

- I nikt inny nie miał klucza ani do gabinetu, ani do szafki?

- Nie. Wszystkie klucze zapasowe są w domu, ale pani Judyta ma je gdzieś schowane.

- Rozumiem. A teraz chciałbym wrócić do tego pytania na temat obu pań. Więc panienka sądzi, że pani Judyta Bedford nie lubi swojej bratowej?

- Tego nie powiedziałam, proszę pana. Ale jeżeli mam być szczerą i powiedzieć panom w zaufaniu, to pani Judyta chyba nikogo nie lubi poza panem Cyrlem. Bo ona jest bardzo nieszczęśliwa, proszę panów. Albo może się jej zdaje, że jest nieszczęśliwa? Bo przecież czego można wymagać więcej od życia, kiedy się jest osobą już niemłodą i nie bardzo ładną, a ma się męża o wiele młodszego i takiego pięknego w dodatku mężczyznę, jak pan Cyril?...

Alex, który słuchając jej, przyglądał się pozornie kredensowi, ale w rzeczywistości obserwował ją bardzo pilnie, dostrzegł, że dziewczyna znowu się zarumieniła. Siedziała teraz zupełnie wyprostowana, a jej złote włosy, prosty nos i wysokie, silnie rozwinięte piersi czyniły ją podobną do posągu młodej bogini z owego najsurowszego, archaicznego okresu sztuk greckiej. Była naprawdę bardzo piękna w tej chwili

- A czy pan Cyril Bedford jest człowiekiem równie zamożnym jak jego brat? - zapytał, żeby coś powiedzieć.

- Chyba nie, proszę pana. Co prawda niby nic o tym nie mogę wiedzieć, ale zawsze coś się przecież wie, kiedy się żyje z ludźmi na takim odludziu. Pan Cyril to panom pewnie sam potrafi dokładnie powiedzieć, ale mnie się zdaje, że on miał tylko tyle, ile mu brat dawał...

- To może pani Judyta nie lubi pani Syhai dlatego, że sama jest żoną biednego brata, a tamta żoną bogatego? Tak też przecież bywa...

- Nie wiem, proszę pana...

- A jak płynęło tu życie pomiędzy pobytami sir Gordona i pani Sylvii?

- Bardzo nudno... - powiedziała Agnes szczerze. - Myślę, że nie tylko dla mnie. Oni oboje, to znaczy pan Cyril i pan Judyta, też prawie nie wychodzą, jeszcze mniej niż ja albo kucharka. Pan Cyril zawsze albo siedział przy tych daliach w ogrodzie, bo on jest zamiłowanym ogrodnikiem i wyhodował tu u nas taką bardzo wczesną odmianę, którą widać, o tam, przez okno... a ja mu trochę w tym pomagałam... - znowu twarz jej okrył lekki rumieniec - bo jestem ze wsi i lubię pracować przy ziemi... Albo pan Cyril siedział w ciemni i wywoływał zdjęcia i powiększał... A pani Judyta zajmowała się domem, gospodarstwem i często chodziła z kucharką po zakupy. Ani razu, jak tu jestem trzy lata, nie wyjechali nawet nigdzie. A pan Cyril to chyba nawet do śródmieścia nigdy nie wyjechał ani nie poszedł. Nawet krawiec tu do niego przychodzi, kiedy jest potrzebny... Czasem tylko pan Cyril wyjdzie do fryzjera i na spacer po okolicy... to wszystko...

- A gości nie przyjmowali żadnych?
- Żadnych, proszę pana...
- Hm... Więc panienka miała przedwczoraj po południu wychodne, tak?
- Tak, proszę pana...
- I gdzie panienka była? W kinie?
- Tak, proszę pana.

Joe szybko uniósł spojrzenie. Zauważył, że Parker' także spojrzął z zainteresowaniem na dziewczynę. Widocznie i jego ucho, posiadające doświadczenie, które płynęło z tysięcy przestucharów, wyłowiło fałszywą nutkę w tonie, którym wypowiedziane zostały te trzy proste słowa.

- Na jakim filmie?
- Na... na... - Agnes White zacięła usta. Najwyraźniej nie umiała dobrze kłamać albo nie spodziewała się tego pytania i zaskoczyło ją. Spuściła głowę.
- Co się panience stało? - zapytał Alex wstając.
- Nic... nic zupełnie...

Podszedł ku niej blisko, ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz ku światłu. Po policzkach dziewczyny spływały łzy.

- Nie była panienka w kinie, prawda? - zapytał łagodnie.
- Nie byłam - szepnęła tak cicho, że raczej zrozumiał ruch jej warg, nie słysząc dźwięku słów.
- A gdzie panienka była?

Potrząsnęła głową w milczeniu i zakryła oczy dłońmi. Zaczęła łkać cicho.

Joe rzucił na Parkera zaintrygowane i nieco bezradne spojrzenie.

- Proszę się uspokoić - powiedział szef policji. - Przecież nie chcemy panience zrobić nic złego. Chcemy tylko dowiedzieć się, co robili domownicy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin. A panienka jest przecież domownikiem...

Agnes White przestała płakać, ale usta jej nadal drżały, kiedy odpowiedziała:

- Kiedy ja... ja nie mogę panom powiedzieć, gdzie byłam...

Umilkli wszyscy troje: dziewczyna o jasnych włosach, ubrana w przepisowy strój pokojówki, załawiona i rozdygotana, i dwaj mężczyźni stojący po obu stronach jej krzesła, nie umiejący przez chwilę dać sobie rady z nieprzewidzianym zupełnie przebiegiem przesłuchania.

Nagle Joe pochylił się ku niej i zapytał półgłosem:

- Niech mi panienka powie szczerze... Czy panienka była u lekarza?

Gdyby powiedział jej, że zmarły sir Gordon Bedford za chwilę wejdzie żywy i zdrow do pokoju, nie wywarłoby to chyba na niej większego wrażenia.

- To... to pan wiedział? Skąd pan mógł wiedzieć? - patrzyła na niego z szeroko otwartymi ustami, nagle przemieniona w małą dziewczynkę wiejską, skonfrontowaną z czymś, czego absolutnie nie jest w stanie zrozumieć.

- Tak sobie pomyślałem... - powiedział Alex i pogłaskał ją zupełnie niespodziewanie dla samego siebie po głowie. - Biedactwo... proszę pomyśleć, że ten tu obecny pan Parker mógłby być przecież ojcem panienki, a ja także byłem już żołnierzem, kiedy panienka nosiła jeszcze koszulę w zębach... Obawiała się pani, że może pani mieć dziecko, czy tak?

Dziewczyna bez słowa skinęła głową.

- I obawy były bezpodstawne?...

Znowu skinienie głową.

- No, to znakomicie... - Joe odetchnął z ulgą. - I co panienka ma zamiar teraz zrobić? Wyjechać stąd?

- Tak! - powiedziała z nagłą energią. - Wrócę do domu...

- Ma panienka tam kogoś?

- Tak... - Znowu łzy zakręciły się w jej oczach. - Narzeczonego... On... on jest monterem samochodowym. Oboje zbieramy na mały warsztat naprawy, on tam, a ja tu. Powiedzieliśmy sobie, że kiedy będziemy mieli dosyć na książeczce, wtedy się pobierzemy... - Spojrzała tępo w okno. - A teraz sama nie wiem, co będzie. Rok go nie widziałam... Miałam właśnie jechać za dwa tygodnie na urlop do domu...

- No to pojedzie panienka wcześniej... - Joe uśmiechnął się do niej. - Jakoś to będzie. Niedobrze jest, kiedy młoda dziewczyna za długo mieszka sama w wielkim mieście...

- O tak, proszę pana, bardzo niedobrze... - powiedziała Agnes White. Na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. - Ale panowie przecież nigdy nikomu nie powiedzą, że ja...

- Jesteśmy związani tajemnicą urzędową - powiedział Parker uroczyście - i mamy obowiązek tak samo pilnie strzec osobistych tajemnic każdego obywatela, jak jego mienia.

- To dobrze. - Dziewczyna odetchnęła głęboko. Otarła łzy i poprawiła czepeczek, potem wstała. Spojrzała wyczekująco na Alexa, który uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie. Chociaż tak wiele wiedział o kobietach, zawsze zdumiewały go. Ta dziewczyna wcale nie była tak zrozpaczona, jak chciała być. Była młoda, zdrowa i samotna. Nie takie rzeczy działy się przecież w zapadłych, górskich wioskach Szkocji. Nie miała prawdziwego powodu do zmartwień. Pojedzie do narzeczonego, wyjdzie za niego za mąż i będą żyli szczęśliwie do końca dni swoich... Tak, o ile Agnes White wie o zabójstwie sir Gordona Bedforda tylko tyle, ile im powiedziała, że wie.

- Jeszcze jedno... - powiedział wciąż uśmiechając się. - Na pewno panienka źle spała ostatnio, co? Czy zeszłej nocy też panienka późno usnęła? Pewnie rozmaite myśli nie dały tak łatwo zmrudzić oczu, co?

- Tak, ciągle chodzę niewyspana, to prawda, proszę pana... A wczoraj to chyba zasnęłam o pół do trzeciej...

- Tak? A czy spała pani, kiedy sir Gordon i jego brat wracali z polowania na ćmy?

- Leżałam już w łóżku i miałam zgaszone światło, ale słyszałam, kiedy zamykali za sobą drzwi wejściowe, a potem półgłosem rozmawiali w hallu. Pan Robert też był z nimi, zdaje się. A później pan Cyril z panem Robertem poszedł na górę, a sir Gordon do swojego gabinetu. Jego gabinet jest akurat nad moim pokojem i słyszałam, jak chodził przez chwilę, a potem usiadł i zaczął pisać na maszynie... A potem chyba zasnęłam...

- Tak... - Alex potarł czoło dłonią. - A potem panienka zasnęła... - Spojrzał na nią. No, to dziękujemy paniencie ślicznie. I jeżeli można, to poprosimy jeszcze o dwie kawy. My też mało spaliśmy tej nocy, a czeka nas cała masa roboty...

- Tak, proszę pana. Zaraz przyniosę, proszę pana. - Agnes dygnęła. Chociaż miała jeszcze lekko zaczerwienione oczy, nikt nie zgadłby, że przed paroma minutami przeżywała tak dramatyczne chwile;

- I proszę pamiętać o jednym... - dodał Parker. - Że my niczego nie pamiętamy z tego, co wiemy o paniencie, a panienka nie powtórzy nikomu z domowników niczego z tego, o czym rozmawialiśmy. Tak?

- Och tak, proszę pana!

- W takim razie... - Alex podszedł ku niej i zniżył głos, ale mówił dobitnie i dziewczyna mimo woli pochyliła głowę potakując po każdym jego słowie - proszę powiedzieć nam, jak się układały stosunki pani chlebobawców. Mamy powody, żeby przypuszczać, że panią Sylvię Bedford mogło łączyć coś z innym mężczyzną, a w każdym razie możemy przypuszczać, że była zainteresowana gorąco kim innym, nie swoim mężem. Czy wie panienka coś o tym?

- Czy... ja... wiem?... - Agnes zawahała się znowu. - To jest tak, proszę pana, żeby być szczerą i kucharka, ja nieraz mówiłyśmy sobie w kuchni, że sir Gordon źle robi trzymając przy takiej młodej żonie takiego młodego i przystojnego sekretarza, tym bardziej że sam przecież nie był już taki młody ani przystojny... Ale chociaż widać było, że pani Sylvia lubi przestawać z panem Robertem, to znowu widać było, że pan Robert jest bardzo oddany sir Gordonowi. Ale kucharka mówi, że żeby jeden mężczyzna nie wiem co drugiemu zawdzięczał, to i tak uwiedzie mu kobietę, jak będzie miał okazję... Ale to nie znaczy, żebyśmy, broń Boże, tak myślały, tylko to się tak po wiejsku mówi, rozumieją panowie przecież, prawda?... A poza tym to nie wiem, kto by się inny mógł koło pani Sylvi kręcić... Sir Gordon był bardzo, ale to bardzo surowy i nie prowadził takiego życia jak inni ludzie z ich środowiska. Nigdzie nie chodzili, ani na żadne dansingi, ani do żadnych miejsc, gdzie ludzie piją lub tańczą. Sir Gordon nie lubił ani pić, ani tańczyć, a pani Sylvia nie mogła przecież go zmusić... Więc jeżeli nie pan Robert, to nie bardzo wiem, kto inny by to mógł być... - Zawahała się znowu na chwilę. - Ale pan Robert to by mógł być... - dodała. - Kiedy tak o tym myślę, to zdaje mi się, że chyba tak. Nie ma się zresztą co dziwić. Kobieta młoda i taka ładna, a mąż mógłby być prawie jej dziadkiem...

I Agnes White uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Jeżeli tak jest - powiedziała - to i lepiej. Prędzej się pocieszy i mniej będzie łez na pogrzebie. U nas we wsi ludzie jakoś prościej na to patrzą niż w mieście... Ale może my tam w górach więcej robimy tego, co chcemy, niż wy tutaj w dole... I chyba lepiej nam z tym... Ale może tyle samo robimy, tylko mniej się kryjemy.

Dygnęła, uśmiechnęła się i znikła za drzwiami. Joe patrzył za nią przez chwilę.



- Być może panna Agnes White jest osobka nieco lekkomyślną i ma naprawdę góralski temperament, ale w każdym razie możemy sobie szczerze powiedzieć, że chociaż w Szkocji niewiele jest naprawdę ładnych dziewcząt, to gdy urodzi się jakaś, ma jeszcze poza urodą tyle uroku co dziesięć Francuzek razem wziętych.

- Tak, tak, oczywiście... - Parker przytaknął ruchem głowy, ale widać było, że nie słyszy prawie tego, co przyjaciel ma mu do powiedzenia na temat góralskiej urody. - Pominąwszy jej osobisty urok... - mruknął - powiedziała nam parę cennych rzeczy...

## **Rozdział siódmy**

### **„Zanim porozmawiamy z tą rodziną...”**

Właśnie - Joe skinął głową. - Myślę, że w ogóle nazbieraliśmy już masę informacji i trzeba je trochę posegregować, zanim porozmawiamy z tą rodziną.

Parker wziął ołówek i wyciągnął notes.

- Spiszmy to sobie - mruknął. - Lubię mieć wszystko na papierze.

- Dobrze. A więc na miejscu zbrodni czy też wypadku - chociaż osobiście wolę słowo „zbrodnia” - znaleźliśmy dla śledztwa następujące punkty zaczepienia.:

1 Dwa listy samobójcze

a) list „a” leżał przed zmarłym na biurku i zawierał coś w rodzaju spowiedzi. Sir Gordon twierdzi w nim, że ginie z własnej ręki, gdyż jako ekspert finansowy sprzeniewierzył się dla zysku swoim obowiązkom... Są na tym liście odciski palców sir Gordona, ale wasz ekspert daktyloskopijny zwraca uwagę, że nie wyglądają one naturalnie. Poza tym stwierdziliśmy, że list ten musiał zostać napisany, zanim założono do stojącej w gabinecie maszyny taśmę, która znajduje się w niej obecnie;

b) list „b” leżał także na biurku, ale ukryty pod oprawnym maszynopisem, w którym sir Gordon właśnie robił poprawki. Nie ma na nim żadnych śladów, a wasz ekspert twierdzi, że zostały one starte. List ten, jak stwierdziliśmy, był jedynym skryptem napisanym na stojącej w gabinecie maszynie od chwili założenia nowej taśmy. Pokojówka Agnes White słyszała, kiedy sir Gordon wrócił, a potem słyszała go piszącego... Więc można by założyć, że to on napisał list „b”...

- Zaczekaj... - Parker potrząsnął głową. - Jeżeli sir Gordon napisał list „b”, w którym żegna się z życiem, bo jego żona kocha innego, a on jej nie chce zamykać życia, to w takim razie musiał przecież popełnić samobójstwo i nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy...

- O nie... - Joe wstał i zbliżył się do niego. - Powiedziałem „można by założyć”... Ale przecież nie wiemy, dlaczego na tym liście właśnie nie ma odcisków sir Gordona, a na drugim liście, napisanym wcześniej, na innej taśmie, są. Poza tym nie wiemy, dlaczego ktoś stał jego odciski palców z expressu, z którego pił on przecież tę nieszczęsną kawę, a także z klamki drzwi, którymi wszedł z hallu do pokoju. Nie, Ben, to musi poczekać. Mało tego, wszystko prawie wskazuje, że sir Gordon nie chciał w danej chwili popełnić samobójstwa. Ale jedźmy dalej. Poza tymi dwoma listami znaleźliśmy w gabinecie:

2 cyjanek potasu w kapsułce umieszczonej w malutkim pudełeczku, które znajdowało się w bocznej kieszeni spodni s/r Gordona;

3 ćmę w koszu na śmieci, a na jej miejscu w gablotce wbity główkę wyciętą z fotografii na biurku. Prócz tego brak nożyczek, którymi dokonano tego dzieła. Odcisków palców także jeszcze nie znamy, ale chyba poznamy je wkrótce, kiedy przyjdzie odpowiedź z waszego laboratorium. Tylko że...

- Co? - Parker uniósł głowę znad notatnika. Jego raka, przesuając się szybko wraz z ołówkiem, zatrzymała się.

- Myślę o tym, że zbyt wiele odcisków palców tu pościerano, żeby mogły one mieć wielką wartość... - mruknął Joe. - Zdaje się, że nie tędy prowadzi droga.

- W każdym razie będę zadowolony wiedząc, do kogo one należą - mruknął zastępca szefa Wydziału Kryminalnego. - Człowiek, który pozostawia odciski palców, musi jednak wyjaśnić nam, skąd się one wzięły. Zresztą sam mówiłeś, że tym razem bardzo ci zależy na odciskach daktyloskopijnych...

- Tak... - Joe kiwnął głową - bardzo. Ale w trochę inny sposób. Na razie interesują mnie najbardziej te, które pościerano...

- Jedźmy dalej... - Parker opuścił ołówek na kartkę.

- Na czym to skończyliśmy? Na ćmie w koszu i tej fotografii. Dalej idzie:

4 filiżanka z cyjankiem potasu, z której sir Gordon wypił kawę. Nosi ona odciski należące tylko do niego i pokojówki i wskazuje na to, że albo otruła go pokojówka, albo zrobił to on sam... Albo...

- Albo?

- Och, nic... Jedźmy dalej.

5 Na biurku oprawny maszynopis ze świeżymi notatkami. Wieczne pióro, którym nie wiadomo dlaczego nie złożył podpisu pod ani jednym z samobójczych listów, i notes IN MEMORIAM, w którym

zanotował kilka ciekawych Zdań: 19 VI (to znaczy - przedwczoraj). sprawdzić zamówienie lotnicze (najprawdopodobniej do Ameryki)... R. niech dzwoni do C., że przyjeżdżamy na weekend. (To też nietrudne: sekretarz osobisty nazywa się Robert Reutt, więc oba R pasują, a brat ma na imię Cyril i mieszka tutaj).

20 VI (to znaczy wczoraj) Oczywiście słoik, poprosić go żeby wyspał na powrót. To samo z kawą. Być potem łagodnym dla niej. (Tu musimy postawić same znaki zapytania. Jaki słoik? Co wyspał? Co z kawą? Być łagodnym dla kogo?)

21 VI (to znaczy - dzisiaj) Spalić i Pamiętać o rozłożonej pracy... Kazać mu napisać parę słów. Spalić!!! (To już normalniejsze. Może dotyczyć jakiejś pracy, o której, zresztą jest mowa).

- Dzisiejsza data? - Parker pokręcił głową. -. To by oznaczało, że robił tę notatkę po powrocie z polowania na ćmy...

- Niekoniecznie. To mogą być po prostu sprawy na dzień dzisiejszy notowane wcześniej. Ale jedźmy dalej.

6 Istnieje cała grupa przedmiotów, na których nie ma żadnych odcisków palców, chociaż powinny być:

a) klamka okna, chociaż Agnes White twierdzi, że była ta przed pół nocą, kiedy wszyscy już się rozeszli, otwierała to okno i pozostawiła swoje odciski palców oczywiście

b) express do kawy, który ze zrozumiałych względów te odciski powinien nosić, bo był użyty nocą do zaparzenia kawy, którą wypił sir Gordon wiąż z cyjankiem potasu;

c) słoik w szafce, zawierający cyjanek potasu;

d) list „b”, na którym także odcisków nie ma, jak powiedzieliśmy;

e) klamka drzwi do hallu, na które) nie ma odcisków sir Gordona, a są odciski innych dwu osób. Ale, być może, sir Gordon wracał w gumowych rękawiczkach w tego polowania i potem włożył je do szuflady? To by tłumaczyło tę klamkę. Pani Judyta Bedford mogła na przykład przechodzić tymi drzwiami po kolacji, a pan Robert Reutt rano, idąc do gabinetu. Tymczasem sir Gordon nie pozostawiłby śladów mając gumowe rękawiczki...

- A Agnes White? - zapytał Parker spokojnie. - Przecież ona była tu przed zbrodnią?

- Właśnie... - Joe potarł czoło. - Agnes White... która była tu i nie pozostawiła odcisków ani na klamce drzwi, ani na klamce okna... Jak duch, prawda?

- A może Agnes White nie była tutaj wcale? - Parker westchnął i pokręcił głową. - A może ten cały mąż doskonały, Katon finansów i pogromca ciem, był sprawcą jej strachu i spaceru do lekarza? Może zabiła go? Mogła mu podać tę, kawę w filiżance, na której są jego odciski.

- Ba... - Joe rozłożył ręce. - Wszystko jest możliwe, nawet to, że nie sir Gordon napisał ten list, chociaż Agnes słyszała go piszącego na maszynie, a odciski jego palców są na klawiaturze. Ktoś mógł go, na przykład, otruć natychmiast po przyjściu, o drugiej, a potem przenieść maszynę na biurko i wystukać palcami umarłego ten krótki tekst... Ale wróćmy do tego okna. Jeżeli Agnes pozostawiła odciski, a teraz tam ich nie ma, to może oznaczać tylko jedno: że ktoś otworzył okno, a potem startł ślady. Ale jeżeli zrobił to sir Gordon-samobójca, to jaki miał tego powód? Może wyrzucił coś? Może podano mu coś? W końcu da się to przecież chyba jakoś stwierdzić... Podeszedł do okna i otworzył je. Przed nimi, poza wzorzystą linią kraty, widać było wielki klomb, a dalej szpaler żywopłotu. Bliżej, tuż pod domem, ciągnęła się szeroka na kilka kroków, miękka grządka, na której rosły wspaniałe, purpurowe dalie.

- Daleko nie dałoby się niczego stąd wyrzucić... - mruknął Parker. - Kraty przeszkadzają...

- Tak... - Joe wyjrzał. - Wyjdźmy i zobaczymy, co słychać na grządce.

Wyszli z gabinetu i minawszy sierżanta Jonesa, który siedział na stopniu schodów i zerwał się na ich widok, wyszli do ogrodu.

Ale nawet dziecko dostrzegłoby, że pod oknem gabinetu sir Gordona Bedforda nikt od dawna nie chodził. Skopana, miękka ziemia nie nosiła żadnych śladów. Poleciwszy dwóm ubranym po cywilnemu agentom spenetrować dokładnie cały teren w zasięgu rzutu z okna, Parker zawrócił ku domowi. Znowu znaleźli się w hallu. Joe spojrzął na mały, zwinięty ekranik i złożony stolik stojący przy ścianie. Dotknął jednego i drugiego, potem wszedł do gabinetu. Zaledwie Parker zamknął drzwi, ktoś zapukał.

- Proszę?

- Telefon z centrali, szefie... - Jones wycofał się szybko z przejścia, żeby go przepuścić. Parker wyszedł. Alex stał pośrodku gabinetu ze zmarszczką na czole i oczyma wbitymi w dywan.

- Te listy... - mruknął. - Te przekłete listy...

- Orzeczenie lekarskie... - powiedział Parker stając na progu. - Doktor Berkeley ręczy, że sir Gordon zmarł pomiędzy trzecią trzydzieści a czwartą trzydzieści nad ranem. Przyczyna: cyjanek potasu, śmierć natychmiastowa...

- O Boże... - Joe westchnął. - W takim razie, to on napisał ten list, w którym usuwa się z tego padółu łez, żeby nie przeszkadzać swojej szlachetnej małżonce... I Agnes White musiała słyszeć go piszącego na maszynie, zanim usnęła. W takim razie jedna z moich trzech koncepcji zostaje przekreślona i pozostają tylko dwie.

-Jakich trzech koncepcji?

- Na temat listów:

1 że sir Gordon chciał popełnić samobójstwo i napisał jeden z listów, ale ktoś go zamordował, zanim zdążył sam się zabić, i podrzucił mu drugi list, nie wiedząc o istnieniu pierwszego;

2 że sir Gordon popełnił samobójstwo, a ktoś widząc go nieżywego i nie widząc listu, który był ukryty, podrzucił mu drugi list;

3 że sir Gordon nie napisał żadnego z tych listów, został zamordowany i oba listy podłożono w bliżej nam jeszcze nie znanych celach.

To są jedyne trzy możliwości: że mógł napisać jeden list albo oba, albo nie napisał żadnego. Teraz ta trzecia ewentualność odpada i zostają tylko dwie pierwsze...

Mówiąc to Joe nie wiedział, że wbrew wszelkim prawom prymitywnej logiki mogła istnieć jeszcze jedna możliwość. Ale nie pomyślał o niej jeszcze w tej chwili.

## **Rozdział ósmy**

### **Przerażony młody człowiek**

Robert Reutt wszedł do jadalni, zatrzymał się przy drzwiach i złożył lekki ukłon obu siedzącym za stołem ludziom. Joe uniósł się z krzesła i wskazał mu miejsce naprzeciw. Ten młody człowiek był najwyraźniej przerażony, podchodząc potknął się i o mało nie stracił równowagi. Cicho wybąkał: - Przepraszam... - usiadł i spuściwszy oczy, czekał w milczeniu.

- Pan Robert Reutt, prawda?

-- Tak, proszę pana.

-- Pan był sekretarzem osobistym zmarłego sir Gordona Bedforda?

- Tak, proszę pana.

- Od jak dawna?

- Kiedy skończyłem uczelnię, pan profesor zaangażował mnie jako prywatnego sekretarza. Ponieważ ukończyłem z odznaczeniem specjalizację entomologiczną wydziału zoologii, więc jestem także jego asystentem... to znaczy, byłem... mój Boże... - Umilkł i spuścił oczy. Jego szczupłe, nerwowe dłonie splatały się i rozplatały na powierzchni stołu najwyraźniej bez jego wiedzy.

- Rozumiem, że to dla pana musiał być wielki wstrząs... - Joe ze zrozumieniem skinął głową. - Ale to, co się miało stać, stało się i trzeba zebrać siły. Nie powinien się pan tak denerwować. - Wyciągnął przez stół pudełko goldflake'ów. - Zapali pan?

- Nie, nie, dziękuję. Nie palę w ogóle... - Reutt potrząsnął głową. - To okropna historia, proszę panów, taka niespodzianka.

- Więc nic nie wskazywało na to, że sir Gordon może odebrać sobie życie? Musiał go pan przecież dobrze znać, będąc jego asystentem i prywatnym sekretarzem, prawda?

- Tak, oczywiście... To znaczy, znałem dobrze sir Gordona, ale nic nie wskazywało na to, nic absolutnie... Przecież nawet o drugiej w nocy, kiedy rozstawaliśmy się, rozmawiał jeszcze z panem Cyrilem i ze mną o książce i o odczytach, które miał wygłosić w Stanach. Dziś miał odlecieć razem z żoną do Nowego Jorku... Przygotowywaliśmy wszystko dzień i noc. Sir Gordon był człowiekiem o zupełnie niespożytych siłach. I tak pełen życia... Nawet dziś, jak powiedziałem... Umówił się z nami na siódmą rano, a potem o drugiej w nocy, kiedy rozstawaliśmy się, zmienił tę godzinę na szóstą. Chciał widocznie raz jeszcze jak najdokładniej przejrzeć ze mną maszynopis książki, którą miałem dziś zawieźć do wydawnictwa zgodnie z jego obietnicą. A pan Cyril miał dostarczyć cały materiał zdjęciowy. Mieliśmy

ostatecznie oznaczyć miejsca, gdzie zdjęcia wejdą do tekstu. Poza tym sir Gordon kończył pracę nad swoim odczytem. Miał wygłosić w Stanach odczyt o wędrownkach Atropos, to znaczy ćmy trupiej główki... Przeprowadził na ten temat zupełnie rewelacyjne badania w ciągu ostatnich lat... Nie wiem, czy panowie wiedzą, że trupia główka żyje zasadniczo w Północnej Afryce i na europejskich wybrzeżach Morza Śródziemnego. A do nas i do Skandynawii przylatuje pod koniec maja i na początku czerwca...

Urwał, widząc lekko zniecierpliwiony gest Parkera, ale Joe szybko powiedział:

- Proszę! Proszę bardzo, niech pan opowie. Chcemy się zorientować, jakie były ostatnie prace sir Gordona, i chociaż niewiele możemy powiedzieć o motylach, ale postaramy się coś niecoś zrozumieć...

- Więc właśnie sir Gordon, proszę panów, dzięki bardzo precyzyjnym i żmudnym badaniom, do których wciągnął także uczonych z Kontynentu, ustalił dokładnie szlaki wędrowek trupiej główki, jej obyczaje, sposób życia w czasie drogi i na miejscu po przylocie, a także, co może jest najważniejsze, wysnuł bardzo ciekawą i bardzo, jeżeli można tak powiedzieć, „nowoczesną” teorię na temat pewnego fenomenu, który jest właściwy tym ćmom. Otóż trupia główka po przylocie na północ wydaje u nas pokolenie, ale nie jest ono zdolne do dalszego rozmnażania się i w pewien sposób jest zupełnie bezproduktywne dla gatunku, stanowiąc jak gdyby ślepą odnogę, która odrasta i więdnie co roku bez zdolności dalszego przekazywania życia. Sir Gordon stwierdził doświadczalnie i obliczył, które trupie główki przylatują na północ, dlaczego i nade wszystko czemu należy przypisać ów zdumiewający w przyrodzie przypadek nieustannego płodzenia skazanych na bezpotomną śmierć osobników.

Wnioski jego, chociaż rewelacyjne dla fachowców, wymagają jednak wielkiego przygotowania. Wchodzi tam w grę i genetyka, i klimat, i historia ziemi w ciągu ostatnich kilkudziesięciu tysięcy lat... Wnioski sir Gordona były o tyle jeszcze ważne, że stanowiły istotny wkład do analizy nie tylko owadów, ale problemów rozwoju zwierzęcego życia społecznego i wtórnych cech genetycznych... Sir Gordon stwierdził między innymi pewne bardzo wysokie uzdolnienia społeczne Atropos w czasie wędrowek i udowodnił, że pomiędzy poszczególnymi osobnikami istnieje w drodze system komunikacji, pozwalający im nie tylko wyznaczać kierunek, bo tę własność mają opanowaną absolutnie wszystkie żywe istoty wędrujące okresowo, ale także i miejsca, gdzie można znaleźć pożywienie... Jak wiadomo, larwy Atropos żywią się ziemniakami i... - Urwał

- Przepraszam bardzo... - powiedział cicho. - Zdaje się, że rozgadałem się zanadto...

- Już mniej więcej wiemy, o co chodziło profesorowi... - uśmiechnął się lekko Joe. - A obawiam się, że bez gruntownych studiów nie posunęlibyśmy się o wiele dalej. Musimy, niestety, wrócić do naszej, smutnej sprawy i naszych smutnych obowiązków. Więc jest pan absolutnie przekonany, że sir Gordon do ostatniej chwili nie zdradzał żadnej ochoty, aby popełnić samobójstwo? Nie podlegał, na przykład, nagłym depresjom? Zniechęceniu? Nie mówił z panem pesymistycznie o świecie, ludziach lub o swojej pracy? Słowem, wie pan przecież, o co mi chodzi...

- Tak, rozumiem, proszę pana... - Reutt zastanowił się krótko. - Nie, proszę pana. Nigdy. Przeciwnie, sir Gordon zawsze sprawiał na mnie wrażenie człowieka, który potrafi nawet przy największym zmęczeniu zachować chęć i wolę do pracy. Był bardzo zadowolony ze swoich ostatnich osiągnięć i chyba z prawdziwą radością oddawał do druku książkę. Wydaje mi się, że jadąc do Stanów Zjednoczonych z odczytem, który w pewnym sensie był skrótem jego książki, także czuł, że jedzie po wielki i zasłużony sukces... Chociaż w pewnym sensie był specjalistą w zupełnie innej dziedzinie, bo w ekonomii, to jednak można powiedzieć, że przeprowadzał badania entomologiczne, które przyniosłyby mu już wkrótce światową sławę. Zresztą i tak był jednym z najbardziej znanych badaczy nocnych motyli. Ale entomologia to taka nauka, proszę panów, że wielu znakomitych uczonych w tej dziedzinie rekrutowało się i rekrutuje spośród ludzi innych zawodów. Najdalej posunęli wiedzę o ćmach, mrówkach, pająkach, pszczołach i termitach ci, którzy nie byli zawodowymi zoologami...:

- Tak, rozumiemy to... A czy według pana sir Gordon mógł mieć jakiś powód, żeby popełnić samobójstwo?

- Powód, proszę pana?

- Tak, to znaczy, czy nie wie pań o niczym, co mogłoby popchnąć sir Gordona do samobójstwa, gdy by się o tym niespodziewanie dowiedział?

Nie mrugnął nawet powieką przy tych słowach i nieruchomymi oczyma wpatrywał się w twarz młodego uczonego... Zauważył, że na czole Reutta pojawiły się małe kropelki potu.

- Nie., nie rozumiem, proszę pana

- No, może prościej będzie, jeżeli powiem panu, że przy zwłokach znaleźliśmy list, w którym sir Gordon stwierdza, że żegna się z życiem, aby pozwolić ukochanej kobiecie żyć z mężczyzną, którego ona z kolei kocha... Proszę mi wybaczyć to pytanie, ale jako człowiek nie rozstający się z Bedfordami miał pan być może okazję do stwierdzenia, czy sir Gordon mógł napisać taki list...

- On... on to napisał... - szepnął Robert Reutt i nagle ukrył głowę w dłoniach. Ale po chwili wyprostował się i opuścił ręce na kolana. Joe zauważył na jego twarzy ślady dwu łez, których młody uczonec nie miał zamiaru ukrywać... - To okropne... - szepnął. - Nie, to niemożliwe... On... on nie należał do ludzi, którzy mogliby się usunąć z czyjejś drogi i zrezygnować w ten sposób... Prędzej podejrzewałbym, że zabiłby takiego człowieka i swoją żonę... Ale... ale - rozłożył ręce. - To okropne... - powtórzył jeszcze ciszej.

- Pytałem pana, czy nie zauważył pan czegoś, co mogłoby usprawiedliwić tego rodzaju list.

- Czy ja?... - Reutt głośno przełknął ślinę. - Ja? Nie, nie... - powiedział unosząc głos. - Nie, alez skąd! Jestem tylko sekretarzem. Gdyby nawet, nie ośmieliłbym się obserwować, ale pani Sylvia... Ona przecież stoi ponad wszelkim podejrzeniem... Sir Gordon otaczał ją tak wielkim szacunkiem... Nie, na pewno nie.

- Dobrze... - Alex westchnął. - Niepotrzebnie się pan tak denerwuje. Jest pan przecież dorosłym mężczyzną, a my zajmujemy się w tej chwili śledztwem i zależy nam na pomocy, której mogą udzielić ludzie znający dobrze zmarłego i stosunki panujące w jego; otoczeniu.

- Tak, proszę pana - wyszeptał Reutt i wyprostował się na krześle jak skarcony chłopiec. Ale mimo czynionych wysiłków jego rozbiegane oczy nie mogły ani na chwilę spotkać się z oczami Alexa, a dłonie splatały się i rozplatały z nieustannym, bezsensownym wysiłkiem.

- Wracając do tego, co pan mówił poprzednio...- powiedział Joe swobodnie - takie zebranie o szóstej rano, kiedy przedtem pracowało się do drugiej lub trzeciej w nocy, nie należało chyba do zwykłego trybu pracy sir Gordona?

- Co? A taki Raczej do zwykłego... On zawsze pracował w nocy, kiedy miał wiele pracy, a zwykle miał jej bardzo wiele, bo stawiał sobie coraz poważniejsze zadania. Przyzwyczaiałem się do tego, chociaż początkowo bywałem senny. Z drugiej strony nadchodziły potem zwykle okresy, kiedy nie byłem mu potrzebny, i wtedy mogłem odsypiać wszystko do woli. Sir Gordon nie należał do ludzi, którzy nie dostrzegają współpracowników.

- Więc to przesunięcie o godzinę nie zdziwiło pana dziś o drugiej nad ranem?

- Nie. Pracowałem do trzeciej, skończyłem korektę, nastawiłem sobie budzik na za piętnaście szósta, a kiedy obudziłem się, wziętem prysznic i zszedłem na dół.

Wzdrygnął się.

- I zastał pan sir Gordona nieżywego, tak?

- Tak, proszę pana.

- Która wtedy była?

- Punkt szósta, proszę pana, co do minuty. Sir Gordon bardzo lubił punktualność i wszyscy stosowaliśmy się do tego.

Alex skinął głową ze zrozumieniem. Zapalił papierosa, a potem rzucił od niechcienia:

- Wspomniał pan, że sir Gordon najpierw umówił się z panem na siódmą rano, a potem przeniósł to spotkanie na szóstą. W jakich okolicznościach umówił się z panem na siódmą?

- Nie rozumiem, proszę pana?

- Po prostu: kiedy to panu powiedział?

- Kiedy?... Zaraz... Przy kolacji. Siedzieliśmy wszyscy przy kolacji, to znaczy: obie panie, sir Gordon, pan Cyril i ja. Wtedy sir Gordon powiedział: „Robercie, niech pan będzie przygotowany na to, że punktualnie o siódmej rano będą czekać na pana u siebie w gabinecie. Oczywiście, wierzę, że przyniesie pan gotową już korektę...” Odpowiedziałem, że oczywiście przyniosę, i natychmiast po kolacji usiadłem do pracy.

- Dlatego nie łowił pan wieczorem motyli razem z sir Gordonem i jego bratem?

- Tak, proszę pana, właśnie dlatego.

- A kiedy sir Gordon zmienił decyzję?

- Wtedy, kiedy, mniej więcej za kwadrans druga, zszedłem do nich do ogrodu. Chciałem zapytać sir Gordona, czy mam mu przynieść maszynopis od razu, czy też zejść z nim o siódmej. Ale sir Gordon miał jeszcze pracę nad swoim odczytem i umówił się z nami na szóstą, żeby mieć więcej czasu na ustalenie pewnych spraw. Potem ja miałem zabrać książkę do wydawcy... Później, kiedy wchodziliśmy obaj z

panem Cyrilem na schody, przypomniał nam to jeszcze raz. To były ostatnie słowa, jakie w ogóle od niego usłyszałem...

- Czy przy świadku?

- Nie rozumiem, proszę pana.

- Chodzi mi o to... - wyjaśnił Alex cierpliwie - czy sir Gordon powiedział panu w obecności jakiegoś świadka, że czeka na pana o szóstej.

- Tak, oczywiście. Pan Cyril Bedford był przy tym.

- I jest pan przekonany, że będzie on pamiętał te słowa?

- Tak. Przecież jego także dotyczyły,

- Rozumiem-. I jeszcze jedno: zauważyliśmy, że do tej małej maszyny „Underwood”, która stoi w gabinecie sir Gordona, założono niedawno nową taśmę. Czy nie wie pan, kiedy to zrobiono i kto to zrobił?

- Wiem, proszę pana. To ja założyłem tę taśmę.

- Kiedy?

- W sobotę rano. Przyjechałem wcześniej niż sir Gordon i pani Sylvia. Do moich obowiązków należało także przygotowanie miejsca pracy: maszyna do pisania, ołówki, atrament, papier, te wszystkie sprawy...

Kiedy przyjechałem, stwierdziłem, że taśma jest już zużyta, i posłałem pokojówką po nową. Tu nie opodal jest sklep z przyborami papierniczymi.

- A czy pan albo sir Gordon pisaliście potem ni tej taśmie?

- Ja nie... A sir Gordon chyba także nie, chociaż oczywiście nie mogą za to raczyć... Przywiózł gotowy maszynopis swojego odczytu i pracował tylko nad retuszami stylistycznymi i ewentualnymi uzupełnieniami informacji. Wpisywał to zwykle piórem. A ja miałem także maszynopis jego książki i pracowałem nad korektą, sprawdzając dane itd... Żaden z nas nie pisał...

- Rozumiem. A jak się pan dostał do gabinetu przed przyjazdem sir Gordona? O ile sobie przypominam, pokojówka powiedziała nam, że gabinet jest zwykle zamknięty na klucz podczas jego nieobecności.

- Tak Sir Gordon dał mi klucz, kiedy miałem pojechać tutaj. Pokojówka musiała przecież posprzątać przed jego przyjazdem, a poza tym, jak już powiedziałem, ja musiałem przygotować przybory do pracy.

- Tak... - Alex pokiwał głową. - Ile pan ma lat?

Reutt był tak zaskoczony w pierwszej chwili że nie umiał odpowiedzieć.

- Nie rozumiiałem pana.

- A przecież moje pytanie należy chyba do najłatwiejszych w świecie. Zapytałem, ile ma pan lat.

- Dwadzieścia osiem, proszą pana.

- Tak przypuszczałem. A sir Gordori miał ich, zdaje się, pięćdziesiąt osiem?

- Tak, proszą pana. Ale nie rozumiem..!

- Pan nie rozumie bardzo, bardzo wielu rzeczy; mr Reutt. - Joe pokręcił głową. - A przecież ukończył pan z odznaczeniem wyższą uczelnię. Wydawałoby się, że... No, mniejsza z tym. Dziękujemy panu, na razie...

Reutt wstał. Joe dźwignął się także.

- Och, jeszcze jeden drobiazg - Uderzył się w czoło otwartą dłonią, jak gdyby przypominając sobie. - Czy może pan przejść na chwilę do gabinetu zmarłego?

Ruchem ręki wskazał młodemu człowiekowi drzwi łączące jadalnię z pracownią sir Gordona. Ruszył przodem i otworzył drzwi Reutt poszedł za nim i zatrzymał się w progu. Parker zamknął notes, w którym zapisywał coś od pewnej chwili, wstał i zbliżył się do nich.

- Czy to są te ćmy, które profesor złowił wczoraj? - Joe podszedł do stołu i wskazał próbówki wyjęte z torby. Reutt zbliżył się powoli, rzucając zalęknione spojrzenia w kierunku biurka, za którym nikt już nie siedział w tej chwili.

Pochylił się nad stołem.

- Chyba tak... - kolejno obejrzał z bliska próbówki. - Tak... Tu są cztery Atropos.; A sir Gordori wspominał mi, że tyle właśnie złowił tej nocy... Powiedział, że to wyjątkowe szczęście, i chyba miał słuszną rację, bo to się rzadko zdarza na terenie jednego miejsca w ciągu nocy. Więcej nie umiem panom powiedzieć, bo nie łowiłem ich z nimi wczoraj... Pan Cyril Bedford będzie umiał chyba lepiej panów objaśnić. Był przy tym...

- Tak... - Joe skinął głową, - I jeszcze ostatniej malutkie pytanie: czy nie podchodził pan ostatnio do tego okna?

- Jak to, proszę pana?

- Chcą powiedzieć. - Joe westchnął - czy nie zbliżał się pan do tego okna dziś rano, kiedy znalazł pan sir Gordona? Mogło się panu wydawać przecież, że zemdłał, i mógł pan otworzyć okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza? Mam na myśli właśnie tego rodzaju postępowanie.

- Nie, proszę pana, nie podchodziłem do okna. Na pewno nie. Po prostu nie przyszło mi to do głowy. Może dlatego, że nigdy nie otwieraliśmy okien w obecności sir Gordona... On był chory na zapalenie stawów. Miał zmiany gośćcowe i przeciąg był dla niego po prostu zabójczy... Cierpiał tak bardzo w czasie ataków, że ubierał się zwykle o wiele cieplej, niż wymagała tego temperatura, i dbał, żeby nigdy go nie zaskoczył w mieszkaniu za ostry powiew. Miał uraz na tym tle, jeżeli wolno to tak określić...

- Tak, dziękujemy panu jeszcze raz. - Joe spojrzał na niego uważnie. - Udzielił nam pan szeregu cennych informacji. Mam nadzieję, że powiedział pan nam wszystko, co pan wie, w odpowiedzi na nasze zapytania? Wie pan przecież, że zatajenie przed urzędnikami prowadzącymi śledztwo faktów mogących przyczynić się do odkrycia prawdy, jest przestępstwem, prawda?

- Tak, proszę pana... - wyszeptał Reutt. - Domyślam się, że tak musi być w rzeczywistości...

Odwrócił spojrzenie, nie mogąc wytrzymać natarczywego wzroku Alexa. - Czy... czy mogę już odejść?

- Ależ oczywiście, oczywiście...

Joe patrzył przez chwilę na zamknięte drzwi, za którymi zniknął Reutt, potem odwrócił się powoli ku Parkerowi.

- I co myślisz, Ben, o tym przystojnym, młodym człowieku?

- Myślę, że jest on przystojny, to prawda... - Parker zawrócił w stronę drzwi do jadalni i otworzył je. - Ale myślę także, że nie powiedział nam wszystkiego, co wie. On coś ukrywa, Joe, i gdyby nie to, że nie chciałem ci przerywać i sądzę, że puściłeś go tylko po to, żeby „dojrzał” w samotności, nie dałbym mu tak łatwo wykręcić się tymi grzecznymi „Nie rozumiem, proszę pana... Tak, proszę pana... Nie, proszę pana...” Ale mamy go przecież pod raka i myślę, że kiedy porozmawiamy sobie z resztą domowników, warto będzie jeszcze wrócić do niego.

- I ja myślę to samo... - Alex wszedł do jadalni i usiadł za stołem. - Co teraz, jak sądzisz, Ben? - Zanim Parker zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie i sierżant Jones pojawił się na progu, trzymając w ręce zapieczętowaną, długą i wąską urzędową kopertę.

- Przesyłka z Yardu, szefie... Kierowca powiedział, że kazali mu powiedzieć, żeby się pan lada chwila spodziewał meldunku o odciskach palców na gablotce i tej główce wyciętej z fotografii.

- Dobrze... - Parker skinął głową, wziął kopertę i podszedł z nią do stołu. Jones wycofał się na swój posterunek, zamykając za sobą bezgłośnie drzwi.

- A cóż to takiego? - Alex ciekawie przechylił się przez stół.

Zastępca szefa Wydziału Śledczego otworzył kopertę.

- Kiedy tylko przybyłem, od razu przekazałem do centrali nazwiska domowników ł zabitego. Chciałem wiedzieć, czy nasze archiwum nie ma czegoś ciekawego do zakomunikowania o którejś z tych osób. Zbierają przecież dane o tysiącach ludzi i zawsze jest szansa, że może to pomóc w... - Nie dokończył, przesunął oczyma po kartce papieru dołączonej spinaczem do drugiej, mniejszej koperty, która znajdowała się wewnątrz większej. Podał tę kartkę Alexowi. Joe odczytał.

Archiwum podaje:

1 Sir Gordon Bedford - żadnej kolizji z prawem ani żadnego kontaktu z jakąkolwiek sprawą, która przeszła przez sąd lub śledztwo, nigdy nie miał.

2 Sylvia Bedford - także nie.

3 Judyta Bedford - także nie.

4 Agnes White - także nie.

5 Robert Reutt - także nie.

6 Cyril Bedford - dołączamy wyciąg z jego akt.

Zanim zdążył doczytać do końca, Parker otworzył mniejszą kopertę. Wyjął z niej kilka zapisanych gęstym maszynopisem kartek i położył je przed sobą.

- Słuchaj... - powiedział po chwili. - Słuchaj uważnie, bo to ciekawe...



- No, cóż takiego? - Joe zajął mu przez ramię. - Może uda im się wytłumaczyć nam w krótkich słowach, że pan Cyril Bedford zamordował swojego brata, a wtedy będę mógł odjechać do mojego przytulnego, cichego, ciepłego mieszkania... i usnąć... Ta kawa nie pomogła mi tak, jak chciałem, żeby mi pomogła...

- Posłuchaj tylko... - Parker machnął ręką, opędzając się od jego ostatnich słów. - Przeczytam ci to szybko.

Zaczął czytać półgłosem. Joe cofnął się do tyłu i oparł wygodnie, zagłębiony w krześle. Ale chociaż przymknął oczy i mogłoby się wydawać, że rzeczywiście drzemie, ani jedno słowo nie uszło jego napiętej uwagi.

## **Rozdział dziewiąty**

### **Pan Cyril Bedford**

CYRIL BEDFORD - urodzony 27 X 1914 roku w Londynie, syn Edwarda i Diany z domu Barnett, wzrost sześć stóp i dwa cale, waga około dwustu dwudziestu funtów, oczy niebieskie, włosy blond, znaków szczególnych żadnych, kapitan broni pancernej w rezerwie, odznaczony licznymi medalami za odwagę w czasie ostatniej wojny...

ZAARESztOWANY 10 lutego 1951 roku pod zarzutem sfałszowania podpisu i próby podjęcia czeku na sumę funtów 1000 (c) z konta brata swojego sir Gordona Bedforda w londyńskiej centrali Barclay's Banku. Czeku nie kwestionowano, ale ze względu na poważną wysokość sumy połączono się dla kontroli z właścicielem konta, który natychmiast zaprzeczył, aby wystawiał kiedykolwiek taki czek na okaziciela... Sir Gordon Bedford nie wiedział w owej chwili, że czek ten chciał podjąć jego rodzony brat. CYRIL BEDFORD został natychmiast osadzony w areszcie. Tego samego dnia po południu doręczona została dodatkowa skarga firmy Bezeg & Bezeg, zajmującej się sprzedażą aparatów fotograficznych i sprzętu fotograficznego. Oskarżony był komisantem tej firmy i rozprawdzał jej towary. Kontrola przeprowadzona tego dnia ujawniła brak towarów na sumę 980 (dziewięćset osiemdziesiąt) funtów, bez dokonania wpłaty na konto firmy. Tego samego dnia wieczorem podczas wstępnego przesłuchania oskarżony przyznał się do przestępstwa zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku.

Sprawy nie skierowano do sądu, gdyż na drugi dzień rano oba oskarżenia zostały cofnięte. W związku z tym został wypuszczony na wolność, tak jak chce tego prawo.

ADNOTACJA: Ze źródeł poufnych wiadomo, że sir Gordon Bedford, dowiedziawszy się, że fałszerstwa jego czeku dokonał jego własny brat, cofnął natychmiast skargę o sfałszowanie. Jeśli chodzi o firmę Bezeg & Bezeg, to według uzyskanych informacji sir Gordon użył w tym wypadku swoich wpływów i wyrównał natychmiast straty powstałe na skutek niedoboru w kasie tejże firmy...

Parker przerwał czytanie i spojrzał na Alexa - Chyba nie było większych trudności w wytłumaczeniu firmie Bezeg & Bezeg, że powinna przyjąć pieniądze i cofnąć skargę. Wątpię, czy jest w Anglii przedsiębiorstwo, które chciałoby narażać się bez potrzeby jednemu z najpoważniejszych koronnych ekspertów od importu i eksportu... Ale czytamy dalej...

#### **INFORMACJE DOTYCZĄCE ŻYCIORYSU I CHARAKTERU CYRILA BEDFORDA**

Człowiek niezwykle odważny, wymieniany kilkakrotnie w rozkazach armii. Od dziecka zdradzał niespokojne skłonności. Mając lat piętnaście uciekł z domu. Schwyty w jednym z portów, gdy chciał przepłynąć się „na gapę” przez ocean, odstawiony do domu rodzicielskiego. Ukończył później studia w Cambridge, ale już tam miał opinię hulaki i poszukiwacza łatwych miłostek. Następnie grywał na

wyścigach i w karty. Po śmierci ojca stracił w ciągu kilku lat przypadającą na niego połowę spadku, która stanowiła poważną sumę około osiemdziesięciu tysięcy funtów szterlingów, jego udział spadkowy w domu rodzinnym, w okolicach Richmond odkupił od niego starszy brat Gordon.

Po ukończeniu studiów i przetrwonieniu majątku Cyril Bedford popadł w nie najlepsze towarzystwo bookmacherów i agentów nielegalnych spelunek baccarata i ruletki w Soho. Przez dłuższy okres czasu znajdował się pod obserwacją S. Y., ale nie udało się stwierdzić jakichkolwiek większych wykroczeń, które kwalifikowałyby go do postawienia przed trybunałem. Na rok przed wojną poznał starszą od siebie o osiem lat Judytę Spencer i ożenił się z nią. Posiadała ona pewną sumę pieniędzy w banku i małą posiadłość ziemską w Surrey. Zarówno posiadłość, jak i pieniądze Cyril Bedford zdążył (według posiadanych przez nas informacji) przegrać do dnia wybuchu wojny tak dokładnie, że gdy powołano go pod broń, żona jego nie miałaby żadnych środków utrzymania, gdyby nie sir Gordon Bedford, który umieścił ją w rodzinnej siedzibie Bedfordów w Richmond i łożył na jej utrzymanie. Po zakończeniu działań wojennych i demobilizacji Cyril Bedford do żony nie powrócił. Próbował różnych zawodów. W pewnym momencie mało brakowało do oskarżenia go o pomoc w produkcji i rozpowszechnianiu pocztówek pornograficznych wspólnie z jakimś Dawidem Shingle (notowanym kilkakrotnie w naszych rejestrach). Ale i tym razem nie udało się zebrać koniecznych dowodów jego winy. Później Cyril Bedford próbował zarabiać w najrozmaitszy sposób, aż wreszcie znalazł posadę w firmie Bezeg & Bezeg. Szczegóły dotyczące zakończenia tej pracy podawaliśmy na początku tego wyciągu.

Po zwolnieniu go z aresztu Cyril Bedford powrócił do żony i zamieszkał wraz z nią w siedzibie rodzinnej. Istnieją powody, aby przypuszczać, że sir Gordon Bedford, będący człowiekiem o nieposzlakowanych obyczajach i opinii, wywarł na młodszego brata pewien rodzaj presji, najprawdopodobniej zachowując materiały mogące służyć do wznowienia procesu o fałszerstwo czeku. Poufnie wiadomo nam, że zagroził bratu więzieniem, o ile nie będzie prowadził trybu życia nie narażającego na hańbę nazwiska Bedford. Trudno inaczej wytłumaczyć sobie fakt powrotu Cyrila Bedforda do żony i odludny tryb życia, jaki zaczął prowadzić od tej pory...

OCENA CHARAKTERU wynikająca z posiadanych informacji: bardzo inteligentny i wybitnie zdolny, jak twierdzono już w szkole, a później na uniwersytecie. Błyskotliwy umysł. Maniery i zachowanie absolutnego gentlemana. Niestety, złe wpływy zawsze w nim brały górę nad dobrymi...

Parker wsunął na powrót papiery do torebki.

- To by było tyle w skrócie. Są tam jeszcze dołączone odciski palców i technalia dotyczące życiorysu...

- Wasze archiwum zasługuje na najwyższy podziw... - Joe wyprostował się w fotelu i ziewnął. - Dużo bym dał za to, żeby przeczytać sobie kiedyś, co myśli Scotland Yard o mnie. „Według posiadanych przez nas informacji Joe Alex jest człowiekiem zaradczym, lekkomyślnym i dziwacznym...” Co, Ben? Parker potrząsnął głową.

- Nigdy nie zaczepię o granicę bezprawia... Gdybyś zaczepił, wiadomości o tobie byłyby zbierane bądź systematycznie, bądź też uzupełniane od przypadku do przypadku, w ciągu całego twojego życia... Pan Cyril Bedford nie ma prawdopodobnie pojęcia o tym, jak wiele o nim już wiemy...

- Może i nie ma? Ale to przecież nie ułatwia nam niczego... Chyba że głównym celem twojego pobytu tutaj jest zaimponowanie panu Cyrilowi Bedford ilością informacji, które wasi zausznicy wpisali do książki jego żywota... Czy poprosimy go teraz? Jego życiorys przemawia mi do przekonania. Ten sir Gordon ze swoimi ómami, talentem handlowo-ekonomicznym, nieposzlakowaną opinią, abstynencją od alkoholu i tytoniu jakoś mniej mi trochę przypadł do gustu niż jego marnotrawny braciszek. No ale porozmawiamy z tym czterdziestosiedmioletnim urwisem. Może powie nam coś ciekawego?

Parker skinął głową. Potem bez słowa wstał, podszedł do drzwi i szepnął coś niewidocznemu Jonesowi. Czekali w milczeniu, wreszcie rozległo się pukanie, Jones wsunął głowę przez szparę, powiedział: - Pan Cyril Bedford! - A potem wpuściwszy zapowiedzianą osobistość, zamknął drzwi. Parker jak gdyby nie zauważył tego wszystkiego, wyciągnął notatnik i zaczął w nim przewracać kartki.

Alex uniósł się z miejsca.

- Proszę łaskawie usiąść i wybaczyć mi, że proponuję to w pańskim własnym domu... - powiedział swobodnie i sam usiadł, przyglądając się nowo przybytemu. Nawet gdyby nie wiedział, że ten człowiek jest bratem Gordona Bedforda, domyśliłby się tego łatwo na pierwszy rzut oka.

Cyril Bedford był człowiekiem ogromnego wzrostu, a ramiona miał chyba równie szerokie jak jego brat. Ale chociaż Joe nie widział nigdy znakomitego znawcy ciem żywego, gotów byłby przysiąc, że fuchy jego nie miały nawet w połowie tej lekkości co ruchy człowieka, który w tej chwili usiadł naprzeciw, wyciągnął fajkę, zapalnik i stempek do ubijania tytoniu. Kiedy spojrzenia ich spotkały się, Alex zrozumiał, dlaczego Agnes White nazwała Cyrila pięknym mężczyzną. Był naprawdę bardzo przystojny.

Joe przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, odczuwając coś w rodzaju zawodu i nagle zorientował się, że uczucie to wynika z tego, że nie znalazł na tej twarzy żadnych cech słabości, które spodziewał się znaleźć po przeczytaniu przez Parkera życiorysu tego człowieka. Fizjonomista miałby zapewne wiele trudności z orzeczeniem, dlaczego Cyril Bedford nie został znanym, szanowanym ogólnie obywatelem, lecz musiał pędzić groteskowy żywot w domu swego dzieciństwa, u boku żony, której nie kochał, znajdując się na łasce brata, który prawdopodobnie pogardzał nim, jeśli nawet żywił dla niego jakiegokolwiek braterskie uczucia.

- Pozwoliliśmy sobie poprosić tu pana w związku z tym tragicznym wydarzeniem, którego ofiarą padł brat pana, sir Gordon Bedford... - powiedział Joe cicho. - Jeżeli nie jest pan zanadto wstrząśnięty, byłibyśmy panu bardzo wdzięczni za chęć udzielenia nam pomocy... - Zawiesił na chwilę głos, ale siedzący naprzeciw niego mężczyzna nie poruszył się. Joe mówił dalej: - Jeżeli powiedziałem, że potrzebujemy pomocy, to chciałbym od razu dodać, że okoliczności śmierci sir Gordona stawiają policję przed bardzo trudnym zadaniem...

Zauważył, że po ostatnich słowach słuchający go człowiek drgnął. Parker przestał notować i uniósł głowę.

- Może pan będzie łaskaw wyrażać się jaśniej? - powiedział Cyril Bedford tak spokojnie, że tym razem drgnął Alex. - Nie umiem sobie na razie dokładnie zdać sprawy z tego, jak ktokolwiek może tu pomóc. Śmierć jest przecież sprawa, nieodwracalną.

- I zbrodnia także - Joe skinął głową. - Ale przecież nie prosiłem pana o pomoc pańskiemu tragicznie zmarłemu bratu, bo nie leży ona w możliwościach ludzkich. Chodzi mi po prostu o to, aby dopomógł pan nam, którzy staramy się służyć wymiarowi sprawiedliwości na tym świecie. Brat pański został zamordowany.

Siedzący naprzeciw niego człowiek przymknął na chwilę oczy, a potem otworzył je. To był jedyny objaw emocji. Głos jego nadal był zupełnie opanowany, kiedy zapytał:

- Czy jest pan tego zupełnie pewien?

- Chyba tak...

Znowu nastąpiła chwila milczenia. Cyril Bedford zapalił fajkę, przybił stempelem tłący się tytoń i zaczął powoli wypuszczać kłęby dymu.

- Czy mógłby pan opowiedzieć, jak wyglądały ostatnie chwile, które spędził pan ze swoim bratem? - Joe z przyjemnością wciągnął w nozdrza zapach fajki... Średni Capstan... - pomyślał.

- Tak, oczywiście... - Cyril skinął głową i odłożył fajkę. - Po kolacji poszliśmy razem łowić ćmy. Asystent mojego brata, Robert Reutt, zajęty był korektą maszynopisu, który rano miał oddać wydawcy, a ponieważ noc była piękna i właśnie teraz nastąpił okres wzmożonych lotów trupich główek, więc brat mój koniecznie chciał kilka godzin spędzić przy ekraniku służącym do ich wabienia. Poszliśmy więc razem. Ja zajmowałem się jak zwykle zatruwaniem owadów, a Gordon chwycił je. Umiał to robić bardzo zręcznie. Chodzi o to, aby nie uszkodzić tych delikatnych stworzeń, które szamocą się gwałtownie chcąc odzyskać wolność. Polowanie udało nam się rzeczywiście wspaniale. Gordon złowił cztery trupie główki i był w świetnym humorze, gdyż nasilenie ich w tej okolicy w tym właśnie czasie zgadzało się z jego teoretycznymi obliczeniami. Trudno mi powiedzieć jakimi gdyż... - urwał na chwilę, a Alexowi wydawało się, że coś jak cień uśmiechu przewinęło się przez kąciki

jego ust - nie lubię bardzo ciem, a trupich główek w szczególności. W każdym razie łowiliśmy, póki nie zbliżyła się druga w nocy. Reutt zszedł z góry, gdyż miał jakieś zapytanie do brata, i wróciliśmy wszyscy razem do domu. Robert i ja poszliśmy na górę, a Gordon został na dole. Miał odlecieć dzisiaj do Ameryki i szlifował swój odczyt. Z nami dwoma umówił się najpierw na siódmą rano, ale potem przesunął godzinę na szóstą, gdyż pozostawało trochę pracy związanej z książką, a później chciał przespać się i skończyć z Reuttem przed odjazdem korektę odczytu.

- Rozumiem. Co pan zrobił po udaniu się na górę?

- Poszedłem do ciemni, żeby sprawdzić schnące powiększenia. Byłem tam kilkanaście minut, kiedy wszedł Gordon...

- Ach, więc brat pana był po waszym rozstaniu na gorze?

- Tak... - Cyril uniósł brwi z wyrazem lekkiego zdziwienia - oczywiście, że był. Obejrzał zdjęcia, porozmawialiśmy chwilę o tym, że chce zabrać z sobą komplet zdjęć Atropos do Ameryki, i wyszedł...

- Czy poszedł do swojej sypialni, czy na dół do gabinetu?

- Sądzę, że raczej na dół. Nie przerywał przecież pracy. Przed jego odejściem powiedziałem mu, że przed trzecią skończę i będę chciał się zdrzemnąć. Ponieważ budzik mój jest głośny, nie tak jak budzik Reutta, więc prosiłem brata, żeby obudził mnie o pół do szóstej. Chciałem spokojnie złapać dwie godziny snu, bo wiedziałem, że dzień będzie pracowity, póki Gordon wreszcie wieczorem nie odjedzie na lotnisko...

- O której mniej więcej brat pana był u pana w ciemni?

- Mogę to panu powiedzieć nawet dość dokładnie - powiedział spokojnie Cyril. - Kiedy mówiliśmy o budzeniu, spojrzałem na zegarek i przypominam sobie, że była dokładnie godzina druga dwadzieścia pięć...

- Dziękuję bardzo. A co było później?

- Pracowałem jeszcze kilkanaście minut. Ułożyłem zdjęcia, z którymi miałem zejść o szóstej, policzyłem je i sprawdziłem, czy odbitki czysto wyszły... Część zdjęć miałem już zresztą przygotowanych od dawna... Potem poszedłem do siebie do sypialni, rozebrałem się, umyłem i od razu zasnąłem...

- Która była wtedy mniej więcej?

- Gasząc światło znowu spojrzałem na zegarek i, zdaje się, że była za pięć trzecia, a może pięć po trzeciej... Nie jestem w stanie tego dokładnie określić. Byłem śpiący i nie wiedziałem przecież, że to kiedykolwiek może mieć jakieś znaczenie... Obudził mnie dopiero Reutt... Oczywiście sam nie obudziłem się przedtem, a Gordon także nie przyszedł mnie zbudzić, bo, jak się okazało, nie żył już.

Powiedział to wszystko tonem spokojnym, modulując głos i nie starając się sprawiać wrażenia kogoś, kto jest przybity nagłą, okropną stratą. Śmierć najbliższego krewnego nie zrobiła na nim najwyraźniej wielkiego wrażenia.

Alex odetchnął głęboko i powiedział szybko, jak gdyby nie zastanawiając się nad tym, co mówi:

- Proszę mi wybaczyć, ale nie wygląda pan na człowieka zanadto przejętego śmiercią swego brata.

Cyril Bedford wyjął z ust fajkę, którą właśnie tam włożył, i przez chwilę patrzył na Alexa nie odzywając się. Wreszcie powiedział:

- Bywały chwile, kiedy nienawidziłem go bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Myślę, że nie kochaliśmy się nigdy, nawet wtedy, kiedy byłem dzieckiem, a on dorastającym chłopcem.

- Dziękuję za szczerść. Chciałbym panu zwrócić uwagę, że znamy mniej więcej przyczyny, dla których mieszka pan w tym domu i nie wydała się z niego. Scotland Yard posiada dość szczegółowy opis tamtej sprawy w swoim archiwum. Przyzna pan, że jest pan osobą, która wiele skorzystałaby na śmierci sir Gordona?

- Ach, więc panowie znacie grzechy mojej młodości... - Cyril uśmiechnął się lekko. - Tak, zapewne, śmierć Gordona nie jest najsmutniejszym wydarzeniem w moim życiu. Natomiast będę pana musiał rozczarować, jeżeli zapyta mnie pan, czy zamordowałem mojego brata. Nie, nie zamordowałem go.

- A kto według pana mógł go zamordować?

Cyril Bedford szybko uniósł głowę i przez chwilę badawczo wpatrywał się w obu siedzących naprzeciw mężczyzn; sięgnął ku wygasłej fajce i przez dłuższą chwilę zapalał ją, najwyraźniej zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie wiem... - powiedział wreszcie swobodnie, ale może nieco zbyt swobodnie. - A nawet gdybym wiedział, nie powiedziałbym panom.

- Dlaczego?

- Dlatego, że mój zmarły brat, pomimo swojej przysłowiowej prawości, uczciwości i stałości charakteru, był w moim skromnym przekonaniu istotą pozbawioną ludzkich cech. Był koszmarnym, apodyktycznym, hipochondrycznym i zatruwającym życie otoczeniu durniem. Ktokolwiek go zabił, jeżeli oczywiście nie jest to samobójstwo (a wątpię, czy to jest samobójstwo, bo byłby to pierwszy ludzki odruch, jaki bym u niego zauważył), wyświadczył mi wielką przysługę. Nie przypuszcza pan chyba, że należy denuncjować swoich dobroczyńców? - Urwał i nagle spoważniał. - i czy nie sądzicie panowie, że samobójstwo Gordona jest także możliwe?

- A jaki, według pana, mógłby być powód tego samobójstwa?

Cyril Bedford znowu umilkł.

- Nie wiem - powiedział wreszcie "cicho. - Nie widzę powodu, dla którego miałby sobie odbierać życie. Jeżeli mam mówić poważnie, to przecież znam trochę ludzi, a rozmawiałem z nim bądź co bądź na krótko przed zgonem. Absolutnie nie sprawiał wrażenia człowieka, który chce sobie odebrać życie... Nie... to niemożliwe.

- Ale równocześnie nie widzi pan nikogo, kto mógłby chcieć go zabić?

- Nie. A właściwie, jeżeli mam być szczerzy, to tak. Każde z nas, na swój sposób, mogłoby mieć jakiś powód. Ale w końcu ludzi nie zabija się dla głupstw... Nie, nie wiem... Jedyłą osobą, która miała naprawdę i chęć, i motyw, żeby go zabić, byłem cny- ba ja.

- Niewątpliwie miał pan powody i sposobność... - zgodził się spokojnie Joe. - Ale nie jestem wcale pewien, czy tylko pan jeden. - Skądinąd możemy domyślać się, że jeśli pański brat nie chciał popełnić samobójstwa, to co najmniej dwie osoby chciały go pozbawić życia... Ale może się mylę, zresztą. Może to było inaczej. Mam, przyznani się panu, pewną teorię, która na razie oparta jest na abstrakcyjnym rozumowaniu. Nie przesłuchaliśmy nawet jeszcze pobieżnie wszystkich państwa. Czy to pan hoduje te piękne dalie?

Bedford przez chwilę zdawał się zaskoczony pytaniem, ale zaraz opanował się.

- Tak. Podobają się panu?'

- Bardzo. Zdziwiły mnie że względu na wczesną porę roku. Jak pan to robił, że kwitną o tej porze?

- Och, odrobina inwencji i wiele czasu do zabicia... To wszystko. Z roślinami można wyczyniać cuda jeżeli się ma czas i ochotę.

- Zdaje się, że dalie pochodzą z Meksyku, prawda?

- Wszystkie odmiany georginii, czy jak pan woli je nazywać, dali, pochodzą z Meksyku.

- Właśnie. Zdaje się, tylko one i pewien gatunek czerwonej róży posiadają bardzo specyficzny barwnik naturalny, który kiedyś był stosowany do barwienia wełny i jedwabiu. Jakże on się nazywa? Nie pamięta pan?...

- Przyznani się, że raczej interesuje mnie ich barwa i kształt, a mniej własności chemiczne...

- Tak, zapewne... - Joe kiwnął głową. Kątem oka dostrzegł zdumione spojrzenie Parkera. - Dziękują panu... - Wstał. Cyril Bedford uniósł się również. - Proszę teraz łaskawie wrócić do swojego pokoju. Ze względu na prowadzone śledztwo będziemy zmuszeni jeszcze przez pewien czas nalegać, abyście wszyscy państwo pozostawali na piętrze domu do chwili, kiedy nie cofniemy tego zarządzenia. Przykro mi, ale policjanci w hallu i w ogrodzie mają rozkaz nie wypuszczania nikogo bez wyraźnego pozwolenia, a ponieważ dom jest dokładnie obstawiony, więc wspominam o tym tylko dlatego, żeby nie narażać nikogo z państwa na niepotrzebne kłopoty.

Bedford w milczeniu skinął mu uprzejmie głową, bez słowa skierował się ku drzwiom, otworzył je i zamknął cicho za sobą.

Kiedy tylko zniknął, Parker poruszył się gwałtownie.

- A cóż to za nonsens? Traktujesz tych wszystkich ludzi, jakbyś liczył na to, że morderca przyjdzie sam, przyzna się i będzie nam wdzięczny za to, że odprowadzimy go na szubienicę! I co to za brednie z tymi daliami?

- Odpowiedź na pytanie pierwsze brzmi - Joe uniósł ku górze jeden palec: - Tak, wierzę, że morderca niedługo sam się jakoś znajdzie Siadów jest już tyle, że brak tylko przysłowiowego ogniwa...

Odpowiedź na pytanie drugie - uniósł ku górze drugi palec - Przypomniałem sobie nareszcie, jak się ten barwnik nazywa. Występuje on tylko w czerwonych różach i czerwonych daliach.

- Jak?

- Cyjanina... - Joe potrząsnął głową. - I pomyśleć, że przy mojej absolutnej ignorancji w chemii to właśnie musiałem wiedzieć!

## **Rozdział dziesiąty**

### **„Odciski palców na gablotce i na fotografii należą do...”**

-To zostają nam tylko jeszcze obie panie Bedford, o ile się nie mylę... Którą z nich weźmiemy?

Ale los wyręczył Parkera i dał odpowiedź na to pytanie.

- Telefon z centrali, szefie! - powiedział sierżant Jones, wsuwając po raz nie wiadomo który tego poranka głowę w drzwi.

Parker wstał i szybko wyszedł z jadalni. Alex oparł głowę na rękach i przez chwilę trwał nieruchomo. Drwiący, nieco obojętny uśmiech zniknął z jego twarzy, która była teraz skupiona i absolutnie poważna.

- Tak... - powiedział półgłosem. - Chyba to będzie tak... Albo tak... Tę główkę z ramki mogłaby wyciąć pokojówka, ale nie zrobiła tego, bo... no, tak... Judyta Bedford, oczywiście. Ciekawe, jak ona wygląda. Z tego, co mówiła Agnes, wydaje się, że to jakaś biedaczka z wielkimi kompleksami. Kocha go chyba?... No, tak... Ileż to miłości pod tym purytańskim, skromnym dachem!... Tak, Judyta Bedford.

Drzwi otworzyły się i Parker wszedł, zatrzasnął je za sobą z rozmachem, a potem szybko zbliżył się do Stołu. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela, który na jego widok cofnął się znowu i oparł o poręcz fotela.

- Czy wiesz, czyje odciski znaleziono na ramce gablotki, a nawet na tej wyciętej nożyczkami główce? No, powiedz, ty śpiochu, który zawsze twierdzisz, że cały aparat naukowy policji służy tylko do zawracania głowy osobom prowadzącym śledztwo i przeszkadza w wykryciu mordercy! Dam ci prawdziwego, angielskiego, brzęczącego szylinga, jeżeli mi powiesz! Ale nie powiesz, bo przecież nie możesz wiedzieć!

- Och... - Alex westchnął. - Tomaszu, człowiecze niewierny. Nigdy nie potrafię zrozumieć, skąd u tak bądź co bądź przyzwoitego i inteligentnego w życiu prywatnym człowieka, którego znam od tylu, tylu lat, bierze się taka pogarda dla mózgu i jego jakże złożonej pracy. Kiedy tylko występujesz jako policjant, zaczynasz natychmiast zachowywać się jak czytelnik powieści kryminalnej. Odcisk palca zaprowadził mordercę na szubienicę! „Dzięki pomocy znakomitego laboratorium i nowoczesnych środków naukowych zdołano w krótkim czasie ująć niebezpiecznego przestępcę”... To wszystko są znakomite tytuły artykułów pism bulwarowych. Ale żebyś ty, mój przyjaciel... - ty, sam Benjamin Parker, zastępca szefa Kryminalnego Wydziału Śledczego Królewskiej Muncypalnej Policji, zwanej także Scotland Yardem, przypuszczał, że ja nie wiem, kto pozostawił te odciski?... Ben, kochanie moje, mogę ci to w zaufaniu powiedzieć...

- No, powiedz. - Parker spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Oczywiście, może ci się uda zgadnąć. Masz jedną szansę na pięć, bo tyle tylko jest podejrzanych osób.

- Nie, słoneczko. Ja wiem, że te odciski pozostawiła pani Judyta Bedford...

Parker otworzył usta, potem je zamknął, a potem znów otworzył. Wyjął z kieszeni srebrną monetę i podał Alexowi.

- Tak... - powiedział cicho. -- Więc ty wiedziałeś, kto zabił Bedforda i nic nie mówiałeś?

- Nie rozumiem. - Joe uniósł brwi. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- No, mam nadzieję, że ta facetka nie będzie się mogła wybronić, kiedy zaskoczymy ją takimi dowodami jak ten!

- Ano, zobaczymy... Sądząc z tego, co zastaliśmy w gabinecie, morderca Gordona Bedforda nie jest aż takim absolutnym głupcem. Ale przecież mogę się mylić!

- Oczywiście, że się mylisz! - powiedział Parker i ruszył energicznie ku drzwiom, ale w pół drogi zwolnił, zatrzymał się i obejrzał. - Co chcesz przez to powiedzieć, Joe? - zapytał podejrzliwie.

- Och, nic! Bierz swoją panią Judytę Bedford i wypytuj ją... - Joe rozłożył ręce. - Jestem niestychanie ciekaw, jak ona wygląda, a poza tym wydaje mi się, że sprawa dobiega końca...-

- Tak... - Parker wzruszył ramionami. - Zaraz ją tu sprowadzę!

Wyszedł i przez chwilę rozmawiał półgłosem z Jonesem. Potem powrócił i wolniej już podszedł do stołu. Oparł się ręką o jego powierzchnię i stał w milczeniu, patrząc na drzwi. Joe, który go dobrze znał, uśmiechnął się. Wiedział, dlaczego Parker stoi. Judyta Bedford była kobietą, więc nie mógł przyjąć jej

siedząc, ale była także mordercą, więc nie chciał wstawać z miejsca na jej widok, jak gdyby chodziło o zwykłą kobietę, której chciałby okazać należny jej płci szacunek. Dlatego czekał na nią stojąc.

Drzwi otworzyły się.

Chociaż unosząc się z miejsca na widok wchodzącej, Joe nie zdradził swego zdumienia, ale kosztowało go to wiele wysiłku. Kobieta, której podsunął krzesło i zaprosił ruchem ręki, aby usiadła, mogła odpowiadać najrozmaitszym wyobrażeniom, ale nigdy by nie przypuszczał, że jest ona żoną Cyrila Bedforda. Niska, bardzo drobna i lekko pochylona, wyglądała jak garbuska bez garbu. Ale najbardziej zdumiewająca była głowa, o zupełnie siwych włosach i twarzy pokrytej siecią drobnieutękich zmarszczek. Mąż jej, nie będący już przecież chłopcem ani nawet młodym człowiekiem, mógłby spokojnie przedstawić ją jako swoją matkę. Mimo to poruszała się energicznie i sprawnie i właśnie jedynie po jej ruchach Alex osądził, że nie ma więcej niż pięćdziesiąt kilka lat... Przed dwudziestu kilku laty, ona, Judyta Spencer, spotkała na swojej drodze młodego, pięknego olbrzyma. Czy zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia? Na pewno. Co myślała, kiedy przegrał w karty wszystko, co mu wniosła w posagu? I co myślała, kiedy odszedł na front, pozostawiając ją bez pensa i nie troszcząc się zupełnie o jej los? A kiedy minęła wojna i nie powrócił do niej?... Może znienawidziła go? A może kochała go nieustannie, rozumiejąc, że może to być tylko miłość jednostronna, jak miłość matki do złego dziecka?... W każdym razie przyjęła go na powrót, kiedy wrócił zmuszony szantażem swego jakże ucziwego brata... Czy cierpiała przez to? Na pewno...

Parker otworzył usta. Joe chrząknął głośno i szybko zapytał:

- Czy mogłaby nam pani rzucić chociaż trochę światła na tę sprawę? Mamy bardzo wiele kłopotów, jeżeli mam być szczerzy. Skądinąd możemy przypuszczać, że w małżeństwie sir Gordona Bedforda i pani Sylvii Bedford nie wszystko układało się tak, jak by można było sobie tego życzyć... Można by nawet sądzić, że tylko niewiedza sir Gordona uchroniła ten związek przed natychmiastowym rozbitciem, jeżeli wolno tak powiedzieć... Zarówno pani mąż, jak sekretarz zmarłego stwierdzają, że jeszcze na dwie do trzech godzin przed śmiercią sir Gordon nie zdradzał najmniejszej chęci popełnienia samobójstwa. Był zupełnie normalny i przygotowywał wraz z nimi pracę na dziś... Tymczasem znaleźliśmy go martwego po zażyciu cyjanku potasu w filiżance kawy. A przed nim leżał list, w którym żegna swoją żonę najczulszymi słowami... a jako dowód odebrania sobie życia podaje własną nieuczciwość w sprawach handlowych, jeżeli to tak można określić..,

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że Gordon uważał siebie za złodzieja, a swoją żonę za anioła? - zapytała Judyta Bedford spokojnym, ale nieco drżącym z emocji głosem. Widać było, że stara się opanować nadchodzący wybuch.

- Tak by to mniej więcej wyglądało...

- To kłamstwo... - powiedziała krótko.

- Dlaczego pani tak przypuszcza?

- Bo każde dziecko, które przebywałoby z nimi przez pół dnia, wiedziałoby od razu, że Gordon był czysty jak kryształ, a ona... Sylvia romansowała z innym człowiekiem!

- Czy pani zdaje sobie sprawę z wagi oskarżenia, jakie rzuca pani na inną kobietę w obliczu śledztwa o ewentualne zamordowanie jej o trzydzieści lat starszego od niej męża?

- Nie skłamałam jeszcze nigdy w życiu... - Judyta Bedford zwróciła na niego rozgniewane, małe oczy. Na jej bladą, pomarszczoną twarz wystąpił ceglasty rumieniec. - Wiem, co mówię, i nie przywykłam do tego, aby ludzie tak młodzi jak pan dawali mi wskazówki, jak mam się zachowywać.

- To bardzo piękne, że pani nigdy jeszcze nie skłamała... - Joe z powagą skinął głową, pomijając drugą część tego, co powiedziała. - Ale powtarzam, że prowadzimy tu śledztwo, którego wynik może okazać się katastrofalny dla ewentualnego mordercy sir Gordona. Stwierdzenie, że jego młoda żona żyła z innym człowiekiem, a być może, kochała go, stawia ją w bardzo niekorzystnym świetle i ktokolwiek to mówi, musi jednak udowodnić, że nie stawia gołosłownych zarzutów. Skąd pani wie, że tak było?

- Ponieważ pokój mój sąsiaduje z pokojem tego młodego człowieka i słyszałam dosyć, żeby mieć pewność.

- Przez ścianę?...

- Istnieje wspólny przewód kominowy, który łączy oba pokoje, gdyż oba kominki stykają się... - powiedziała Judyta Bedford nieco ciszej. Znowu zarumieniła się lekko, tym razem nie z gniewu, lecz z zażenowania.

- I co pani usłyszała?

- Bardzo wiele. Wystarczająco wiele, aby zrozumieć, że Sylvia nieprzytomnie kocha tego młodego człowieka. Nie dalej, jak kilka minut przed drugą dziś nad ranem słyszałam na własne uszy, jak powiedziała, że nie kocha Gordona, że go nienawidzi i że zabije go własnymi rękami, byle tylko nie jechać z nim do Ameryki...

- Czy ten młody człowiek to pan Reutt?

- Przecież innych młodych ludzi tu nie ma.

- I cóż on odpowiedział?

- Bał się... - wzruszyła ramionami. - To słabiutki, głupiutki chłopiec... - dodała z pogardliwą trafnością, jaka bywa czasem najstraszniejszą bronią starzejących się, nieszczęśliwych kobiet. - To Sylvia jest opętana... Tylko ona.

- Kiedy pani po raz pierwszy usłyszała ich rozmawiających tak, że nie miała pani już żadnych wątpliwości?

- Tuż przed ich odjazdem w zeszłym tygodniu... Byłam wtedy w ogrodzie i ścinałam kwiaty do ich mieszkania w City. Widocznie widzieli mnie w ogrodzie, a kiedy weszłam na górę, sądzili, że jestem jeszcze poza domem... Wtedy mówili jeszcze tylko o miłości... Ale Sylvia mówiła tak, że od razu zrozumiałam, że to nie jest... - urwała na chwilę i rumieniec jej pogłębił się - platoniczna miłość... tylko... tylko, że ona zdradza Gordona!

- I co pani zrobiła wtedy?

- Nic.

- Dlaczego? Nie interesowało to panią?

- Co miałam zrobić? Bałam się pójść do Gordona, chociaż wiedziałam, że powinnam to zrobić. Już dawno nienawidziłam tej przybłądy... Ja zawsze czułam, że to się musi źle skończyć... Ale Gordon nie uwierzyłby mi. A gdyby oni się zaparli, wtedy... wtedy... - skrupiłoby się to na mnie... na nas. A Cyril byłby na pewno bardzo rozgniewany... I to jak bardzo.

- Więc nie powiedziała pan: o tym nawet mężowi?

- Powiedziałam. - szepnęła cicho Judyta. - Ale dopiero, kiedy wyjechali... Powiedziałam mu o tym w środę...

- I jak zareagował pani mąż?

- Najpierw.. - Znowu urwała, potem dokończyła z wysiłkiem - Najpierw roześmiał się! Tak, proszę panów. Ja sama bym w to nie uwierzyła, ale tak Zrobił...

Alex skinął w milczeniu głową, ale zrobił to tylko po to, by stłumić uśmiech, który nagle zaczął łaskotać go w kąciki warg.

- Roześmiał się... - ciągnęła dalej pani Judyta. - I powiedział, że Gordon to paskudny, stary dureń i że gdyby był na miejscu Sylvii, to już dawno przyprowadziłby mu takie rogi, że te wszystkie ćmy siadałyby na nim jak na dębie... To były jego pierwsze słowa na ten temat. Ale zaraz spoważniał i kategorycznie zabronił mi o tym mówić. Powiedział, że Gordon tak bardzo ją kocha, a ona ma tak wielki wpływ na niego, że to mogłoby się skończyć dla nas fatalnie, a ona nawet by nie ucierpiała. I ód tej pory mielibyśmy w niej śmiertelnego wroga. Przyznałam mu rację, a zresztą skoro Cyril tak sądził, uważałam, że nie mam prawa się sprzeciwiać... - Ale potem nastąpiły takie rzeczy, że zagubiłam się zupełnie... bo... - Urwała. - Potem dodała cicho: - Ale to nie należy do tej sprawy. To są osobiste problemy moje i mojego męża...

- Proszę pani... - Alex pochylił się ku niej i zniżył głos, ale mówił nadal wyraźnie i dobitnie. - Powiedziała pani przed paroma minutami, że nigdy pani jeszcze nie skłamała... Proszę nam teraz powiedzieć wszystko, całą prawdę. Proszę pamiętać, że policja jest przyjacielem każdego porządnego człowieka i zrobimy wszystko, co możemy, żeby oszczędzić pani uczucia. Nigdy nie wyjdzie na światło dzienne ani jedno słowo, które nie jest ściśle związane z dowodem winy zbrodniarza...

Uniosła głowę i długo w milczeniu patrzyła mu .w oczy.

- Wierzę panu, młody człowieku... - powiedziała cicho. - Wygląda pan przyzwoicie i ten pan także... - Wskazała Parkera. - Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie policjantów. Panowie są bez mundurów? - W głosie jej zabrzmiała nagle dziecinna niemal ciekawość...

- Niech nam pani wszystko szczegółowo opowie... - powiedział łagodnie Alex. - Bardzo o to prosimy...

- Więc później... później zrozumiałam, że i tak powinnam pójść do Gordona. Ale nie w tej sprawie... Chciałam... chciałam, żeby on odprawił naszą pokojówkę, Agnes White...

- Dlaczego?



- Bo... bo... Widzi pan, Cyril, to znaczy, mój mąż, jest człowiekiem bardzo wrażliwym... Tak, bardzo... - Znowu urwała, szukając słów. - A ona, zapewne widzieli ją panowie... To pospolita dziewczyna, ale ma pewne cechy, jak by to powiedzieć... no, jest zapewne i młoda, i przystojna na swój chłopski sposób... i... słowem, ja już nie mogłam tego znieść!

Ostatnie słowa wymówiła wysokim, załamującym się głosem, a potem ukryła twarz w dłoniach...

- Teraz już pan wie wszystko... - powiedziała cicho po chwili. - To ona... Agnes. Wydawało mi się, że jej zachowanie wobec mojego męża jest może... za swobodne... a może to można inaczej określić... Ale my tu mieszkamy z nią na takim odludziu, a oprócz niej jest tylko stara kucharka... Wiać chciałam się zwierzyć Gordonowi i poprosić go, ale najpierw musiałby mi przysiąc, że nie zdradzi mnie przed Cyrilem... Gdyby Cyril dowiedział się, że byłam u Gordona w tej sprawie, nie wiem, co by zrobił... Więc od soboty czatowałam na chwilę, kiedy Gordon będzie sam... Ale nie mogłam go znaleźć nigdy samego. W dodatku tamci dwoje ciągle mówili za ścianą takie rzeczy, że jeszcze bardziej myślałam o tym, jacy ludzie są zdraдлиwi, i o tym, że przecież pokojówka i Cyril... To nie znaczy, żebym w to uwierzyła, ale mężczyźni są przecież tacy naiwni... A dziewczęta sprytne... Więc w nocy czekałam, żeby oni przestali łąpać ćmy... Wtedy usłyszałam Sylwię namawiającą tego chłopca, żeby z nią uciekł, i pomyślałam sobie, że taka dziewczyna jak Agnes, która jest niby prostą dziewczyną, ale ma swój prymitywny wdzięk, podczas gdy ja jestem już przecież nie najmłodsza, może tak samo namówić Cyrila... Nie wierzę oczywiście, że on mógłby istotnie tak postąpić, ale człowiek boi się nawet wtedy, kiedy nie wierzy. Więc kiedy doszłam do przekonania, że Cyril wyszedł z ciemni i poszedł spać... To znaczy, kiedy zajrzałam do niego do pokoju i zobaczyłam, że śpi... wyszłam cicho na korytarz i po schodach na dół...

- Która była wtedy godzina?

- Prawie pół do piątej... Dzień był już i słońce świeciło w ogrodzie. Ale w domu było 'zupełnie cicho. Ludzie zawsze najmocniej śpią nad ranem. A Cyril tak późno położył się spać, że musiał od razu usnąć... Więc zesłam, bo wiedziałam, że Gordon na pewno pracuje sam i będę się z nim mogła rozmówić... Znałam go i byłam przekonana, że nie zniósłby pokojówki prowadzącej się nieskromnie. Oczywiście nie miałam zamiaru mówić mu o Sylvii, bo wtedy wszystko by przepadło. Gordon mógł wtedy wpaść w szał i wypędzić wszystkich, a ta dziewczyna White mogłaby w tej sytuacji zabrać Cyrila... Więc chciałam tylko wymóc na Gordonie, żeby odprawił ją przed swoim wyjazdem nie podając powodów, żeby Cyril się nie dowiedział, że to ja mu o nich powiedziałam... Weszłam do gabinetu i zobaczyłam go... Był nieżywy. To znaczy, podeszłam do niego i dopiero wtedy zobaczyłam, że jest nieżywy, bo położyłam mu rękę na czole i był zupełnie zimny... Wtedy...

- Wtedy wzięła pani ze stołu nożyczki, wycięła pani głowę Sylvii Bedford i wpięła pani pomiędzy ćmy w gablotce. Dlaczego?

- Bo myślałam, że... ja nie myślałam, że on jest zamordowany. Myślałam, że widocznie umarł na serce, jeżeli śladów krwi nie ma... I pomyślałam, że może dlatego tak się stało, bo jednak Cyril powiedział mu o Sylvii i Robercie... Albo może on sam się dowiedział w jakiś sposób?... A potem przypomniałam sobie, co ona mówiła w nocy, i pomyślałam, że może oni go otruli... A przecież nie mogłam przyznać ślą, że byłam na dole, bo nigdy bym Cyrilowi nie wytłumaczyła po co. Więc nie chciałam zostać, ale równocześnie chciałam, żeby policja wiedziała, że to ona jest przyczyną jego śmierci. Zobaczyłam tą ramkę i zdjęcie, wycięłam je prędko i wpięłam do gablotki na miejsce jakiejś okropnej ćmy. A potem uciekłam...

- I nie zaalarmowała pani domu?

- Po co? Przecież Gordon i tak nie żył. A Cyril nigdy by mi nie wybaczył, gdyby wiedział, po co poszłam... Zresztą zlekłam się. Byłam tam zupełnie sama. Pobiegłam do siebie, schowałam się pod kołdrę i czekałam. Wiedziałam, że o siódmej oni mają się tam zejść. Ale Robert zszedł nawet wcześniej, bo o szóstej zaalarmował cały dom...

- A nie pomyślała pani o tym, że policja musi zapytać panią, co pani robiła w pokoju sir Gordona i dlaczego pani wycięła tę fotografię?

- Nie. Skąd moglibyście o tym wiedzieć? Przecież gdybym wam sama nie powiedziała, nie wiedzielibyście...

Joe rzucił krótkie spojrzenie na Parkera, który siedział oparty na łokciu, przyglądając cię z niemym podziwem starej kobiecie.

- Czy nie czytuje pani nigdy książek kryminalnych? - zapytał Joe.

- Nie. Uważam, że takie rzeczy nadają się dla służby, proszę pana. Czytuję wyłącznie poezję.

Parker chrząknął cicho i Joe poczuł, że się czerwieni.

- I nie słyszała pani nigdy o odciskach palców? - zapytał z lekkim niedowierzaniem.

- Słucham? - powiedziała pani Judyta Bedford. - Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

- A czy podchodziła pani do okna w gabinecie?

- Kiedy?

- Wtedy, kiedy zastała pani sir Gordona nieżywego.

- Nie, proszę pana. Dlaczego miałabym podchodzić? On nie żył przecież. Świeże powietrze nie było mu potrzebne. Zresztą od razu pomyślałam o tej fotografii, a potem chciałam już tylko uciec i ukryć się u siebie w łóżku...

- A czy ma pani zapasowe klucze od wszystkich pomieszczeń w domu? Ktoś mi mówił, że sir Gordon zamyka gabinet wyjeżdżając, ale pani miała zapasowe klucze. Czy to prawda?

- Tak, mam pod swoją opieką taki wielki pęk kluczy, ale od lat nie zaglądam do niego, bo kluczy się u nas nie gubi. Jest zamknięty w którejś z szuflad mojego biurka, a może nawet wisi na gwoździu u mnie w pokoju...

- Taaak - Joe zastanowił się. - Niestety, będziemy musieli teraz poprosić panią Sylvię Bedford, pana Reutta i pani męża, którzy muszą potwierdzić pani słowa w konfrontacji... - Wyciągnął paczkę Gold Flake'ów, wyjął jednego i zapałki, a potem, przypominając sobie, uniósł się z krzesła i podał jej paczkę. - Przepraszam bardzo, może pani pali?

- Nigdy w życiu jeszcze nie próbowałam nawet... - uśmiechnęła się Judyta. - Może dzisiaj byłby odpowiedni dzień, żeby zacząć, ale obawiam się, że jestem już trochę za stara, by uczyć się nowych nałogów...

Joe skinął głową. - Za to młode dziewczęta palą teraz prawie wszystkie. Bratowa pani zapewne też pali...

- Nie. - Judyta potrząsnęła głową. - To jedno muszę zapisać na jej plus. Nie paliła i nie pali. Gordon tego bardzo nie lubił, ale ona, zdaje się, nigdy nie używała tytoniu. Ta mała w kuchni też nie pali, więc, jak pan widzi, nie wszystkie kobiety palą... Ale pan przecież nie mówił serio, że chce pan ich wszystkich skonfrontować ze mną... Przecież ja... Oni nie mogą wiedzieć, że słuchałam, kiedy rozmawiali...

Cyril też nie może wiedzieć, że powiedziałam panom, że on zabronił mi mówić Gordonowi o nich...

- Teraz, kiedy sir Gordon nie żyje, wszystko wyjdzie na jaw, jeżeli się kochają - mruknął Alex. - Ale daję pani słowo, że postaram się, aby pani nie cierpiała za swoje uczynki i prawdomówność. Pani osobistych spraw nie będziemy poruszać.

## **Rozdział jedenasty**

### **Ćma trupia główka**

- Co chcesz teraz zrobić? - zapytał Parker, kiedy drzwi zamknęły się za Judytą Bedford. Podszedł do stołu i spojrzał na Alexa z lekką niechęcią. - Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiego śledztwa. Przez cały czas jest jasne, że każde z nich coś ukrywa. Gdyby tylko nacisnąć trochę, ten Reutt, na przykład, powiedziałby nam masę, mógłby się nawet załamać, bo nie wygląda na mocnego człowieka. Tymczasem ty... - Parker zawiesił głos i pokręcił z powątpiewaniem głową, potem z nagłą nadzieją dokończył: - Czy przypuszczasz, że przesłuchanie pani Sylvii Bedford będzie decydujące, i dla niej rezerwujesz wszystkie niespodzianki, które zostały zaoszczędzone innym?

- Pani Sylvia Bedford? - Joe uniósł brwi. - A po co mielibyśmy przesłuchiwać panią Sylvię Bedford?

- Jak to po co? ... - Zastępca szefa Wydziału Kryminalnego chciał najprawdopodobniej powiedzieć zbyt wiele słów naraz, gdyż zamilkł z otwartymi ustami. Potem opanował się. - Czy chcesz powiedzieć, że nie masz zamiaru przesłuchiwać wszystkich osób, które w chwili morderstwa znajdowały się w domu? Joe westchnął.

- W twoich ustach brzmi to tak dramatycznie, że przez chwilę zastanawiałem się, czy sam nie popełniłem jakiegoś przestępstwa, nie chcąc przesłuchiwać pani Sylvii Bedford. Ale wydawało mi się, że jesteśmy tu przecież nie po to, żeby przesłuchiwać całą okolicę, ale aby ustalić, co się stało, to znaczy, kto zamordował Gordona Bedforda. Ale może się mylę? - uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. - To

właśnie najbardziej bawi mnie w każdym działaniu przedstawicieli prawa: ta nieuchronna konieczność robienia rzeczy niekoniecznych. Gdybym chciał posługiwać się takimi metodami w moich skromnych książeczkach kryminalnych, miałyby co najmniej po pięćset stron każda i ludzie zasypialiby w połowie albo zaglądaliby na ostatnią stronę, żeby wreszcie ustalić, kto popełnił te najnudniejsze ze zbrodni. Ale was nie obowiązują żadne konwencje poza jedną: im grubszy tom akt sprawy, tym lepszy zespół śledczy. Czy możesz mi powiedzieć, w jakim celu mamy rozmawiać z panią Sylvią Bedford i zadawać jej setki żenujących pytań, które muszą dotyczyć jej bardzo prywatnych spraw, w których ani ty, ani ja nie mamy żadnego osobistego udziału?

- Czyś ty zwariował, Joe? - W głosie Parkera była szczerza troska. - Czy może chcesz mi powiedzieć, że na podstawie tego, co dotychczas usłyszeliśmy i zobaczyliśmy, wiesz już, kto zabił Gordona Bedforda, i potrafisz to udowodnić ponad wszelką wątpliwość?

- Tak, oczywiście... - Alex rozłożył ręce. - Myślałem, że i dla ciebie wszystko jest już jasne.

- Tak myślałeś, co? - Parker potrząsnął głową. - Jeżeli tak myślałeś, jesteś w błędzie. I to w wielkim błędzie. Ale jeżeli jest to dla ciebie aż takie proste, bądź łaskaw mi wyjaśnić, kto zabił Gordona Bedforda i na czym opierasz swoją pewność, że zabił go osobnik X, a nie kto inny. W moim przekonaniu pewne elementy zostały, co prawda, ujawnione, ale bardziej zacierają one widok niż rozjaśniają. Poza tym nie muszę ci chyba przypominać, że obowiązkiem naszym nie jest znalezienie jakiejś efektownej hipotezy, ale ustalenie faktów w ten sposób, żeby absolutnie stwierdzić winę jednego z podejrzanych. A do tego trzeba z równie absolutną pewnością wyeliminować pozostałe osoby. Inaczej każdy nawet średnio uzdolniony adwokat zrobi marmoladę z aktu oskarżenia i wystawi mnie na pośmiewisko.

- Czy przypuszczasz, mój czcigodny przyjacielu, że przeżyłbym chwilę, w której z mojego powodu stałbyś się celem kpin gazet całej Anglii?... - Joe znowu uśmiechnął się, jak gdyby myśl o krzyżujących nagłówkach brukowych pism, mianujących Beniamina Parkera niezdarą, wydawała mu się zabawna. - Wydaje mi się tylko, że zakończyłem śledztwo i wiem, kto zabił Bedforda. Podjąłbym się nawet w ramach moich skromnych możliwości wyeliminować wszystkie pozostałe osoby, prócz mordercy. Dlatego tylko powiedziałem, że możemy przystąpić do podsumowania. Poza tym obudziłeś mnie bardzo wcześnie i byłbym szczęśliwy, gdybym mógł wrócić do łóżka. Wyobraź sobie, że potrafię spać o każdej, ale to absolutnie każdej porze, jeżeli brak mi godziny albo dwóch snu. Niestety, Scotland Yard był dziś zdania, że mój sen...

- Och, przestań błaznować, błagam cię! W końcu chodzi tu o morderstwo i mordercę. Ja... ja absolutnie nie mogę przerwać śledztwa, jeżeli... jeżeli nie będę wiedział, czy naprawdę zostało zakończone - dokończył bezradnie, zdając sobie sprawę, że jako oficer kierujący tym śledztwem nie może przecież tak mówić. Ale znał Alexa i czuł, że pod jego uśmiechem kryje się pewność. A w ciągu ich długiej współpracy Benjamin Parker raz tylko przeżywał chwilę zwątpienia. Działo się to w starym domu nad skalnym urwiskiem, kiedy wszystko wskazywało na samobójstwo, a Joe z uporem prosił, aby nie przerywać zupełnie bezsensownego w opinii Parkera śledztwa. Zmarły był znanym demonologiem i bardzo wiele mówiło się o diabłach podczas owej sprawy. W końcu okazało się, że morderstwo, którego nikt nie mógł popełnić, zostało jednak popełnione. I zastępca szefa Wydziału Kryminalnego uwierzył wówczas, że jeśli był tam rzeczywiście jakiś diabeł, to mieszkał on w mózgu jego przyjaciela, służąc mu jak Faustowi radą i pomocą. Ale od tamtych wydarzeń upłynęło wiele czasu. Teraz sytuacja była odwrotna. On, Parker, uważał, że śledztwo dopiero się rozpoczyna, a Joe był spokojny, uśmiechnięty i pewny siebie.

- Więc co chcesz, żebyśmy zrobili? - zapytał niemal z rozpaczą.

- Myślę, że warto byłoby rzeczywiście zebrać tych wszystkich ludzi i zakończyć całą sprawę.

- Ale czy jesteś absolutnie pewien, kto zabił, i potrafisz to udowodnić?

- Tak.

Parker zawahał się.

- Dobrze... - powiedział. - Mów, Joe. Jeżeli powiem, że umieram z ciekawości, to będzie to bardzo bliskie prawdy.

Więc Joe powiedział mu.

Po dwudziestu minutach miał ich wszystkich przed sobą: trzy kobiety i dwu mężczyzn. Mieli zmęczone oczy, ale wszyscy, każdy na swój sposób, zdradzali w mniejszym lub większym stopniu zdenerwowanie.

Alex, który stał przy drzwiach czekając, aż wszyscy wejdą i usadowią się, zawrócił w stronę stołu, ale zboczył ku drzwiom gabinetu i otworzył je szeroko. Potem stanął wsparty o framugę i patrząc na Parkera, który siedział na prezydyjnym miejscu, mając przed sobą plik papierów, a po prawej ręce wszystkich mieszkańców domu, powiedział:

- Ponieważ wiemy dość dokładnie to wszystko, co jedni z państwa mogliby powiedzieć nam o innych, więc chciałbym przejść do porządku dziennego nad tymi informacjami, tym bardziej że jak zdołaliśmy zauważyć w śledztwie, mają one charakter raczej intymny i nie byłoby nikomu przyjemnie omawiać je publicznie. Będę się starał unikać ich... - Urwał na chwilę, widząc lekki rumieniec i prawie niedostrzegalne dziękczynne skinienie Agnes White.

Parker, który zauważył to, gotów był przysiąc, że Joe chciał uśmiechnąć się do niej i pohamował się z trudem. Ale już po sekundzie zapomniał o tym, gdyż swobodny ton Alexa stał się bardziej rzeczowy.

- Chciałbym państwu wyjaśnić, co zauważyliśmy podczas śledztwa i jakie nieuchronne wnioski nasunęły się nam dzięki prostemu stosunkowo rozumowaniu.

Otóż policja nie mogła bez dochodzenia przyjąć nasuwającej się hipotezy o samobójstwie. Choć nie wszyscy państwo o tym wiecie, na biurku umarłego znaleziono nie jeden list samobójczy, ale dwa... - Zawiesił głos i powiódł oczyma po siedzących, ale nikt nie poruszył się. Alex pokiwał głową, jak gdyby przytakując własnym myślom, a potem szybko podjął: - Tak, dwa listy. W dodatku każdy z nich podawał zupełnie inną przyczynę samobójstwa. List, który moglibyśmy nazwać LISTEM NUMER 1, a który leżał na powierzchni biurka i posiadał odcisnięte ślady palców sir Gordona, stwierdzał, że gospodarz tego domu chce rozstać się z życiem, gdyż zszedł z uczciwej drogi i zajmował się, o ile zrozumieliśmy, przyjmowaniem wielkich łapówek. W liście tym sir Gordon żegna się z ukochaną żoną i jej poświęca najcieplejsze słowa. Skądinąd stwierdziliśmy w śledztwie, że list ten nie mógł zostać napisany po przyjeździe sir Gordona na obecny weekend, gdyż został odbity na starej taśmie, a obecny tu pan Reutt zeznał, że wymienił tę starą taśmę na nową przed przyjazdem państwa Bedford w sobotę rano. Tyle na razie o tym pierwszym liście. Pod leżącym na biurku oprawnym rękopisem obecny tu pan Parker znalazł w czasie oględzin list, który nazwiemy LISTEM NUMER 2. Był on złożony na pół i nie posiadał żadnych odcisków palców. Został natomiast napisany na nowej taśmie. Jak stwierdziliśmy, był to jedyny tekst odbity na tej taśmie i można go było na niej jeszcze odczytać, przewróciwszy ją na lewą stronę. W liście tym sir Gordon mówi o bólu, jakim napełnia go myśl, że ukochana kobieta kocha kogoś innego. On sam, nie chcąc być przeszkodą w miłości dwojga ludzi, których ceni i szanuje, postanawia usunąć się...

- Co? - wyszeptała Sylvia. - On? Usunąć się?... Pan kłamie!

- Jak dotąd niewiele osób podejrzewało mnie nawet o nieścistość, a cóż dopiero o kłamstwo... - Joe uśmiechnął się. - Ale mam nadzieję, że chciała pani tym wykrzyknikiem zadokumentować nie tyle niewiarę w moje słowa, ile fakt, że pani zmarły mąż chciał się usunąć z drogi dwojga zakochanych, prawda?

- Przepraszam pana... - Sylvia opanowała się już. Spokojnie skinęła piękną, ciemną główką. - Ma pan słuszność. Absolutnie nie wierzę, aby Gordon, to znaczy mój zmarły mąż, był zdolny do tego rodzaju postępków. To nie leżało w jego charakterze. Poza tym był człowiekiem głęboko religijnym i uważałby samobójstwo za grzech może nawet większy niż morderstwo.

- Dziwię się... - Judyta Bedford mówiła szybko i cicho. - Dziwię się, że nawet teraz chcesz znieważać jego pamięć! Wydawałoby się, że dostatecznie znieważałaś nazwisko Bedford za jego życia!

- Nie byłabym pierwszym Bedfordem, który się temu nazwisku sprzeniewierzył! - odparowała szybko Sylvia i wyprostowała się w krześle, rzucając wymowne spojrzenie na Cyrila, który uśmiechnął się pogodnie, jak gdyby słowa te nie dotyczyły go zupełnie.

- Chwileczkę, proszę państwa... - Joe wstał i podszedł do drzwi gabinetu, potem zawrócił i zatrzymał się przed siedzącymi. - A jednak... - powiedział, patrząc na Sylię. - O ile trudno było nam początkowo zrozumieć, kto napisał ów list, na którym są odciski palców sir Gordona, stwierdziliśmy, że właśnie ów drugi list, którego treść wydaje się pani tak niewiarygodna i na którym odcisków palców nie ma w ogóle, został napisany przez sir Gordona, i to na godzinę lub dwie przed śmiercią. Panna Agnes White, której pokój znajduje się tuż pod gabinetem, słyszała mężczyzn powracających z ogrodu, słyszała także potem kroki sir Gordona w pokoju nad sobą, a potem stuk maszyny do pisania. A ponieważ innej maszyny w domu nie ma, a sir Gordon umarł dopiero w godzinę lub dwie później i, co najważniejsze, tekst tego listu jest jedynym tekstem odbitym na stojącej w gabinecie maszynie, więc musimy przyjąć, że albo sir Gordon napisał ten list, albo Agnes White kłamie...

- Jak to, proszę pana? - Agnes otworzyła szeroko swoje spokojne, jasne oczy. - Dlaczego miałabym kłamać? Przecież słyszałam wszystko tak, jak powiedziałam panom.

- Na pewno, panienko. Ale naszym obowiązkiem było rozważenie wszystkich możliwości. To przecież panienka zeznała, że otwierała panienka okno przed północą, a myśmy nie znaleźli tam odcisków palców panienki, to panienka także mogła podać sir Gordonowi zatrutą kawę z expressu i zetrzeć odciski. Ale w tym wypadku musiałaby panienka skłamać, że słyszała panienka sir Gordona piszącego, i zabiwszy go, musiałaby panienka sama napisać ten list, a potem wsunąć go pod rękopis... i wychodząc zetrzeć swoje odciski palców z klamki drzwi...

- Ale dlaczego, proszę pana?

- Och... - Alex zrobił nieokreślony gest ręką. - Na upartego powód może by się i znalazł. Byłby to powód może nieco naciągany, ale czego to nie wymyślą dziewczyny leżąc samotnie, nie mogąc usnąć i rozmyślając o życiu... Mogłaby panienka, na przykład, pomyśleć, że taki list, mający za treść zdradę żony i samobójstwo męża, mógłby pozbawić tę żonę prawa dziedziczenia, a wówczas fortunę Bedfordów mógłby odziedziczyć ktoś, kto... No, słowem, jakiś tam powód by się znalazł...

Agnes zaczerwieniła się gwałtownie.

- Jeżeli pan myśli, że ja... ja...

- Nie, nie myślą! - powiedział szybko Joe. - Nie myślę tak, przede wszystkim dlatego, że absolutnie nie wyobrażam sobie, jak panienka mogłaby napisać taki właśnie list. Nie należy on do szczytowych utworów brytyjskiej epistolografii, ale bądź co bądź, żeby napisać go od ręki na maszynie, i to mając za plecami stygnącego trupa (bo przecież sir Gordon nie dałby panience ni stąd ni zowąd pisać po nocy na maszynie)... Nie, na to potrzeba kogoś bardziej obeznanego z techniką korespondencji i z literaturą...

- Ale przecież ja nigdy w życiu nie pisałam na maszynie! - powiedziała Agnes rozpaczliwie. - Pan tak do mnie mówi, jakbym ja nie umiała napisać jakiegoś listu na maszynie w pewien sposób, a ja bym wcale nie umiała! Nie wiem nawet, jak się to robi...

- I o tym pomyśleliśmy... Ten list jest napisany bez jednej pomyłki literowej, szybko i sprawnie, przez kogoś, dla kogo maszyna do pisania jest przedmiotem codziennego użytku... Oczywiście nie przeszedziliśmy dokładnie, czy w życiu panienki nie zdarzył się żaden kurs pisania na maszynie, ale sama analiza treści i sytuacji, w jakiej byłaby panienka zmuszona go pisać, wykluczały panienką absolutnie. A jeżeli wykluczały, to równocześnie mieliśmy pełne prawo przyjąć zeznania pani jako prawdziwe.

- Czy chce pan przez to powiedzieć... - zapytała Sylvia spokojnie - że mój zmarły mąż popełnił samobójstwo, żeby usunąć się z drogi tego, co pan nazwał miłością dwojga osób?

- Nie. Tego nie powiedziałem. Chcą tylko powiedzieć, że możemy przyjąć autorstwo sir Gordona w związku z LISTEM NUMER 2...

I Joe odczytał zebrany list. Skończył i oddał go Parkerowi.

- Ba! - powiedział. - Gdyby nie było drugiego listu, to sprawa wydawałaby się na pierwszy rzut oka rozwiązana. Zwykłe samobójstwo. Musielibyśmy, co prawda, wyjaśnić jeszcze, dlaczego sir Gordon nie podpisał listu, ani nie napisał go piórem, chociaż w chwili śmierci miał je odkręcone pod ręką. Musielibyśmy także wyjaśnić, dlaczego pościarał swoje odciski z klamki drzwi i okna, a także z expressu: bo przecież jeżeli przyrządzał sobie zatrutą kawę, to musiał chyba pozostawić odciski palców? No i szalka, i słoik z trucizną... też brak na nich śladów... Pozornie wydawało się to zupełnie nierozwiązalne... Do tego dochodziła ta ludzka główka wpięta pomiędzy trupie główki... Myślę o głowie wyciętej z fotografii na biurku...

Ktoś szybko wciągnął powietrze. Joe spojrzął na siedzących, ale trwali nieruchomo, wpatrzeni w niego, zasłuchani z szeroko otwartymi oczyma.

- No, ale sprawa tej fotografii okazała się w końcu niezbyt istotna... Nie będę jej na razie poruszał. Chciałbym przeanalizować sprawę listów, bo na niej od początku zogniskowaliśmy nasze zainteresowanie.

Otóż, matematycznie biorąc, istniały następujące możliwości:

Przypuszczenie „A”:

1 Sir Gordon napisał dwa listy i popełnił samobójstwo.

2 Sir Gordon napisał list 1, popełnił samobójstwo, a list 2 mu podrzucono.

3 Sir Gordon napisał list 2, popełnił samobójstwo, a list 1 mu podrzucono.

(Myślę oczywiście o tym, że albo morderca, albo ktoś z nieznanymi przyczyn, widząc zmarłego, podrzucił list samobójczy.)

4 Sir Gordon popełnił samobójstwo, nie napisał żadnego listu, a oba podrzucono po jego śmierci.  
Przypuszczenie „B”:

1 Sir Gordon został zamordowany, a potem podrzucono na biurko oba listy.

2 Sir Gordon został zamordowany, ale przedtem napisał oba listy.

3 Sir Gordon został zamordowany. Przedtem sam napisał list 1, a list 2 został podrzucony przez mordercę.

4 Sir Gordon został zamordowany, ale przedtem napisał list 2, a list 1 został podrzucony przez mordercę.

Przepraszam państwa za tę, może trochę przydługą, litanię, ale wydaje mi się, że wyczerpuje ona wszystkie możliwe kombinacje tego, co się mogło stać. A to już w naszej sytuacji było bardzo pożyteczne. Trzeba było eliminować i szukać rozwiązania, w którym wszystko by się zgadzało...

Mamy osiem rozwiązań. Cztery przy przypuszczeniu samobójstwa, a cztery przy przypuszczeniu morderstwa. Porozmawiajmy najpierw o przypuszczeniu samobójstwa. Spójrzmy na fakty.

Sir Gordon wieczorem z pasją chwytą ćmy. Naznacza na szóstą rano konferencję z bratem i sekretarzem, dotyczącą jego nowej książki. Po napisaniu listu samobójczego wchodzi, jak zeznał pan Cyril Bedford, na górę do ciemni i omawia z bratem sprawę zdjęć. Mało tego, znaleźliśmy go przy biurku, na którym leżał otwarty maszynopis odczytu, jaki miał wygłosić w Ameryce. Na maszynopisie leżało odkręcone wieczne pióro - zmarły zaczął nim pisać zdanie, które miał zamiar wstawić do tekstu. Zdanie to urwało się i nigdy już nie zostało dokończony. Poza tym sir Gordon zginął pijąc kawę w ten sposób, że trzymał filiżankę na spodeczku w dłoni. Wypił zawartość filiżanki jednym łykiem i umarł natychmiast. Filiżanka upadła na ziemię wypuszczona z opadającej prawej ręki, a spodek, trzymany w lewej, upadł na kolana, a stamtąd obsunął się na dywan. Od razu wydało mi się, że samobójca, który nasypał sobie cyjanku do kawy, nie będzie pił trucizny, trzymając w drugiej ręce spodeczek. Tak robi raczej człowiek, który siedział przy biurku i otrzymał od kogoś kawę na spodeczku. Wtedy Merze się kawę wraz ze spodeczkiem, wypija i... Ale to była tylko moja impresja. Ważniejszy jest fakt, że chociaż, sir Gordon pozostawił swoje odciski na klamce drzwi wchodząc do pokoju z ogrodu, a potem powinien był je pozostawić jeszcze dwukrotnie, idąc na górę do ciemni i powracając z niej, to jednak ich w ogóle nie znaleźliśmy. Nie było ich także na expressie, w którym musiał sobie przecież przyrządzić kawę. Nie było ich także na szafce z trucizną ani na słoiku, chociaż przyniósł słoik z ogrodu i umieścił go w szafce. Nie było także żadnych odcisków na klamce okna, które panna Agnes otwierała przed północą. Wszystkie osoby, które później były w pokoju, zaprzeczają, jakoby dotykały okna...

Jeżeli dodamy do tego, że sir Gordon był człowiekiem niezłomnych zasad, że był głęboko religijny na swój sposób i że najprawdopodobniej uważał samobójstwo za objaw najwyższego tchórzostwa wobec życia, trudno się oprzeć tej nawałnicy dowodów i upierać się, że sir Gordon popełnił samobójstwo, chociaż nie należał do ludzi, którzy mogliby to zrobić, tuż przed śmiercią był pełen planów i zamierzeń, śmierć zaskoczyła go przy pracy, a poza tym... zupełnie niezrozumiałe wydaje się, dlaczego miałby pościerać swoje odciski palców z rozmaitych przedmiotów i klamek, jeżeli chciał, jak mówi jego liryczny list, odejść, aby nie zagradzać drogi do szczęścia innym?... A co robił w dodatku na jego biurku ten drugi, także nie podpisany list?

Nie, samobójstwo nie tłumaczy tu niczego. Nie tłumaczy także dziwnych notatek w IN MEMORIAM, gdzie pod datą wczorajszą pisze: „Oczywiście słoik, poprosić go, żeby wsypał na powrót. To samo z kawą. Być potem łagodnym dla niej...” - A pod datą dzisiejszą: „Spalić! Pamiętać o rozłożonej pracy... Kazać mu napisać parę słów. Spalić!!!...” - Te teksty są bardzo, bardzo interesujące, bo dotyczą słoika, kawy i rozłożonej pracy, to znaczy tego, z czym spotkaliśmy się po śmierci sir Gordona w tym gabinecie. Zważywszy fakt, że pod datą przedwczorajszą nie ma jeszcze nic ciekawego, a jest tylko notatka o weekendzie i sprawdzeniu biletu na samolot, możemy przypuszczać, że pomiędzy przyjazdem na weekend a dniem wczorajszym zaszło coś, co kazało sir Gordonowi zanotować ten właśnie tekst.

Joe przesunął oczyma po siedzących i powiedział dobitnie:

- Samobójstwo w świetle tych dowodów było i jest absolutnie wykluczone. Gordon Bedford nie był błaznem, nie rozstawałby się ze światem pisząc nonsensowne listy i ścierając z nich swoje odciski palców, nie popełniłby samobójstwa pośrodku zdania poprawianego maszynopisu i nie umawiałby się z ludźmi na rano ani nie łowiłby ciem w nocy, ani nie chodziłby do brata oglądać zdjęć. Człowiek rozstając się z życiem nie zachowuje się jak pajac, skoro nie ma do tego najmniejszego powodu. Poza tym chociaż znaleźliśmy w jego kieszeni kapsułkę z cyjankiem, nie znaleźliśmy żadnej pustej na biurku. A ponieważ na

szafce i na słoiku nie ma jego odcisków palców, więc... - Joe rozłożył ramię - nie wiem, skąd nasypał sobie cyjanku. Przecież nie nosił go luzem w kieszeni. Zresztą nic nie nosi śladów cyjanku w pokoju. Nie! Nikt ani przez chwilę nie może przypuszczać, że człowiek, który nie miał żadnych dyspozycji psychicznych do popełnienia samobójstwa, który nie zdradzał żadnych oznak chęci popełnienia samobójstwa, którego działanie, gdyby popełnił samobójstwo, wydaje się absolutnie bezsensowne i byłoby w rzeczywistości bezsensowne... że ten człowiek samobójstwo popełnił. Gordon Bedford został zamordowany i wiemy o tym wszyscy równie dobrze jak jego morderca. Zamilkł.

- No dobrze... - powiedział Cyril Bedford. - Ale co z tego? Nawet jeżeli został zamordowany, nic z tego, co pan powiedział nie rzuca żadnego światła na tę sprawę.

- Powiedziałem tylko na początku, że istniało osiem ewentualności w ramach dwu przypuszczeń. W tej chwili możemy skreślić jedno przypuszczenie, a wraz z nim cztery ewentualności. Pozostaje nam drugie przypuszczenie i następujące możliwości:

- 1 Został zamordowany i podrzucono na biurko oba listy.
- 2 Został zamordowany, ale przedtem napisał oba listy.
- 3 Został zamordowany, ale napisał list 1, a list 2 podrzucił morderca albo kto inny.
- 4 Został zamordowany, ale przedtem napisał list 2, a list 1 podrzucił morderca.

Rozważmy te wszystkie możliwości po kolei:

- 1 Został zamordowany, a po jego śmierci podrzucono oba listy na biurko...

W ramach tego, co zeznała panna Agnes, która słyszała go piszącego list numer 2, musimy tę ewentualność odrzucić. Panna Agnes zeznała, że słyszała mężczyzn zamykających drzwi wejściowe do ogrodu i rozmawiających półgłosem w hallu. Potem panowie Cyril Bedford i Reutt poszli na górę, a sir Gordon chodził przez chwilę, a potem zaczął pisać na maszynie, tak?

- Tak... - Agnes skinęła głową. - Dokładnie było tak, jak pan teraz powiedział.

- A potem panienska usnęła. Ponieważ tekst listu numer 2 jest jedynym tekstem, jaki napisano po zmianie taśmy na tej maszynie, a innej maszyny nie ma w domu, więc musimy przyjąć, że sir Gordon napisał właśnie wtedy ten list. A chociaż panna White nie widziała go piszącego, to jednak wiemy, że to on został w gabinecie, a dopiero o wiele później poszedł do ciemni na górę i rozmawiał z panem Cyrilem. Był to jedyny moment, kiedy ktoś inny mógłby zaryzykować wejście do gabinetu i napisanie tego listu. Ale panna White nie słyszałaby już pisania na maszynie.

Tak więc musimy przyjąć, że sir Gordon napisał ten list i w związku z tym odpadają nam aż dwie ewentualności:

- 1 Że został zamordowany i po jego śmierci podrzucono na biurko oba listy. Gdyż on sam napisał jeden z listów.

- 3 Że napisał list numer 1, a list numer 2 został podrzucony przez mordercę. Dla tej samej przyczyny, gdyż to sir Gordon napisał list numer 2.

Pozostają nam więc już tylko dwie możliwości, z których jedna musi być prawdziwa, gdyż wyczerpaliśmy wszystkie możliwe kombinacje. Są to ewentualności:

- 2 Że został zamordowany, ale przedtem napisał oba listy.
- 4 Że został zamordowany, ale przedtem napisał list 2, a list 1 został po zbrodni podrzucony.

Rozważmy jedną z tych ewentualności. Sir Gordon napisał dwa listy samobójcze, a potem został zamordowany przez kogoś.

- Cyrilu... - szepnęła głośno Judyta Bedford. - Czy rozumiesz chociaż słowo z tego, co ten człowiek mówi?

- Tak... - Cyril Bedford skinął głową. - Nigdy by mi do głowy nie przyszło podchodzić w tak mechaniczny sposób do tak skomplikowanej sprawy, ale na razie nie można niczego zarzucić pańskiemu rozumowaniu...

- Dziękuję... - Joe uśmiechnął się lekko. - Wiem, że na pewno muszę państwa, ale pamiętajmy wszyscy, że nie chodzi nam o zabawę matematyczną, lecz o wyeliminowanie nonsensów i niemożliwości. Dopiero wtedy, kiedy będziemy wiedzieli, jak wygląda sprawa tych listów, będziemy mogli pokusić się o odtworzenie wypadków. Bez tego będziemy mieli tylko chaos i stek nonsensów. W rzeczywistości moja metoda jest bardzo prosta. Ale wróćmy do naszych baranków. Zostały nam dwie ewentualności i zajmujemy się pierwszą, która mówi, że sir Gordon napisał dwa listy samobójcze, a potem ktoś go zabił.

Otóż prawda wygląda w ten sposób, że sir Gordon musiałby pierwszy list, w którym szkaluje swoje życie i mianuje siebie cynicznym łapówkarzem, napisać w zeszłym tygodniu, gdyż nie był tu od zeszłego

poniedziałku, a pan Reutt wymienił taśmę przedwczoraj, przed przyjazdem sir Gordona tutaj. Jak wiemy, list ten napisany jest na starej taśmie i na stojącej tu maszynie. Ten haniebnny list sir Gordon nosiłby tydzień przy sobie lub trzymał w ukryciu tylko po to, aby potem napisać zupełnie inny list, podający zupełnie inny powód samobójstwa: miłość pani Sylvii do kogoś, kogo sir Gordon lubi i szanuje. I znowu ten człowiek, któremu obca była myśl samobójstwa, który planował dziś wyjazd do Stanów, który nocą z pasją towił swoje ukochane śmy, już od tygodnia chce sobie odebrać życie nie mogąc wytrzymać swej nikczemności. Ale w ostatniej chwili zmienia zamiar i chce odejść z miłości. W efekcie morderca uprzedza go i morduje, nie dając mu zrealizować jego zamiarów! W dodatku, na tym liście istnieją odciski palców sir Gordona, które laboratorium policyjne określa jako odciski zrobione prawdopodobnie po jego śmierci, gdyż palce są źle odcisnięte, a widać, że czcionka maszynowa została wytarta, gdy ktoś wycierał papier pozabawiając go innych odcisków palców. Więc co? Czyżby sir Gordon stał z tego listu swoje odciski palców nie mszcząc go, a morderca na powrót te odciski przywrócił? I dlaczego ten list sprzed tygodnia leżał na wierzchu, a tamten napisany przed godziną - ukryty pod książką? Jasne wydaje się, że list numer 1, mówiący o łapówkach, został po morderstwie położony przed sir Gordonem przez kogoś, kto nie wiedział o istnieniu listu numer 2. Najprawdopodobniej sir Gordon napisał ten list, wykręcił go z maszyny i położył na biurku, a słysząc czyjeś kroki, złożył go, wytarł i ukrył pod poprawianym właśnie przez siebie maszynopisem. Morderca podał mu po chwili rozmowy kawę, która być może właśnie się przygotowywała. Sir Gordon umarł, morderca podrzucił na biurko list, na którym odbił ślady palców martwej już ręki sil Gordona. Potem uciekł, nie wiedząc, że na biurku spoczywa drugi list, dzięki któremu upadnie wersja o samobójstwie i rozpocznie się śledztwo w celu wyjaśnienia dziwnych wydarzeń, jakie rozegrały się tej nocy... Bo morderca nie wiedział również, że znajdziemy w koszu na śmieci wielką, dawno umarłą śmę, a na jej miejscu odkryjemy w jednej z gablot wyciętą z fotografii na biurku głowę pani Sylvii Bedford. Morderca nie wiedział także, że panna Agnes White weszła tu przed północą i przewietrzyła pokój, otwierając na oścież okno, a potem zamykając je i pozostawiając na klamce odciski swoich palców... odciski, których my już nie znaleźliśmy...

Ale wróćmy do naszych ewentualności. Ponieważ wersja, że sir Gordon napisał w ciągu tygodnia dwa zupełnie odmienne listy samobójcze, ale nie popełnił samobójstwa, a za to został zamordowany, jest zupełnie absurdalna, zważywszy treść listów i osobę piszącego, jak również okoliczności dotyczące listu numer 1 i odcisków palców, pozostaje nam do rozważenia ewentualność:

...Że sir Gordon napisał list numer 2, ten o samobójstwie z miłości, że został zamordowany i że podrzucono potem na biurko list numer 1, mówiący o samobójstwie spowodowanym wyrzutami sumienia.

Wiemy, że sir Gordon rzeczywiście napisał list numer 2. Pozostaje jeszcze fakt podrzucenia listu numer 1.

W całej tej koszmarnej sprawie najabsurdalniejsze przez cały czas wydawało mi się jedno: fakt, że jeden człowiek pisze list samobójczy, a drugi człowiek, który nie wie o tym, przychodzi i zabija go podrzucając drugi list i nie dostrzegając pierwszego. Sytuacja taka jest praktycznie biorąc równie nieprawdopodobna jak siedem pozostałych, które odrzuciliśmy... No dobrze, ale innych możliwości nie ma, a przecież sir Gordon umarł i śmierć jego musi się mieścić w ramach jednej z tych kombinacji.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: Jeżeli jeden człowiek chce popełnić samobójstwo, a drugi o tym nie wie, to fakt uprzedzenia samobójstwa przez morderstwo jest przy zastosowaniu teorii prawdopodobieństwa nieomal niemożliwy. Takie zbiegi okoliczności nie mogą się po prostu zdarzać, poza najtandetniejszymi powieściami kryminalnymi.

Istnieje druga ewentualność: że morderca wie o pragnieniu popełnienia samobójstwa przez drugą osobę. To jest oczywiście możliwe, bo jeden człowiek może zwierzyć się z zamiaru samobójczego drugiemu. Ale wtedy tylko szalencie mordowałby. Po co zabijać i narażać się na szubienicę, jeżeli człowiek, którego chcemy zabić, chce zrobić to za nas? Wystarczy poczekać i być może oddziałać jakoś na jego psychikę, a sam zrobi to, czego od niego żądamy, nie narażając nas na straszliwą karę i strach przed wykryciem. To także było więc zupełnie absurdalne...

Alex zawiesił głos i chrząknął.

- Czy chce pan powiedzieć przez to, że trzyma nas pan tu już prawie od godziny, żeby wyjaśnić nam, że dzięki bezbłędnemu pańskiemu rozumowaniu możemy rozejść się w przeświadczeniu, że brat mój nie został zamordowany i nie popełnił samobójstwa pomimo legionu listów samobójczych i braku odcisków



palców wszędzie tam, gdzie powinny pańskim zdaniem być ich całe stada? - Cyril Bedford uśmiechnął się, wyjął fajkę i zapalił ją. - Czy to tak wygląda?

Joe rozłożył ręce. - Bardzo przepraszam w takim razie. Ale nie widzę innego sposobu, jak tylko przebrnąć przez to, punkt po punkcie, w tym samym porządku, w jakim przebiegało moje rozumowanie. Otóż zatrzymaliśmy się w sytuacji, która pozornie nie dawała żadnego logicznego rozwiązania. Przyznaję, że była to nieprzyjemna chwila. Dokonałem logicznego obrachunku i doszedłem do wniosku, że sir Gordon nie mieści się w żadnej z owych ośmiu kombinacji. A przecież więcej ich nie ma!

I wtedy zrozumiałem nagle lukę w moim rozumowaniu... Podczas rozważania pierwszych siedmiu możliwości miałem zupełną słuszność. Ale ósma!...

Znowu zawiesił głos i po dramatycznej pauzie zaczął mówić szybko, prawie wesoło, jak gdyby rozwiązanie problemu znaczyło dla niego w tej chwili więcej niż obecność tych pięciorga tak bardzo zainteresowanych ludzi.

- Otóż zakładałem, że sir Gordon albo chciał popełnić samobójstwo, a morderca o tym nie wiedział i zabił go, co uważałem za niemożliwy zbieg okoliczności. Albo, że chciał popełnić samobójstwo i morderca wiedząc o tym, uprzedził go, co uważałem za absurd, gdyż byłoby to dowodem zupełnej bezmyślności mordercy, a pośród podejrzanych nie dostrzegłem patologicznych osobników. Ale przecież zapomniałem o jednym: o tym, że sir Gordon Bedford mógł napisać list numer 2, wcale nie chcąc popełnić samobójstwa!

- Jak to? - Robert Reutt przetarł oczy, zmęczone od uporczywego wpatrywania się w twarz mówiącego. - Nie chciał, ale napisał list samobójczy, a wtedy ktoś go zamordował i podrzucił mu drugi list samobójczy? Co pan mówi, proszę pana? Przecież to zupełnie nie ma sensu. Jeszcze mniej niż cała reszta.

- Hm... - Joe spojrzał na niego bez sympatii. - Tak pan sądzi? Pozwoli pan zatem, że będę kontynuował jeszcze przez parę chwil mój absurdalny wywód. Znałem dłuższe śledztwa niż to i myślę, że policja nie zamęczała państwa nadmiarem pytań. Prawdę mówiąc, jesteśmy tu od niecałych trzech godzin i nawet nie przesłuchaliśmy wszystkich domowników. Dlatego pozwolę sobie... - zwrócił się do pozostałych - dopowiedzieć wszystko do końca.

- Do końca? - zapytała Sylvia przymrużywszy oczy. - Czy jest pan tego pewien?

- Absolutnie, proszę pani. Do końca, to znaczy: do wyjaśnienia państwu, kto i w jakich okolicznościach zamordował sir Gordona Bedforda.

Zrobiło się zupełnie cicho.

- O Boże... - szepnęła Agnes White. Po jej słowach znowu zapanowała cisza.

- Tak... - Alex usiadł i zapalił papierosa. - Kiedy doszedłem do tego absurdalnego, jak powiedział pan Reutt, wniosku, zadałem sobie pytanie: Co my właściwie wiemy? Wiemy tylko, że sir Gordon napisał dziś w nocy przed śmiercią list, w którym mówi, że usuwa się z pola widzenia dwojga kochających się ludzi. Ale przecież ten list nie jest podpisany i nie ma na nim żadnych odcisków palców. To znaczy, że położony przed każdym samobójcą, wypełniłby tę samą rolę, jeżeli tylko samobójca ten będzie pasował do portretu psychicznego zawartego w liście...

- Jak to? - Sylvia nie rozumiała.

- Po prostu. Zastanówmy się. Gdyby, na przykład, pan Robert Reutt zakochał się w pani z wzajemnością, ale równocześnie odczuwał tak wielkie wyrzuty sumienia, że myśl o nikczemności, jakiej dopuścił się wobec człowieka, który opiekował się nim, był jego promotorem i chlebobdawcą, nie pozwoliłaby mu żyć dłużej, to czy taki list nie tłumaczyłby doskonale jego kroku? Kiedy zrozumiałem to, pojąłem, że tylko fakt znalezienia martwego sir Gordona przesłania nam od początku tą jedyną logiczną możliwość.

- Jak to!? - Oczy Sylvii rozszerzyło przerażenie. - Ale przecież Robert żyje, a on nie żyje!

- Właśnie. Ale jeżeli założyłbym sobie, że kapsułka cyjanku, przygotowana w kieszeni sir Gordona, była przeznaczona dla pana Reutta, tak samo jak ów list? Jeżeli słowa Być potem łagodnym dla niej... - odczytam w IN MEMORIAM z tego punktu widzenia? Jeżeli fakt, że na słoiku są starte ślady palców, na expresse także, a w IN MEMORIAM czytamy: Słoik, poprosić go, żeby wyspał na powrót. To samo z kawa - to rozumiałe się staje, że wystarczy, aby pan Reutt przyszedł do gabinetu, wyspał na prośbę sir Gordona cyjanek na powrót do słoika, a potem zaparzył kawą, aby w ten prosty sposób tylko jego odciski palców były widoczne na tych miejscach kluczowych dla zbadania ewentualnego samobójstwa. Jeżeli do tego dodamy list samobójczy, napisany na maszynie... I notatką w IN MEMORIAM *Kazać mu napisać*

*parę słów Spalić.* - to jasne, że sir Gordon mógł poprosić pana Reutta, żeby mu pod dyktando napisał kilka słów, wystarczających dla pozostawienia odcisków palców...

- Tak... Ale przecież pan zakłada przy tym, że zszedłbym i wtedy on by mnie zabił pozorując moje samobójstwo. Wszyscy wiedzieli, że on pracuje w gabinecie, a ja zejdę... I będę z nim razem.

- Czyżby? - Alex pokręcił z niedowierzaniem głową. - Publicznie umówił się sir Gordon z panem na siódmą. Prywatnie na szóstą... To znaczy, że gdyby, na przykład, zszedł dziś o siódmej rano i zastał pana nieżywego, to nikt nie wiedziałby, dlaczego miałoby być inaczej. Mógł, na przykład, wyjść do ciemni pana Cyrila i wtedy wszystko by się mogło odbyć...

- Ale pozostają jeszcze ja... - Cyril Bedford wzruszył ramionami. - Gordon umawiał się z panem Reuttem na siódmą przy wszystkich, ale na szóstą umawiał się także i ze mną.

- Och, przecież nie twierdzą wcale, że pan także chciał zabić pana Reutta. Pan w ogóle nie chciał zabijać...

- Dziękuję panu... - Cyril uśmiechnął się i skinął głową.

- Nie ma za co... - powiedział Joe. - Jeszcze wszystkiego nie wyjaśniliśmy. Otóż przy zastanawianiu się nad osobą mordercy, trzeba było wziąć pod uwagę wszystkich obecnych. Każde z was mogło zabić sir Gordona, po pierwsze dlatego, że wszyscy znajdowaliście się tu w chwili jego śmierci, a po drugie dlatego, że każde z was miało mniejsze lub większe powody, żeby się go pozbyć. Nawet dla panny Agnes, jak już wspominałem, wymyśliłem taki powód. Ba, ale jeżeli sir Gordon chciał zabić pana Reutta i planował to zabójstwo na dziś w nocy, a wszystko na to wskazywało: starcie śladów z expressu i ze słoika z cyjankiem, notatki w IN MEMORIAM, list, który napisał sir Gordon, kapsułka w jego kieszeni, no i fakt, że miał powód, gdyż pomiędzy panem Reuttem a panią Sylvią zrodziła się miłość, to wykorzystać mógł to tylko morderca, który by o tym wiedział. Dopiero wtedy, podrzuciwszy absurdalny list o nadużyciach finansowych Bedforda, morderca skierowałby śledztwo policji na mieszkańców domu, bo oczywiście wszystko wyszłoby na jaw, to znaczy wyszłyby na jaw sprawy łączące panią Sylvię z panem Reuttem. W najlepszym wypadku wykręciliby się oboje po absolutnym skompromitowaniu ich przez prasę, w najgorszym może padliby ofiarą poszlakowego procesu. Nie zapominajmy, że są oboje w sytuacji nie do pozazdroszczenia w wypadku, jeżeli się udowodni, że sir Gordon został zamordowany. No tak, ale kim mógł być człowiek, który wiedział, że sir Gordon chce zabić Reutta? Nie mógł nim być Reutt i nie mogła nim być pani Sylvia ze zrozumiałych względów. W śledztwie pani Judyta Bedford zeznała, że wpadła na trop miłości pani Sylwii i pana Reutta dzięki wspólnemu kominkowi, który pozwolił jej podsłuchiwać ich oboje. Poza tym byli doskonale zakonspirowani.

- Ty żmijo... - powiedziała Sylvia patrząc na starszą kobietę oczyma, w których nie było nienawiści, tylko zdumienie. - Jak mogłaś mu powiedzieć?

- Nie powiedziałam mu! - zaprzeczyła Judyta. - Nigdy bym mu nie powiedziała!

- To prawda... - Alex skinął głową. - Ale powiedziała pani o tym swojemu mężowi. Powiedziała mu pani o tym już po wyjeździe sir Gordona, pani Sylwii i pana Reutta.

- No dobrze... - Cyril także skinął głową. - Ale przecież ja mu tego nie powtórzyłem. Gdybym mu powtórzył... - rozłożył ręce. - Myślę, że roztrząsałby ten dom jak Samson!

- W moim rozumowaniu przyjąłem inną hipotezę... - Joe uśmiechnął się przepaszająco. - Założyłem, że powiedział pan o tym swojemu bratu tuż po jego przyjeździe przedwcześniej, podczas pierwszej sposobnej chwili, kiedy byliście sami. Założyłem także, że na wszelki wypadek napisał pan po dowiedzeniu się o sprawie pani Sylwii i pana Reutta ten list, który nazwaliśmy listem numer I i który napisany jest na starej taśmie. Pani Judyta powiedziała nam, że ma zapasowe klucze od gabinetu i chyba nie strzeże ich bardzo pilnie, bo nie wiedziała nawet dokładnie, gdzie są. Potem pomyślałem sobie, że być może, opowiedział pan bratu i wszystkim i namówił go pan (używając na przykład argumentu, że pan Reutt popełnił zbrodnię wobec sir Gordona, której prawo nie karze) do tego, aby zabił pana Reutta. Myślę, że przy surowej, rygorystycznej moralności pańskiego brata myśl o wymierzeniu sobie samemu sprawiedliwości nie była dla niego równoznaczna z popełnieniem przestępstwa. W jego przekonaniu pan Reutt jako cudzołózca i niewdzięcznik zasługiwał na karę główną. Dodajmy zazdrość, obrażoną miłość własną, wściekłość i będzie pan miał cały obraz. Myślę, że sir Gordon nie porzuciłby potem żony. Może liczył na to, że samobójstwo ukochanego wstrząśnie nią. Być potem łagodnym... dla niej napisał w swoim notesiku. Tak, być dla niej łagodnym...

- Trzeba przyznać, że ma pan niebywałą fantazję... - Cyril pokiwał głową z uznaniem.

- Bez tego śledztwo trwa miesiącami... - westchnął Joe. - O czym to mówiliśmy? Aha. Otóż założyłem, jak już powiedziałem, że sir Gordon obmyślił plan zemsty wraz z panem. Mógł być pewien pańskiej dyskrecji. Miał pana od lat w ręku i zeznania pana przeciw niemu odparłby z łatwością. Zresztą nikomu nie przyszłoby do głowy, że człowiek taki jak on mógłby zabić. Cała sprawa zabójstwa Reutta została pięknie obmyślona. Przy kolacji sir Gordon umówił się z panem i z nim na siódmą. Potem, kiedy żadna z kobiet nie słyszała was już, zmienił tę godzinę na szóstą. Gdyby Reutt umarł, a pan zachował dyskrecję, moglibyście spokojnie zatruć go o szóstej, uplasować wszystko przed nim i pójść spać, a potem zejść o siódmej i zastać go już nieżywego od pewnego czasu...

- Ale po cóż miałbym namawiać Gordona do tego? - Cyril znowu uśmiechnął się. - Nie sądzi pan chyba, że obecny tu biedny pan Robert przeszkadza mi w jakimkolwiek stopniu? Byłem nawet zadowolony, kiedy Judyta powiedziała mi, że przyprawił rogi Gordonowi... Przepraszam, że poruszam to w tej chwili, ale rozmawiamy o możliwych hipotezach zbrodni, dlatego chcę od razu wyjaśnić, że śmierć Reutta i namawianie Gordona do zbrodni byłyby dla mnie zupełnym nonsensem.

- Przecież powiedziałem już raz, że pan wcale nie chciał śmierci pana Reutta. Chciał pan śmierci swojego brata, który trzymał pana żelazną raka już od tylu lat. Wiedział pan, że na wypadek jego śmierci odzyska pan wolność i będzie pan mógł wyfrunąć z klatki, którą dla pana zbudował. Wszystko było bardzo proste, omówiliście szczegóły zabójstwa. Pan miał zresztą służyć jako alibi. Prawdopodobnie umówiliście się, że pan zezna, jakoby obudził pan Gordona o szóstej, a potem do siódmej pracował pan z nim w ciemni. A potem zesłiście na dół i zastaliście zimnego już Reutta. Tymczasem pana plan był prostszy. Zejść na dół o czwartej pod pozorem przygotowania wraz z sir Gordonem wszystkiego przed przybyciem Reutta, podać sir Gordonowi kawę z cyjankiem, a potem po sprawdzeniu wszystkiego wycofać się na górę i położyć do łóżka...

- Dobrze, że nie ma pan żadnych dowodów... - Cyril wyduł fajkę i nabił ją od nowa. - Inaczej, przy pańskiej pomysłowości, gotów by mnie pan naprawdę zakuć w kajdany.

- Ale czy pan nie rozumie, że jeśli sir Gordon chciał zabić pana Reutta, to jest pan jedyną osobą, która mogła zabić sir Gordona? Tylko pan poza zmarłym wiedział o morderstwie. Tylko pan, poza zmarłym i Reuttem, wiedział, że macie się spotkać o szóstej. Gdyby pan nie był wtajemniczony w plany sir Gordona, nie prosiłby pana nigdy na szóstą razem z Reuttem. Pan przecież byłby jedynym świadkiem śmierci Reutta. Pan wiedział o Reutcie i Sylvii, pan korzystał ze śmierci Gordona, pan go nienawidził, pan znał jego plan, pan mógł napisać ten list numer I, słowem, pan zgadzał się z moimi wszystkimi założeniami i nie miał pan ani jednego słabego punktu. Nie było ani jednej rzeczy, której pan nie mógł zrobić; Ale były jeszcze inne sprawy, których nie rozważyłem i które także musiały pasować do pana. Kiedy mi się wszystko tak pięknie zaczęło zgadzać, zacząłem się zastanawiać nad resztą spraw, a przede wszystkim - nad klamką u okna. Urosła ona u mnie do apokaliptycznych rozmiarów. Nie mogłem pojąć, kto i dlaczego zmasał te ślady. Sir Gordon - nie. Morderca - ba, ale dlaczego morderca miałby otwierać okno? Zawiesił głos.

- Ale przecież, proszę pana - powiedziała Agnes - White - żeby wytrzeć klamkę, wcale nie trzeba otwierać okna.

- Tak, ale dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności wiedzieliśmy, że panienka była tam przed północą, otworzyła okno, zamknęła je i odeszła, nie wycierając klamki. Stąd wiedzieliśmy, że ktoś wytarł później odciski palców. Tym kimś mógł być tylko morderca. Ale dlaczego miałby to zrobić? Nic nie wyrzucił przez okno. Niczego mu nie podano.

- Może chciał przewietrzyć pokój?

- Brawo... Ale po czym? Po kawie? Nie. Po cyjanku? Przecież policja i tak będzie wiedziała, jak zginął Gordon Bedford. Morderca mógł otworzyć to okno i tylko dla jakiejś przyczyny, która zwykle ożywia każdego mordercę: dla zatarcia śladów swojej obecności.

Umilkł.

- Jak to? - Sylvia nie rozumiała.

- Och, na przykład dla wypuszczenia dymu...

- Dymu... Ale przecież nikt z nas... - Nagle Sylvia urwała i spojrzała na Cyrila, Reutt siedział z absolutnie osłupiałym wyrazem twarzy. Judyta Bedford nie drgnęła.

- Nonsens... - powiedział Cyril Bedford. - Tylko ja palę w tym domu, a ja nie otwierałem tego okna...

- Ba... - Joe podszedł do portierni i uniósł palec. - Ona mówi co innego... Pozwólcie państwo...

Wstał i ruszył w stronę gabinetu, słysząc za sobą odgłos odsuwanych krzesel.

- Co to jest? - Idąc w ślad za wyciągniętym palcem Alexa, Cyril zbliżył się do okna.  
- Ćma trupia główka. Wpadła tu, kiedy pan uchylił okno. Nie odsunął pan zasłony, bo bał się pan, że może ktoś pana zauważyć z zewnątrz...

- Och, nonsens! - Cyril znowu wzruszył ramionami. - Nie mogła wlecieć... Przecież było już wtedy zupełnie widno.

Nagle urwał i uderzył się dłonią w usta.

- Właśnie... - powiedział Alex i pokiwał głową. - Było widno. To pan sam powiedział, Cyrilu Bedford.

Cyril Bedford rzucił się ku oknu, ale powstrzymany przez kratę, zawrócił. Olbrzymia bryła jego ciała przez chwilę kotłowała się nad szczupłą sylwetką Alexa.

- Spokojnie... - Parker stał zupełnie nieruchomo. Długa oksydowana lufa pistoletu nie poruszyła się w jego dłoni, kiedy wypowiedział to jedno słowo. Ale osiągnął zamierzony efekt.

Cyril Bedford przez chwilę wahał się, potem jego uniesione potężne pięści opadły spokojnie do boków.

- Dobrze... poddaję się... - powiedział. Ale jak ona tam się mogła dostać? Przecież rzeczywiście było wtedy już widno.

- Najwyraźniej jakiś dobry duszek ją tam posadził - mruknął Joe...

W pół godziny później, kiedy umilkł już sygnał karetki więziennej, Parker wkładając płaszcz spojrzął na storę i powiedział:

- Słuchaj, ona tam ciągle siedzi...

- I będzie siedziała do sądnego dnia, jeżeli się jej nie zdejmie. - Joe podskoczył i końcami palców zdjął ćmę ze story.

- Ale ona się nie porusza... - Jego przyjaciel przybliżył się i pochylił nad trzymanym przez Alexa owadem.

- Ba... Umarli nie poruszają się, jak wiesz... - Joe ostrożnie wziął za koniec szpilki, którą ćma wpięta była w storę, zaniósł ją do gablotki i wpiął.

- To ta sama... - powiedział. - Pomogła trochę, chociaż i tak mieliśmy wszystkie dowody poszlakowe. Ale zawsze jest lepiej, jeżeli oni się przyznają. Można się wtedy wyspać.

- Nie wrócisz już chyba do łóżka o tej porze? - Parker spojrzął na zegarek. - Dochodzi dziesiąta!

Alex pochylił się do jego ucha i powiedział szeptem:

- Powiem ci sekret: poszło mi to tak łatwo, bo sam jestem trochę jak te ćmy. Mogę spać przez cały dzień, a włożyć się po nocy. Dobranoc, Ben. Od jutra możesz na mnie mówić Joe Atropos!

I śmiejąc się cicho wyszedł z pokoju. Zastępca szefa Kryminalnego Wydziału Śledczego Scotland Yardu usłyszał odległy trzask drzwi wyjściowych, a potem odgłos kroków na żwirowanej ścieżce i zobaczył szczupłą sylwetkę Alexa zbliżającą się do bramy. Umundurowany policjant usunął się z drogi i zasalutował. Potem furtka zamknęła się i Joe zniknął.

- Wielki Boże... - szepnęła Parker i potarł dłonią czoło. - O mój wielki, jedyny Boże... Jego żona nigdy go nie zdradzi, a jeżeli zdradzi i będzie chciał za to zamordować ją albo jej kochanka, to nie wykryjemy tej zbrodni do sądnego dnia.

Zasepił się, ale po chwili twarz jego wypogodziła się znowu. Na szczęście Joe Alex nie był żonaty.